**ULECZMY POLSKĘ**
Po zamachu na Pawła Adamowicza

**ŁOWY NA DZIKO**
Zwierzęta ofiarami polityki i patologii

**KOŚCIÓŁ W ZAMĘCIE**
Ks. Alfred Wierzbicki: katolik i demokracja

**ROSJA MA SIEĆ**
Wolność słowa na cyfrowym froncie

Kraków 20 stycznia 2019 nr 3 (3628) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

# Joanna Kulig: drę się z emocji

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

# Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

MAŁOPOLSKA

DUŻA SCENA

01.02
02.02
03.02
05.02
06.02
07.02
08.02
09.02
22.03
23.03
24.03

PREMIERA 1 LUTEGO 2019

## Umberto Eco

# Imię róży

adaptacja i reżyseria Radosław Rychcik

tel. 12 424 45 25, 603 235 231 | www.teatrwkrakowie.pl

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA
Fundator Kurtyny Wyspiańskiego
maRR Małopolska Agencja Rozwoju Regionalnego SA
Patroni medialni
RADIO KRAKÓW
KARNET
Oficjalni partnerzy teatru
TOYOTA DOBRYGOWSKI Bronowice
city
INGLOT

KS. ADAM

# Boniecki: *Moja uzasadniona nadzieja*

Utworzony 9 czerwca 1962 r. Departament IV Ministerstwa Spraw Wewnętrznych miał zapewnić rozpoznanie i rozpracowanie przejawów wrogiej i szkodliwej działalności polityczno-ideologicznej hierarchii i kleru, doprowadzić do afirmacji przez duchowieństwo systemu politycznego PRL. Miał osłabić wpływy Kościoła w sferze ideologicznej i społecznej. Jedną ze stosowanych metod były działania dezintegracyjne, czyli napuszczanie jednych na drugich (np. opracowano dokument krytycznie oceniający wypowiedzi Jerzego Turowicza dotyczące kardynała Stefana Wyszyńskiego i przesłano go biskupowi Bronisławowi Dąbrowskiemu), oraz zabiegi o promowanie na wyższe stanowiska kościelne duchownych współpracujących ze służbami lub wygodnych dla władzy, a kompromitowanie niewygodnych. Departament zatrudniał ponad tysiąc osób i współpracował z innymi departamentami. Działania te nie były całkiem nieskuteczne, jednak Kościół cieszył się szacunkiem i był społecznie uznanym autorytetem. W 1976 r. Adam Michnik napisał książkę „Kościół, lewica, dialog", otwierającą drogi porozumienia, a nawet współpracy między tzw. lewicą laicką i Kościołem: „Od wielu lat Kościół katolicki w Polsce nie uzasadnia żadnych racji możnych tego świata, stojąc uporczywie po stronie prześladowanych i bitych. Rzeczywistym wrogiem lewicy laickiej nie jest Kościół, lecz totalitaryzm".

A dziś, gdy żyjemy w wolnym kraju bez IV Departamentu MSW i od 1989 r. mamy „przyjazny rozdział Kościoła od państwa", autorytet Kościoła w Polsce spada, młodszego pokolenia wiernych ubywa, głosu Kościoła w kontrowersyjnych moralnie sprawach niemal nie słychać. Jedni są tak zniechęceni „radiomaryjnością" Kościoła w Polsce, że od niego odchodzą, inni zwierają szeregi, by bronić „prawdziwej wiary" przed takimi jak śp. biskup Tadeusz Pieronek, a czasem, po cichu, jak papież Franciszek. Jesteśmy tak podzieleni, że aż chciałoby się za św. Pawłem powiedzieć: „A jeśli u was jeden drugiego kąsa i pożera, baczcie, byście się wzajemnie nie zjedli" (Ga 5, 13-15).

Co do tego, że Kościół w Polsce przeżywa kryzys, chyba nie ma wątpliwości. Obserwatorzy wyliczają: spadek liczby uczęszczających na niedzielną mszę, spadek powołań, starzenie się kleru, rosnąca liczba rozwodów i niesakramentalnych związków, mizerny przekaz wiary w rodzinach, spadek zainteresowania pielgrzymkami na Jasną Górę itd.

Nadzieja na wyjście z kryzysu jest jednak uzasadniona. Narzekanie na biskupów znaczy, że wciąż się od nich czegoś oczekuje, młodsze pokolenie szuka kościołów i duszpasterstw, w których czuje się rozumiane i rozumie duszpasterzy, tworzy się mnóstwo środowisk ludzi zaangażowanych, którzy pogłębiają i praktykują wiarę, przyciąga ich siła duszpasterstw akademickich prowadzonych przez dominikanów, kościelna działalność siostry Małgorzaty Chmielewskiej, księdza Józefa Krawca w Strzelcach Opolskich, kapucynów w Krakowie i Warszawie oraz wielu, wielu innych, wolontariat, neokatechumenat, wspólnoty charyzmatyczne. A jeszcze rosnące grono świeckich teologów, niebywałe zainteresowanie kaznodziejstwem ojca Adama Szustaka, poczytność „Tygodnika Powszechnego" itd.

Przyszłość? Wiele zależeć będzie od biskupów. Zacytuję słowa nowego arcybiskupa krakowskiego wypowiedziane na ingresie do wawelskiej katedry 8 marca 1964 r. Arcybiskup Wojtyła mówił: „Myślę, że być pasterzem to znaczy umieć brać to wszystko, co wszyscy wnoszą. Umieć brać to znaczy w dużej mierze umieć dawać – umieć to jakoś koordynować, scalać, ażeby z tego rosło wspólne dobro wszystkich i żeby w tym dobru wszystkich było dobro każdego, bo każdy z nas ma swoją pozycję w dziele Odkupienia (...). Każdy z nas jest wielkim skarbem". ©℗


TYGODNIK POWSZECHNY

**BANGLADESZ 2019** *Pomóżmy uchodźcom z Birmy*

Dobra Fabryka

**„Tygodnik Powszechny" wraz z fundacją Dobra Fabryka Szymona Hołowni prowadzi akcję pomocy birmańskim Rohingom przebywającym w obozach na terenie Bangladeszu.**

„Operacja antyterrorystyczna" – tak władze Birmy nazwały skoordynowany atak na wioski Rohingów w sierpniu i we wrześniu 2017 roku, w którym – jak wynika z ostatnich wyliczeń ONZ – zginęło co najmniej 25 tys. osób, a ponad 700 tys. zmuszono do ucieczki. Rok temu dzięki hojności Czytelników „TP" nasz reporter Marek Rabij pojechał do Bangladeszu relacjonować ten kryzys na miejscu.

Teraz prosimy o pomoc dla uchodźców. Nie uwolnimy ich od koszmarnych wspomnień i nie zwrócimy życia ich krewnym. Możemy jednak wzbogacić im ubogą dietę, wyposażyć szałasy w palniki gazowe, maty do spania, koce, opał. Będziemy również starali się ułatwić im dostęp do opieki medycznej. Zróbmy to razem!

▪ Link do zbiórki oraz więcej informacji pod adresem **powszech.net/bangladesz**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**60 Ojojoj!**
Z JOANNĄ KULIG, AKTORKĄ, ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA:
*Mam w sobie dużo radości, ale też tyle samo strachów i kryzysów.*

**26 Ważniejsze od prawdy**
MARCIN MATCZAK
*W interesie władzy autorytarnej jest rozbicie prywatnych relacji zaufania.*

**32 Wyjść z czasów zamętu**
Z KSIĘDZEM ALFREDEM WIERZBICKIM, ETYKIEM, ROZMAWIA ARTUR SPORNIAK:
*W naszych warunkach nie można skutecznie głosić ewangelii, jeśli się nie broni konstytucji.*

**46 Cyfrowa linia Maginota**
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
*Wojna informacyjna, w której zdobywanym terytorium są ludzkie umysły, dopiero się rozkręca. I zmieni świat.*

**76 Maraton bez mety**
ROZMOWA Z BOGDANEM KONOPKĄ, FOTOGRAFEM:
*Polska była zawsze jak z baśni, niby jej nie było, a przecież trwała. Gdzie indziej na ziemi tak rozkochiwano się w baśniach?*

**56 Nosacze a sprawa polska**
ŁUKASZ KWIATEK
*Groteskowy wygląd uczynił z tych małp najpopularniejszych bohaterów memów o nas samych. Co wiemy o nosaczowej codzienności?*

BEATA MAJKA / ZENTRALA.PL // ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA GAZETA // MICHAŁ FLUDRA / NURPHOTO / GETTY IMAGES // EAST NEWS // TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP // DANIEL PIER / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

**6 Po śmierci Pawła Adamowicza**
MICHAŁ OKOŃSKI, ADAM BONIECKI

**8-11 Wiadomości / Komentarze**

**20 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

**19 Tygodnik Czytelników**

**KRAJ**

**22 Państwo dla wszystkich**
RAFAŁ WOŚ: *W tym roku rozstrzygnie się przyszłość 500 plus*

**26 Ważniejsze od prawdy**
MARCIN MATCZAK

**28 Pod ciemną gwiazdą**
MICHAŁ TRELA: *W historii Wisły Kraków odbijają się nadzieje i patologie polskiego futbolu*

**WIARA**

**32 Wyjść z czasów zamętu**
ROZMOWA Z KS. ALFREDEM WIERZBICKIM, ETYKIEM

**36 Tischner nie chce mitry**
WOJCIECH BONOWICZ *o liście, w którym ksiądz Józef aluzyjnie prosi Jana Pawła II, by nie mianował go biskupem*

**38 Prawie jak wolność** MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Chrześcijanom w Turcji żyje się coraz trudniej*

**40 Babcia boska**
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Zmarła babcia ks. Jana Kaczkowskiego*

**ŚWIAT**

**42 Podzielone Stany Ameryki**
JAN SMOLEŃSKI: *Dwa lata temu Trump został prezydentem USA*

**TEMAT TYGODNIKA**

ADOBE STOCK

**12 Pieczeń ministerialna**
ADAM ROBIŃSKI
*W nagonce na dziki zwierzęta są najmniej istotne. Dlaczego padły ofiarą polityki?*

**15 Uzbrojeni hobbyści**
MAREK RABIJ, MARCIN ŻYŁA
*Czym stało się w Polsce myślistwo? Odpowiedzi trzeba szukać z dala od wielkich miast i facebookowych profili ze zdjęciem dzika*

**FELIETONY**

**31** ANNA DZIEWIT-MELLER
**41** SZYMON HOŁOWNIA **59** ANDRZEJ STASIUK
**74** JAN KLATA **75** PAWEŁ BRAVO
**82** STANISŁAW MANCEWICZ
**82** BARTOSZ MINKIEWICZ

Na okładce: JOANNA KULIG

Fotografia: PATRICK FOUQUE / PARIS MATCH / / CONTOUR / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

**46 Cyfrowa linia Maginota**
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

**49 Emigracja last minute** DOMINIKA MATEJKO: *Upadłą Wenezuelę opuścił co ósmy jej mieszkaniec. Większość kieruje się najpierw do Kolumbii*

**HISTORIA**

**52 Tajna misja w Rydze**
JAN PISKUREWICZ: *Na rokowania, kończące wojnę polsko-bolszewicką pojechał pewien mało znany 27-latek*

**NAUKA**

**56 Nosacze a sprawa polska**
ŁUKASZ KWIATEK

**58 Walka na niebie**
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

**KULTURA**

**60 Ojojoj!** ROZMOWA Z JOANNĄ KULIG

**65 Co wie Prospero** DARIUSZ KOSIŃSKI: *Jerzy Radziwiłowicz jest aktorem naszej tożsamości zbiorowej*

**68 Geniusz patrzy spode łba**
DOROTA KOZIŃSKA: *Henryk Mikołaj Górecki zawsze robił swoje, po swojemu i dla siebie*

**72 Podwójny kamuflaż** ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Dom, który zbudował Jack" Larsa von Triera*

**73 Warto zobaczyć w TV**

**74 Spowiedź outsidera** LEKTOR *o zbiorze publicystyki i tekstów Czesława Miłosza*

**ZMYSŁY**

**76 Maraton bez mety**
ROZMOWA Z BOGDANEM KONOPKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

**Woś się jeży**
To będzie przypowieść o demokracji w działaniu. I o tym, czy ciągle jest ona w stanie chronić interes konkretnego słabszego – **RAFAŁ WOŚ** *opisuje, co wydarzyło się we wschodnim Berlinie przy alei Karola Marksa*
**www.tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

**Lamża czyta Naturę**
Jak wyglądał gigantyczny prassak? W jakim tempie powstają planety skaliste w Kosmosie? Po co bada się „płyn ludzki"? – *odpowiedzi zdradza* **ŁUKASZ LAMŻA** *w programie popularnonaukowym Centrum Kopernika*
**powszech.net/czytamynature**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

*Paweł Adamowicz podczas 27. finału WOŚP, Gdańsk, 13 stycznia 2019 r.*

# PO ŚMIERCI PAWŁA ADAMOWICZA

Nie spekulujmy teraz, co z nami będzie dalej. Pomyślmy o życiu: jak łatwo je odebrać. I o swoim życiu: co z nim robimy.

MICHAŁ OKOŃSKI

W Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Gdańsku zmarł, nie odzyskawszy przytomności, prezydent miasta Paweł Adamowicz. Zarówno fakt jego śmierci, jak i niewiedza na temat stanu psychicznego zabójcy to bardzo dobre powody, żeby zachować milczenie, nie szukać winnych pochopnie i nie wyrokować zbyt łatwo. Tutaj naprawdę prosi się nie o minutę czy godzinę, ale o wiele dni milczenia.

Tyle że milczenie jest niemedialne, nie nadaje się na czołówki – i pewnie dlatego nie powinniśmy się dziwić, że także tym razem nie zostało zachowane. Media i portale społecznościowe w większości wyglądają tak, jakby tylko czekały na podobną okazję – i atak Stefana W. służy im do potwierdzenia głoszonych od dawna tez, podobnie jak wcześniej służyło im do tego (by przywołać tylko przypadki, w których stawką też było czyjeś życie) zabójstwo Marka Rosiaka w biurze poselskim PiS w 2010 r., samobójcza śmierć Piotra Szczęsnego albo katastrofa smoleńska. W walce politycznej, w sianiu nienawiści pogrążamy się coraz głębiej i doprawdy nieważne jest teraz również kalkulowanie, kto zaczął albo kto dolał więcej oliwy do ognia.

To oczywiście zdania do własnego, medialnego ogródka – o wyborze, którego dokonujemy, stając w obliczu takiej tragedii (czy pokazujemy np. rosnącą przez całe poniedziałkowe przedpołudnie kolejkę do stacji krwiodawstwa w Gdańsku albo spontanicznie zorganizowaną modlitwę za zdrowie rannego, czy rzucamy się do jeszcze szerszego rozpowszechniania pojawiających się równolegle nienawistnych komentarzy). O odpowiedzialności za własne słowa: za to, że one też mogą karmić czyjąś nienawiść. „Są profesje i są sytuacje, kiedy rzeczywistość dostarcza takiej porcji adrenaliny, iż blokuje refleksyjność" – mówił kiedyś na tych łamach prof. Bogdan de Barbaro, psychiatra i psychoterapeuta. Czyli – blokuje możliwość pokoju społecznego.

Już tyle razy zmarnowaliśmy szansę na opamiętanie, że i dziś pewnie nie można się łudzić. Nie warto więc też spekulować, co z nami będzie dalej, albo oceniać terapeutycznej przydatności zapowiadanych już przez polityków marszów czy wieczorów ze świecami, nie mówiąc już o prawdopodobieństwie tego, czy władza i opozycja staną w ich trakcie ramię w ramię (choć jedno pewnie wypada przy tej okazji powiedzieć – że politycy są ostatnimi, którzy powinni takie imprezy organizować; jeśli już, to inicjatywa mogłaby wyjść ze świata organizacji pozarządowych). Ja w każdym razie – jeśli miałbym przestać się zasłaniać bezpieczną liczbą mnogą – w tym momencie podobnych spekulacji czynić nie chcę.

Nie mam pewności, co o dzisiejszej Polsce mówi tragedia na gdańskim Targu Węglowym, choć na pewno chciałbym, żeby więcej o niej mówiło dziejące się przez cały dzień na tym placu i w tysiącach innych miejsc w całym kraju dobro spod znaku czerwonego serduszka. Myślę o bilansie życia i tragicznej śmierci Pawła Adamowicza, a także, co tu kryć, o życiu zamachowca. Równocześnie konfrontuję się – również jako osoba publiczna, starająca się przecież wpływać na rzeczywistość – z pytaniem o własne życie. Czy to, co robię, ma sens i czemu służy. Jakich wyborów dokonuję – co dotyczy też kwestii sposobu zaangażowania w sprawy publiczne. Ile we mnie frustracji i złości, jak sobie radzę z własną agresją. Ile tego oddaję światu, a ile swoim najbliższym. Czy to ma sens.

„Milczenie dobrze zrobi nam wszystkim" – napisaliśmy w oświadczeniu tuż po ataku na Pawła Adamowicza, i słowa te podtrzymujemy w chwili jego śmierci. W milczeniu naprawdę można usłyszeć niejedno. ©℗

# *Zważ na język*

KS. ADAM BONIECKI

Śmierć prezydenta Pawła Adamowicza z ręki człowieka być może szalonego wstrząsnęła Polakami. Jak świat światem szaleńcy i przebiegli zamachowcy mordowali wybitne postacie. Ali Ağca strzelał do papieża, zastrzelono prezydenta Kennedy'ego... długo można by wyliczać. A ileż takich zabójstw nie dociera do naszej świadomości, odnotowują je co najwyżej kroniki policyjne.

Mówi się, że morderca jest psychicznie chory. O dziewczynie, która z nożem rzuciła się na Brata Rogera z Taizé i go zabiła, także się mówiło, że była psychicznie nie w porządku. Eligiusza Niewiadomskiego, zabójcy prezydenta Gabriela Narutowicza, nie badali psychiatrzy. Z późniejszych analiz i studiów wynika, że był on co najmniej socjopatą i z pewnością człowiekiem niezrównoważonym psychicznie. Prof. Jerzy Szacki, wybitny socjolog, po zabójstwie Marka Rosiaka, pracownika łódzkiego biura Prawa i Sprawiedliwości w 2010 r., nawiązując do zamachu na Narutowicza, napisał: „Jeśli człowiek nie potrafi się zdystansować wobec wydarzeń, nie panuje nad swoimi emocjami lub jest chory, to spirala nienawiści rozkręcona przez polityków może mieć taki finał". Faktycznie, po wyborze Narutowicza spirala nienawiści została rozkręcona do granic możliwości. Osoby o zachwianej psychice bywają czułe jak sejsmograf na to, co się dzieje i na co jest – jak im się wydaje – przyzwolenie. Ludzi o zachwianej psychice są miliony.

Zapowiadano, że teraz, po śmierci Pawła Adamowicza wyruszą marsze przeciw nienawiści. Miałyby nas zjednoczyć. Piękny gest, tylko czy na pewno marsz jest najlepszym remedium na nienawiść? Oby!

Do znudzenia wszyscy lamentujemy nad „językiem nienawiści". Ten język demaskujemy u innych. Nawet jeśli za używanie go zostały wyznaczone kary, to z ich aplikowaniem nadal są kłopoty. Żeby się wyzbyć „języka nienawiści", należy z serca usunąć nienawiść. Czy nasze polityczne spory muszą się zmieniać w walkę na śmierć i życie? Czy tak trudno się pogodzić z myślą, że zwykłą koleją rzeczy dziś rządzący, jutro odejdziemy od władzy, a na nasze miejsce wejdzie dawna opozycja? Czy tak trudno się pogodzić z myślą, że i wtedy nadal trzeba żyć razem, że od pragnienia władzy ważniejsze musi być dobro wspólne ojczyzny i obywateli?

Śmierć prezydenta Gdańska, Pawła Adamowicza, zapisze się w historii Polski. Straszliwe są te krwawe zapisy naszej historii. Może ten dzisiejszy zapis rozpocznie marsz nas wszystkich przeciw nienawiści. Jeśli nie rozpocznie, to zgrozą napawa myśl, jaki będzie finał. ©℗

**O ZABÓJSTWIE PREZYDENTA PAWŁA ADAMOWICZA piszemy na długo po wysłaniu większości tego numeru „Tygodnika Powszechnego" do drukarni. Tam też musiała znaleźć się z dużym wyprzedzeniem okładka, która nas tak cieszyła – miał być na niej wreszcie odcień radości.** **REDAKCJA**

POŻEGNANIE

Wstrząśnięci wiadomością o tragicznej śmierci

Ś.†P.

Pawła Adamowicza

prezydenta Gdańska

składamy wyrazy głębokiego współczucia
Bliskim Zmarłego

Redakcja „Tygodnika Powszechnego"

MARCIN OBARA / PAP

## Bądź dobrym Europejczykiem, rozmawiaj z każdym

**WICEPREMIER (I FAKTYCZNY NUMER JEDEN W RZĄDZIE)** Włoch Matteo Salvini bawił w Warszawie. Kierowana przezeń Liga, najsilniejsza obecnie włoska partia, szuka miejsca na europejskiej scenie politycznej. W tym celu próbuje zmontować szeroki sojusz „tożsamościowej" prawicy (m.in. wespół z Marine Le Pen), który po majowych wyborach – jeśliby się powiódł plan maksimum – mógłby być trzecią siłą w Parlamencie Europejskim. Także PiS rozgląda się za nowym „namiotem", pod którym mógłby zamieszkać po wyborach, ponieważ grupa Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy po zniknięciu brytyjskich torysów zupełnie straci na znaczeniu. Ligę i PiS łączy wiele – choćby wrogi stosunek do duopolu chadeków i socjaldemokratów, którzy sprawują faktycznie władzę w Brukseli, a także retoryka nacjonalistyczna – ale różni jedno: partia Salviniego ma (powszechne zresztą w całej włoskiej klasie politycznej) ciepłe nastawienie do Rosji i w poprzedniej kampanii wyborczej domagała się cofnięcia albo złagodzenia sankcji.

W tym kontekście pojawiły się zarzuty, że Kaczyński przyjmując Salviniego daje dowód, że jego polityka staje się coraz bardziej prorosyjska w sferze faktów, jeśli nie retoryki. Tymczasem do elementarza polityki w Unii należy prezentowanie aż do upadłego swoich racji partnerom, którzy mają sprzeczne z naszymi interesy. Dla dobra zaś stabilności władz unijnych przyszłej kadencji należałoby sobie życzyć, żeby obecni „populiści" różnej maści istotnie potrafili działać pod jednym szyldem i brać sporą cząstkę odpowiedzialności za decyzje – nic tak nie powściąga skrajnej retoryki jak udział w faktycznej władzy. ©℗ PAWEŁ BRAVO

Więcej na **powszech.net/salvini**

## Strajk w oświacie niemal pewny

**FIASKO BYŁO DO PRZEWIDZENIA:** ubiegłotygodniowe spotkanie minister edukacji Anny Zalewskiej ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego i innymi organizacjami doprowadziło do wszczęcia przez ZNP procedury sporu zbiorowego. Co to oznacza w praktyce? – Gdyby brać pod uwagę nastroje nauczycieli, już dzisiaj mógłby się zacząć strajk – mówi „Tygodnikowi" prezes ZNP Sławomir Broniarz. – Ale obowiązują nas procedury, zgodnie z którymi poprosiliśmy wszystkie związkowe ogniwa, by wystąpiły przed 8 lutego do dyrektorów z żądaniem podwyżek. Potem dajemy sobie 30–40 dni na negocjacje. Strajk – o ile okaże się konieczny – mógłby się rozpocząć na przełomie marca i kwietnia.

MEN obiecało nauczycielom zwiększenie pensji w trzech transzach: przez trzy lata, o 5 proc. każdego roku. ZNP odpowiada, że te podwyżki sfinansowali sobie... sami pedagodzy, tracąc np. niektóre dodatki. I żąda o tysiąc złotych więcej. Skąd ta kwota? – Z różnicy między przeciętnym wynagrodzeniem w Polsce a pensją nauczyciela stażysty. Dzisiaj zarabia on około 1700 zł. Pensja na poziomie 2700 zł nie byłaby wysoka, ale można by już mówić o pewnej zachęcie dla młodych nauczycieli – mówi prezes ZNP, a pytany o formę ewentualnego strajku odpowiada, że możliwa jest tylko jedna: odstąpienie od pracy.

Akcja strajkowa, o ile do niej dojdzie, zdecyduje o przyszłości nie tylko nauczycieli, ale też kierownictwa ZNP. – Jeśli nie będziemy w stanie przekonać pedagogów, że podwyżki na poziomie około 100 zł miesięcznie są niewystarczające, a pojedyncze protesty będą się odbywać oddolnie, to zrodzi się pytanie: czy ZNP reprezentuje jeszcze środowisko? – mówi Broniarz, nie wykluczając scenariusza rezygnacji zarządu związku.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Cała rozmowa ze Sławomirem Broniarzem na **powszech.net/znp**

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

## Owsiak rezygnuje

**„TO JEST TRAGICZNA SYTUACJA** związana z finałem i taka już pozostanie. Warto, żeby Orkiestra funkcjonowała. To życie zostało stracone podczas najpiękniejszego dnia, jakim jest finał" – powiedział na konferencji podsumowującej 27. edycję Orkiestry jej szef. Chwilę później ogłosił, że składa rezygnację z funkcji prezesa zarządu Fundacji WOŚP. Jako powód swojej decyzji Jerzy Owsiak podał publikacje prawicowych mediów, krytykujące go za wypowiedzi – a także przypisujące mu współodpowiedzialność za zaognianie panującej w Polsce atmosfery nienawiści.

Nie wiadomo, kto zastąpi Owsiaka na stanowisku prezesa. W zarządzie mają pozostać jego pozostali dotychczasowi członkowie: będący wiceprezesem kardiochirurg dziecięcy prof. Piotr Burczyński, a także członkowie: Lidia Niedźwiedzka-Owsiak i Bohdan Maruszewski. ©℗ PW

# *Bezczynność kurii gdańskiej*

ARTUR SPORNIAK

Mija szósty tydzień bezczynności kurii gdańskiej wobec ujawnionego przez „Gazetę Wyborczą" wykorzystywania seksualnego dzieci przez ks. Jankowskiego. Kuria ogłosiła, że nie otrzymała dotychczas żadnego zgłoszenia, wobec czego nie ma podstaw do działania.

Nie jest to prawda – zgodnie z przepisami kościelnymi do rozpoczęcia dochodzenia wystarczy „prawdopodobna wiadomość o przestępstwie", a taką jest artykuł prasowy. Abp Głódź podczas pasterki stwierdził jednak, że to środowiska wrogie Kościołowi atakują byłego kapelana Solidarności. Dał w ten sposób do zrozumienia, że nie zamierza wyjaśnić sprawy.

Metropolita gdański należy do biskupów, którzy uważają problem pedofilii za wyolbrzymiany. Poza tym ma jeszcze tylko 20 miesięcy do emerytury i zapewne nie chce zrażać do siebie bliskiego także i jemu środowiska broniącego ks. Jankowskiego.

Naiwnością jest jednak uważać, że problem uda się przeczekać. Organizatorzy protestów pod pomnikiem ks. Jankowskiego zapowiedzieli, że będą spotykać się 13. dnia każdego miesiąca. A bezradny do tej pory wobec abp. Głódzia przewodniczący Episkopatu może otrzymać specjalne uprawnienia od Franciszka na lutowym spotkaniu w Watykanie w sprawie pedofilii. Papieża bowiem irytują biskupi bagatelizujący ten problem. ©℗

## Wiara Polaków słabnie

**CHOĆ W PORÓWNANIU DO 2016 R.** odsetek katolików uczęszczających na msze w 2017 r. wzrósł o 1,6 proc. – z 36,7 do 38,3 proc. – nie można z najnowszych danych ogłoszonych przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego wyciągać optymistycznych prognoz. Przeciwnie – statystyki pokazują systematyczną tendencję spadkową (od 51 proc. w 1980 r.). Potwierdza to fakt, że choć frekwencja na mszach w 2017 r. wzrosła, i tak jest gorsza niż w 2015 r. (39,8 proc.). Socjologowie mówią o pełzającej sekularyzacji. Z uwagi na reakcję Polaków na film „Kler" ciekawe będą dane z 2018 r. – są one dopiero opracowywane. ©℗ ASK

## Papiescy maratończycy

**WATYKAN MOŻE JUŻ BIEGAĆ OFICJALNIE** – drużyna Athletica Vaticana została członkiem Włoskiej Federacji Lekkiej Atletyki i będzie reprezentować Stolicę Apostolską podczas zawodów sportowych. Biegacze są pierwszym zespołem, który otrzymał profesjonalny certyfikat – zwolennicy innych dyscyplin uprawianych za Spiżową Bramą (piłki nożnej, koszykówki czy krykieta) biorą udział jedynie w rozgrywkach wewnętrznych i towarzyskich. Watykańską drużynę biegową tworzy 60 zawodników, świeckich i duchownych, w wieku od 20 do 62 lat. Są wśród nich gwardziści szwajcarscy, żandarmi, strażacy, pracownicy muzeum, działów technicznych, ekonomicznych, a także drukarz, dziennikarz, stolarz, kilku księży i jedna siostra zakonna.

Podczas prezentacji zespołu na konferencji prasowej w ubiegłym tygodniu poinformowano też o podpisaniu przez Stolicę Apostolską porozumienia z Włoskim Komitetem Olimpijskim, co otwiera – przynajmniej teoretycznie – sportowcom w koszulkach z papieskim herbem drogę do igrzysk. Na razie jednak ich celem będą rozgrywane co dwa lata mistrzostwa małych państw Europy. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Więcej na **powszech.net/athletica**

## Czepek Chrystusa

**PODOBNO USZYŁA GO MATKA BOŻA,** przechowywali apostołowie, a na Zachód trafił jako dar patriarchy jerozolimskiego Tomasza i kalifa Haruna ar-Raszida dla Karola Wielkiego. Według innej tradycji przywiózł go z Ziemi Świętej po pierwszej krucjacie biskup Géraud z Cardaillac. Tzw. czepek Jezusa, jedna z najsłynniejszych francuskich relikwii, zostanie w tym roku wystawiony na widok publiczny z okazji 900. rocznicy poświęcenia katedry w Cahors (południowa Francja), w której jest od średniowiecza przechowywany. Był otoczony wielką czcią, czemu sprzyjało położenie Cahors na szlaku do Santiago de Compostela. Na odnowieniu kultu relikwii – od lat 60. XX w. umieszczonej w jednej z wewnętrznych kaplic katedry – zależy obecnemu (od 2015 r.) biskupowi miasta, Laurentowi Camiade'owi.

Czepek jest jedną z relikwii związanych ze złożeniem Chrystusa do grobu, nie został jednak nigdy poddany solidnym badaniom historycznym i laboratoryjnym. W starożytności Żydzi istotnie zakładali na głowę zmarłego czepek i przewiązywali pod brodą, aby zapobiec otwieraniu się ust. Na twarz nakładano chustę, a ciało owijano całunem.

Umieszczony w pozłacanym relikwiarzu czepek będzie można oglądać od 14 kwietnia do 8 grudnia, a w Niedzielę Miłosierdzia Bożego 28 kwietnia odbędzie się procesja z relikwią ulicami Cahors. ©℗ MAM

CATHÉDRALE SAINT-ÉTIENNE DE CAHORS

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**MICHAŁ TRELA** opowie o Wiśle Kraków (s. 28) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 16 stycznia o godz. 15.40.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

DARKO VOJINOVIC / AP / EAST NEWS

## Serbia: polityczna przemoc

**VUČIĆ MUSI ODEJŚĆ?** Pod hasłami „Zatrzymać zdradę, obronić konstytucję" już szósty tydzień trwają w Belgradzie i innych miastach Serbii masowe demonstracje przeciwko prezydentowi Aleksandrowi Vučiciowi, najbardziej wpływowemu politykowi na Bałkanach. Zarzuty – o despotyczny styl sprawowania urzędu i ograniczanie wolności mediów – powtarzają się od dawna. Nowością jest skala protestów. Pierwszy raz od 2000 r. (obalenia Slobodana Miloševicia) przeciw władzy jednoczą się lewica i prawica. Demonstracje rozpoczęły się w listopadzie po tym, gdy w mieście Kruševac „nieznani sprawcy" pobili jednego z polityków opozycji.

Prezydent Vučić zapowiada, że nie ustąpi, nawet jeśli na ulice wyjdzie 5 mln ludzi (populacja Serbii to ok. 6 mln). Ma powody, by czuć się pewnie: z 53 proc. poparcia jego Serbska Partia Postępowa (SNS) nie ma w polityce konkurentów. Jego przypadek – polityka formalnie proeuropejskiego, w praktyce hołubiącego porządki autorytarne – coraz częściej porównuje się do Viktora Orbána, premiera sąsiednich Węgier. ©℗ MARCIN ŻYŁA

## My rozmawiamy, Pekin słucha

**CZY SPRZĘT CHIŃSKIEJ FIRMY HUAWEI** jest technologicznym wytrychem, za pomocą którego wywiad Państwa Środka od lat zdobywa tajne informacje? Aresztowanie Weijinga W., szefa sprzedaży Huawei Polska, którego oskarżono o szpiegostwo, to kolejny argument, który może przemawiać za taką hipotezą.

1 grudnia 2018 r., na życzenie USA, w Kanadzie zatrzymano Meng Wanzhou, córkę założyciela Huawei, która jest dyrektorem finansowym firmy. We wniosku o ekstradycję Amerykanie wymienili zarzut defraudacji i złamania embarga na dostawy technologii do Iranu, zapewne jednak chodzi o coś jeszcze poważniejszego. Amerykanie od lat podejrzewają Huawei o zakrojone na szeroką skalę cyberszpiegostwo. Biały Dom skreślił firmę z listy dostawców do amerykańskiego sektora publicznego i tego samego domaga się oficjalnie od sojuszników z NATO.

Na razie na podobne rozwiązanie zdecydowały się Australia i Nowa Zelandia. W Niemczech, Francji i Wielkiej Brytanii politycy coraz częściej wspominają jednak o wykluczeniu Huawei z kontraktów na budowę sieci 5G przez europejskich operatorów telekomunikacyjnych. ©℗ MAREK RABIJ

# *Podatkiem w otyłość*

MONIKA OCHĘDOWSKA

TRUPIA CZACHA NA WIDELCU i dynamit w kształcie kiełbaski – na przystankach autobusowych pojawiły się prace laureatów konkursu Galerii Plakatu AMS. Ich celem, jak dumnie głoszą organizatorzy, jest zachęta do zmiany naszych kulinarnych przyzwyczajeń. Kampania zbiegła się w czasie z akcją Ministerstwa Zdrowia „Nie serwuj sobie choroby". W telewizyjnym spocie hostessa objaśnia czteroosobowej rodzinie, że w pakiecie z hamburgerami zamówiła właśnie cukrzycę, nadciśnienie i raka jelita grubego. Po wyliczeniu wszystkich chorób cywilizacyjnych spokojny głos lektora zapewnia, że wciąż „mamy wybór".

Ustawodawca także ma wybór, mimo to konsekwentnie wspiera kampanie, które mają niewielki wpływ na zmianę naszej diety. Najwięcej zdziałamy edukując przedszkolaki – tak wynika z kolejnych badań. Dzieci zaś chętnie jedzą to, co widzą w telewizji. A przynajmniej o te produkty proszą w sklepie rodziców. Dwa lata temu w Filadelfii wprowadzono podatek, który jak dotąd obniżył spożycie słodkości przez dzieci o 22 proc. Na podobne rozwiązania zdecydowały się m.in. Węgry i Meksyk. Tymczasem Polska wciąż nie wykorzystuje stawek podatkowych jako narzędzia promocji zdrowej żywności – wynika z opublikowanego na początku roku raportu firmy Crido. Z dokumentu dowiadujemy się też, że z 5 do 23 proc. wzrośnie w przyszłym roku m.in. VAT na owoce morza. A to jeden ze zdrowszych pokarmów. ©℗

## Japonia: zabawa kamieniami

KYODO NEWS / GETTY IMAGES

**DZIEWIĘCIOLETNIA** uczennica zostanie najmłodszym profesjonalnym graczem w grę go. Sumire Nakamura uczy się w szkole podstawowej w Osace, a w popularną w jej rodzinnych stronach grę strategiczną zaczęła grać w wieku trzech lat. Zachęcił ją do tego ojciec, który sam jest zawodowym graczem – w 1998 r. zdobył krajowy tytuł. Sumire oficjalnie rozpocznie karierę na najniższym profesjonalnym poziomie gry 1 kwietnia – będzie miała wtedy 10 lat. Pobije tym samym rekord, który dziewięć lat temu ustanowiła Rina Fujisawa – gdy przechodziła na zawodowstwo, miała 11 lat i 6 miesięcy.

Szacuje się, że strategiczna gra go ma przynajmniej dwa tysiące lat. Uważana jest za jeden z fundamentów kultury Dalekiego Wschodu. Rywalizuje w niej dwóch zawodników – na planszy, która ma 19 na 19 przecięć, układają białe i czarne kamienie.

Sumire Nakamura została wybrana przez Stowarzyszenie Japan Go do programu szkoleniowego dla czołowych młodych japońskich graczy, którzy mają rywalizować z chińskimi i koreańskimi zawodnikami w międzynarodowych turniejach.

„Jestem szczęśliwa, kiedy wygrywam" – mówiła przyszła profesjonalistka podczas konferencji prasowej.

©℗ EB / THE GUARDIAN / / BBC NEWS

ALEXANDRA SCHULER / DPA / PAP

**MA 77 PIĘTER, 89 LAT I 319 METRÓW WYSOKOŚCI,** co pozwoliło mu cieszyć się mianem najwyższego budynku świata… przez 11 miesięcy, kiedy wyprzedził go Empire State Building. Niebawem zyska też nowego właściciela: Chrysler Building, jedna z najbardziej charakterystycznych budowli Manhattanu i ikona amerykańskiego art déco, idzie pod młotek. Dotychczasowy właściciel, Abu Dhabi Investment Council, odkupił w 2008 r. 80 proc. udziałów w nieruchomości od firmy Tishman Speyer Properties za 800 mln dolarów. ©℗ MR

## Groźne bzdury

**NIEBEZPIECZNA ORAZ NIEETYCZNA** głupota przed głupotą niewinną – takimi kryteriami kierowali się głosujący w trzeciej edycji plebiscytu na Biologiczną Bzdurę Roku. Wśród nominacji nie brakowało raczej pociesznych bzdur (aktorka Joanna Koroniewska-Dowbor: „Kiedyś gluten miał naście chromosomów, a dziś ponad 50”, polityk Piotr Strzembosz: „Człowiek ssie mleko matki, ale ssakiem nie jest. Nie każdy ssak jest zwierzęciem” – trudno powiedzieć, co właściwie autorzy natchnieni mieli na myśli), ale najwięcej głosów zdobył lider ruchów antyszczepionkowych Jerzy Zięba, który stwierdził: „Mam nadzieję, że polskie dzieci będą masowo chorować na odrę, dlatego że będą wtedy zdrowsze!”.

Drugie miejsce przypadło firmie Sante, reklamującej swoje produkty jako prozdrowotne ze względu na wysoką zawartość biofotonów, czyli… światła wytwarzanego przez organizmy – np. świetliki. Pomysłodawcą i organizatorem głosowania jest Łukasz Sakowski, autor bloga totylkoteoria.pl, znany także z łamów „Tygodnika”. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

## Gdzie jest północ?

**W ARKTYCE TRWA POŚCIG.** Uciekinier przekroczył granicę Kanady i kieruje się w stronie Rosji.

Jest nim biegun magnetyczny Ziemi, czyli punkt, który kompasy wskazują jako północ. W 1831 r. został odkryty w kanadyjskiej Arktyce. Nie miał ochoty tam zostać. Przesuwał się w stronę bieguna geograficznego z prędkością 15 km na rok. W połowie lat 90. pędził już trzy razy szybciej. W 2001 r. wkroczył na Ocean Arktyczny. W ubiegłym roku znalazł się na wschodniej półkuli. Dziś jest na najlepszej drodze do przeprowadzki na Syberię.

Powodem są ruchy gigantycznej kuli ciekłego żelaza stanowiącej jądro Ziemi i źródło większości jej magnetyzmu. Ale i fakt, że skorupa Ziemi ślizga się po jej wnętrznościach, co sprawia, że wydaje nam się, że bieguny zmieniają pozycję.

To problem, bo kompasy nawet w erze GPS stanowią podstawę nawigacji. 15 stycznia miała powstać nowa wersja Światowego Modelu Magnetycznego (i zastąpić zdezaktualizowaną wersję z 2015 r.), ale na drodze stanęła amerykańska polityka i zamrożenie prac agencji rządowych USA. Nawigatorzy powinni na razie odkurzyć sekstanty i nieufnie patrzeć na kompasy.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

### KULTURA W SKRÓCIE

**DOBRE.** Kolejny sukces polskiej literatury za granicą: amerykańska poetka i tłumaczka Alissa Valles otrzymała nagrodę Modern Language Association za przekład tomu „Nasze życie rośnie” („Our Life Grows”) Ryszarda Krynickiego, opublikowanego przez wydawnictwo New York Review Books.

**LEPSZE.** „Jeszcze nigdy kultura nie miała tak dobrej sytuacji budżetowej” – ocenił sytuację w swoim województwie radny sejmiku śląskiego Piotr Czarnynoga (PiS). Podobnego zdania jest z pewnością zarząd Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk, jedyny beneficjent tej zmiany. Muzeum Śląskiemu, Teatrowi Śląskiemu i Teatrowi Rozrywki obcięto budżety o łącznie 6 mln zł, a Biblioteka Śląska w Katowicach otrzymała od marszałka ponad 4,6 mln zł mniej niż w ubiegłym roku.

**GORSZE.** W kryzysowej sytuacji jest Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej. Z wnioskowanych 53 tys. zł MSWiA przyznało muzeum tylko 33 tys. zł dofinansowania, co spowodowało tymczasowe zamknięcie działającej od pół wieku instytucji. Muzeum to skansen z łemkowską chyżą, koniusznią, kuźnią, kaplicą, wiatrakiem i małą karczmą, ale też biblioteką i archiwum. Rocznie odwiedza je ok. 10 tys. osób.

**ULUBIONE.** Słuchacze Polskiego Radia wybrali płytę, książkę i wydarzenie roku 2018. Najchętniej czytaną okazała się Magdalena Grzebałkowska, autorka biografii „Komeda. Osobiste życie jazzu”. Wyróżniono także album „Mi” grupy Tęskno oraz przygotowaną z okazji stulecia niepodległości wystawę „Wielcy sarmaci tego kraju / Wielkie sarmatki tego kraju” w tarnowskim BWA.

**CARRAMBA!** Sarmatów pomnikami upamiętnia zwykle Radom, tymczasem w Bielsku-Białej w przyszłym roku będziemy mogli podziwiać rzeźbę Baltazara Gąbki. Byłaby to już trzecia rzeźba związana z animacjami wywodzącymi się z miejscowego Studia Filmów Rysunkowych. W przyszłości planowane jest rozszerzenie szlaku o kolejne figury, które utworzą turystyczny „Szlak Bielskich Bajek”.

TEMAT TYGODNIKA

# PIECZEŃ MINISTERIALNA

W nagonce na dziki zwierzęta są najmniej istotne. Dlaczego padły ofiarą polityki?

ADAM ROBIŃSKI

Minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski w imię walki z afrykańskim pomorem świń (*african swine fever*, ASF) zlecił Polskiemu Związkowi Łowieckiemu masowy, skoordynowany odstrzał polskiej populacji dzika – kilkuset tysięcy osobników. Miałoby to uchronić przed ASF 12 mln hodowanych w Polsce świń.

Człowiek udomowił świnie niedawno, bo raptem 7 tys. lat temu. Proces był długotrwały, ale wyjątkowo skuteczny: nocny tryb życia stał się dziennym, a jeden okres rozrodu regularnym cyklem rujowym. Wszystkożerne zwierzę szybko dojrzewa, szybko rośnie, a jego mięso ma wysoką wartość odżywczą. Nic, tylko hodować i przeliczać na kalorie. Posiłkując się danymi Głównego Urzędu Statystycznego możemy świni przypisać konkretną wartość pieniężną. W sierpniu ubiegłego roku sprzedawany na targowisku prosiak kosztował średnio 187 złotych i 11 groszy.

O dzikich krewnych świń mało kto myśli już w kategoriach spożywczych. Coraz cieplejsze zimy nie regulują ich populacji tak intensywnie jak dawniej, a wielkoobszarowe uprawy kukurydzy są dla nich darmową stołówką. Nie brakuje też stosów buraków, ziemniaków i kukurydzy wyrzucanych na polany przez myśliwych, którzy w ten sposób nęcą zwierzynę. To głównie dlatego w Europie żyje dziś tak dużo dzików. Trudno nawet powiedzieć ile. Nie ma skutecznych mechanizmów liczenia, a wahania szacunków są ogromne. Według jednych źródeł w Polsce żyje 200 tys. osobników, według innych nawet pół miliona. Liczbę, jakakolwiek by ona była, ocenia się głównie przez pryzmat wyrządzanych przez dziki szkód w uprawach. Może dlatego ich życie na złotówki zamiast rynku i GUS przekalkulowało samo ministerstwo, deklarując płacenie po 650 zł za tzw. przelatkę (samicę w drugim roku życia) i dorosłą lochę oraz po 300 zł za sanitarny odstrzał innych dzików.

### Areał dzika

Wirus ASF zaobserwowano po raz pierwszy w 1910 r. w Afryce i do połowy XX w. walka hodowców z chorobą dotyczyła tylko tego kontynentu. Ale w 1957 r. ASF pojawił się w Portugalii, potem m.in. w Hiszpanii, we Francji i Włoszech. Do Polski zawędrował niedawno, bo w 2014 r., i to z zupełnie innej strony. Prawdopodobnie źródłem nieszczęść polskich hodowców trzody był chory dzik, który przeszedł przez białoruską granicę. Wirus przemieszczał się na Podlasie aż z Kaukazu. W 2016 r. był już na Mazowszu i Lubelszczyźnie, w 2018 r. na Warmii i Mazurach oraz na Podkarpaciu. Dziś obszar jego występowania wyznacza linia poprowadzona 30 km na zachód od Wi-

ADOBE STOCK

sły. Kolejnym województwem dotkniętym przez chorobę może być wielkopolskie.

ASF to choroba o ostrym i przewlekłym przebiegu, która kończy się zwykle śmiercią zwierzęcia po paru dniach od zachorowania.

– Zanim padnie, chory dzik nie zawędruje daleko, więc ASF wcale szybko się nie rozprzestrzenia – mówi dr Robert Mysłajek z Instytutu Genetyki i Biotechnologii Uniwersytetu Warszawskiego. – To wynika z organizacji socjalnej życia dzików. Locha prowadzi młode na obszarze dwóch kilometrów kwadratowych. Wirus jest dla dzików zagrożeniem o charakterze lokalnym. Na pewno nie zagraża całej populacji gatunku.

Słowa naukowca potwierdzają dane. Jak podaje PZŁ, do 3 grudnia ubiegłego roku potwierdzono 2232 przypadki ASF u dzików. W województwie lubelskim 896, mazowieckim 864, warmińsko-mazurskim 287, podlaskim 185. Z badań dr. Tomasza Podgórskiego z Instytutu Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży wynika, że wirus wędruje przez polską populację dzika w tempie półtora kilometra na miesiąc, a obawy dotyczące gwałtownego wybuchu epidemii nie mają pokrycia w rzeczywistości. Zestawiając badania telemetryczne z danymi epidemiologicznymi wykazał, że mobilność dzików nie ma wpływu na liczbę przypadków ASF oraz tempo i zasięg rozprzestrzeniania się choroby.

– Problemu nie ma tak długo, jak długo nie włącza się w to człowiek – tłumaczy prof. Zygmunt Pejsak, do niedawna wieloletni pracownik Państwowego Instytutu Weterynaryjnego w Puławach, dziś na emeryturze. – Ale trzeba podkreślić, że dziś nie ma epidemii ASF wśród świń hodowanych w Polsce. Ostatnie ognisko wykryto trzy miesiące temu. Od tamtej pory nikt nie wprowadził wirusa z natury do chlewni. Kiedy taki przypadek następuje, decyzją administracyjną całe stado jest utylizowane, a Polska na 12 miesięcy trafia na listę krajów dotkniętych ASF. ↦

– Jeśli pyta pan, czy odstrzał dzików pomoże zatrzymać rozwój ASF, to powiem, że może pomóc, ale tylko jeśli będzie jednym z elementów walki z chorobą. I nie w całym kraju, ale w pasie 50–100 km od czoła pomoru i 50 km wzdłuż wschodniej granicy – mówi prof. Pejsak.

W podobnym tonie wypowiedziała się w piątek Anna-Kaisa Itkonen z zespołu prasowego Komisji Europejskiej. Jej zdaniem odpowiednio przeprowadzona redukcja populacji jest jedną z metod walki z pomorem.

Prof. Pejsak zwraca jednak uwagę na inne metody walki z wirusem: – Bez egzekwowania wymogów bioasekuracji jakiekolwiek strzelanie do dzików będzie bezcelowe. A jeszcze ważniejsze jest zbieranie padłych dzików. Nie od przypadku do przypadku, jak obecnie, ale sumienne, metodyczne, na ogromną skalę. To musi być zorganizowana akcja. Znaleźć i zutylizować.

### Materac jako fosa

Wirus przeżywa w tkance martwego zwierzęcia nawet sześć miesięcy. Jego powolna wędrówka może przyspieszyć, gdy dostanie się np. na podeszwę buta grzybiarza czy mundur myśliwego lub leśnika. Ale tylko pod warunkiem, że ów przypadkowy nosiciel (któremu wirus żadnej krzywdy nie zrobi) wejdzie potem do chlewni, nie dochowawszy podstawowych wymogów higieny. Do głównych zasad tzw. bioasekuracji, a więc izolacji trzody od czynników zewnętrznych, należą m.in.: grodzenie gospodarstw, ograniczenie możliwości wizytowania fermy przez osoby postronne, stosowanie odzieży ochronnej, okresowe zabiegi dezynsekcyjne, zabezpieczenie hodowli przed dostępem innych zwierząt.

Rok temu Najwyższa Izba Kontroli opublikowała druzgocący dla Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Głównego Lekarza Weterynarii raport o zakresie przygotowania oraz nadzoru nad realizacją programu bioasekuracji w hodowlach. Dotychczasowy szef resortu Krzysztof Jurgiel za nieudolną walkę z ASF zapłacił posadą. Zastąpił go Ardanowski. Jednym z pomysłów Jurgiela była budowa długiego na ponad tysiąc kilometrów płotu wzdłuż wschodniej granicy, który miałby bronić polską populację dzika przed nowymi nosicielami wirusa. Ogrodzenie miało kosztować 235 mln zł. Ostatecznie pieniądze te przekazano na wdrożenie programu bioasekuracji. Ale według NIK propozycje resortu były niewystarczające i nie uwzględniały charakteru większości polskich hodowli. Średni koszt dostosowania gospodarstwa do wymogów oszacowano na 33 tys. zł, co dla rolnika trzymającego 50 świń jest kwotą astronomiczną. Izba wskazała, że właściwe zabezpieczenia do 2017 r. realnie wdrożyło raptem 6 proc. gospodarstw.

> Ganienie hodowców za zaniedbania byłoby na początku wyborczego maratonu politycznym samobójstwem. Z dzików **rząd zrobił więc kiełbasę wyborczą dla rolników.**

Do raportu dołączono kilka zdjęć ilustrujących zaniedbania. Widać na nich m.in. łóżkowe materace w funkcji mat dezynsekcyjnych niedbale rzucone przed bramę wjazdową czy podarty koc położony przy furtce. I śmieszno, i straszno.

### Myśliwi na minie

Na zmasowany, skoordynowany we wszystkich obwodach łowieckich odstrzał dzików Polski Związek Łowiecki dostał trzy weekendy. Zgodnie z obowiązującym prawem zbiorowe polowania na te zwierzęta mogą odbywać się tylko do końca stycznia. Cel, który postawiono przed myśliwymi, to redukcja populacji do poziomu 0,1 dzika na kilometr kwadratowy obwodu łowieckiego. Nie do końca wiadomo, dlaczego akurat tyle. Wbrew słowom Ardanowskiego wśród naukowców nie ma mowy o statystycznej granicy bezpieczeństwa, za którą wirus z natury znika. Zresztą skoro nie wiadomo, ile dzików żyje w Polsce, to skąd ma być wiadomo, kiedy zakończyć odstrzał?

– Nie mamy żadnych narzędzi ani technologii weryfikujących zagęszczenie populacji dzika na danym terytorium. Nie da się tego zrobić – mówi prof. Henryk Okarma z Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie. Cel postawiony przed PZŁ nazywa po prostu nieosiągalnym. Przekonuje, że wiązanie nadziei na zatrzymanie ASF z redukcją populacji dzika nie ma podstaw merytorycznych. Co więcej, zmasowane polowania mogą przyspieszyć migracje wypłoszonych dzików, a tym samym wędrówkę wirusa na zachód.

Od kwietnia do końca listopada ubiegłego roku zastrzelono 168 tys. dzików (myśliwi potrzebowali na to łącznie prawie 3 mln wyjść w łowisko, co daje 18 wyjść w celu pozyskania jednego dzika!). Od początku epidemii ASF – prawie milion. W żaden sposób nie wyhamowało to jej rozwoju.

Według raportu Europejskiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Żywności z lipca 2018 r. nie ma żadnych dowodów na to, że wirus rozprzestrzenia się szybciej tam, gdzie populacja dzika jest większa. „Dane sugerują, że zagęszczenie populacji dzików jest tylko jednym z czynników wpływających na rozprzestrzenianie się ASF" – czytamy w dokumencie. I to nie dziki, ale owe inne czynniki mają decydujący wpływ na to, czy epidemię udaje się lokalnie opanować, czy nie.

Po ogłoszeniu przez centralę PZŁ wezwania do koordynacji zbiorowych polowań zawrzało wśród samych myśliwych.

„To nie ma być odstrzał, to nie ma być pozyskanie, to nie ma być redukcja populacji, to ma być masakra" – napisał w opublikowanym na Facebooku liście otwartym do innych myśliwych Marek Porczak, członek Koła Łowieckiego Ostoja w Jarosławiu. Również Jerzy Wachowiak, rzecznik PZŁ w Poznaniu, mówił „Głosowi Wielkopolskiemu", że nie widzi sensu odstrzału. Na forach dyskusyjnych myśliwych pojawiły się sugestie, by dla zachowania etyki łowieckiej na polowania jeździć, ale umyślnie pudłować. Oburzenie wzbudziły wezwania do polowania na lochy, które w styczniu są ciężarne. W ten głos wsłuchał się nawet Andrzej Duda. Prezydent wezwał do siebie w ostatnich dniach ministrów rolnictwa i środowiska i prosił, by rozważyli wykluczenie strzelania do prośnych loch.

Ale w środowisku myśliwych pojawiają się też sugestie, że zlecenie niemożliwej do wykonania i niemoralnej misji jest tak naprawdę wrzuceniem na minę obowiązującego w Polsce modelu łowiectwa. Dowodem na to mogą być słowa Ardanowskiego, które padły kilka miesięcy temu na sejmowej komisji rolnictwa. Minister zapowiadał, że jeśli PZŁ w krótkim czasie nie zredukuje liczby dzików, to on wystąpi o utworzenie nowego związku łowieckiego.

„Poluje jedynie 20–30 proc. myśliwych. Reszta głównie ładnie wygląda z dubeltówką. (...) Jest jakiś nieuzasadniony opór

kół łowieckich. PZŁ twierdzi, że jest organizacją społeczną, która ma swoje prawa i nic nie musi. Otóż chcę powiedzieć myśliwym, że muszą" – mówił z kolei magazynowi „Rynek Spożywczy". Ardanowski chciałby powiązać prawo do polowań z prawem własności ziemi. Dziś zrzeszeni w PZŁ myśliwi mogą korzystać z prywatnych terenów, chyba że właściciel jednoznacznie zadeklaruje swój sprzeciw.

### Im więcej dzika, tym lepiej

Wydaje się, że ogłaszając zmasowaną nagonkę na dziki, rząd chciał upiec kilka pieczeni na jednym ogniu. Związać z PiS elektorat rolniczy wraz z OPZZ Rolników i Organizacji Rolniczych, jednocześnie lobbując za reformą łowiectwa. Ardanowski mówi co prawda, że ASF nie da się powstrzymać bez skutecznej bioasekuracji, ale ganienie hodowców za zaniedbania na terenie gospodarstw byłoby na początku wyborczego maratonu politycznym samobójstwem. Z dzików zrobił więc kiełbasę wyborczą dla rolników.

Minister chyba się jednak nie spodziewał, że Polacy tak stanowczo staną w obronie zwierząt. Petycję do premiera w sprawie odwołania odstrzału podpisało kilkaset tysięcy osób, a temat był wałkowany w mediach przez cały tydzień. Może więc warto cieszyć się, że przy okazji zamieszania – jakikolwiek byłby jego skutek – w Polskę pójdzie komunikat, jak ważnym stworzeniem w ekosystemie lasu jest dzika świnia?

Z tym zgadzają się nawet myśliwi. Internetowa strona PZŁ deklaruje, że „z punktu widzenia ochrony lasu zagęszczenie powinno być nawet wysokie, gdyż szkody w drzewostanach są minimalne, a dzik jest przede wszystkim bioindykatorem zagrożenia lasu".

Prof. Okarma wyraża się jeszcze dosadniej: – Brak dzików miałby dla środowiska leśnego dramatyczne konsekwencje. Buchtując, ruszają glebę, co znacząco wpływa na kiełkowanie roślin. Zjadają gigantyczne ilości larw owadów, które w leśnictwie uważa się za szkodliwe dla upraw. Gdyby ich zabrakło, mielibyśmy do czynienia z gradacjami na niespotykaną skalę. Konieczne byłyby chemiczne opryski lasów. Poza tym dziki zjadają gryzonie, które są poważnym źródłem chorób, choćby boreliozy. Są wreszcie składnikiem pokarmowym wilków. Jako przyrodnik nie wyobrażam sobie lasu bez dzika.

© ADAM ROBIŃSKI

# Uzbrojeni hobbyści

MAREK RABIJ, MARCIN ŻYŁA

**Czym stało się w Polsce myślistwo? Odpowiedzi trzeba szukać z dala od miast i facebookowych profili ozdobionych zdjęciem dzika. W małych miejscowościach widać ją jak na dłoni.**

Perspektywa pierwsza: duże gospodarstwo rolne w Beskidzie Niskim. Hodowla bydła. Gospodarstwem kieruje Marcin Wójcik. Kiedyś polował, ale zrezygnował, bo nie chciał być łączony z tym środowiskiem: – Nie mam o nim dobrego zdania – mówi. – Duża część myśliwych nie powinna być myśliwymi.

Perspektywa druga: powiat sąsiedni, oklejone piórami ptaków i fotografiami przyrody ściany mieszkania Tomka (imię zmienione na jego prośbę) – biologa, który w lasach montuje fotopułapki rejestrujące m.in. podejrzaną działalność myśliwych. Trudno je wykorzystać w sądzie, ale nie trzeba kamer, aby zobaczyć skalę problemu: – Granica parku narodowego przebiega niedaleko, wzdłuż ściany lasu. Po drugiej stronie polany stoi dziesięć ambon. Zimą w górach zwierzęta schodzą w dół szukając jedzenia. Prosto pod muszki sztucerów, jak na strzelnicy – denerwuje się Tomek.

I wreszcie perspektywa trzecia: sami myśliwi zrzeszeni w trzech działających na terenie powiatu kołach łowieckich. To właśnie na styku tych płaszczyzn, odmiennych wrażliwości i celów rozgrywa się prawdziwy konflikt o polskie łowiectwo.

### Darz bór

Choć procentowy udział myśliwych w populacji należy w Polsce do najniższych w Europie, jako tereny łowieckie można zakwalifikować już ok. 80 proc. powierzchni kraju. 123 tys. myśliwych, skupionych w istniejącym od 1936 r. (po wojnie zreorganizowanym przez władze komunistyczne) Polskim Związku Łowieckim, stanowi też zwartą i skuteczną grupę nacisku: od powiatów, gdzie figura prezesa koła łowieckiego nierzadko przewyższa prestiżem proboszcza, po parlament, w którym myślistwo łączy ponad podziałami partyjnymi. Poluje ponad stu posłów i senatorów.

Myśliwska brać przez lata wybiła się w Polsce na autonomię za pomocą narracji, którą sama wymyśliła. Polowania – przedstawiane jako sposób regulowania pogłowia zwierzyny w ekosystemie, w którym człowiek potrzebuje dla siebie coraz więcej miejsca – z hobby urosły do rangi służby publicznej.

To koła łowieckie wypłacają dziś odszkodowania rolnikom za straty spowodowane przez dziką zwierzynę (choć formalnym właścicielem polskich dzików, saren i zajęcy jest Skarb Państwa). Myśliwski samorząd i jego kodeks etyki miały być najskuteczniejszym narzędziem kontroli nad tym, co i w jaki sposób robią nieliczni Polacy mający przywilej przebywania z bronią palną w przestrzeni publicznej. Inaczej niż posiadacze pozwoleń na broń do celów sportowych czy do ochrony osobistej, myśliwi nie muszą co pięć lat przedstawiać policji zaświadczeń lekarskich i psychologicznych o braku przeciwwskazań do dysponowania bronią.

Przez dekady pozostawialiśmy zatem myśliwych samym sobie. Tymczasem wzrosła jednak przyrodnicza i ekologiczna świadomość części Polaków. Dla tej – wciąż nielicznej, ale opiniotwórczej części społeczeństwa – myślistwo w dotychczasowym kształcie jest już nie do zaakceptowania.

### „Dziś poluję z aparatem"

Opowiada Tadeusz, emerytowany marynarz: – Poluję od dziecka. Po raz pierwszy ojciec zabrał mnie ze sobą, kiedy miałem może osiem lat. Tata nie chodził do lasu dla przyjemności, lecz po to, żebyśmy mieli co jeść. Pierwsze zwierzę, ↦

↦ zająca, zabiłem, kiedy miałem około 13 lat. Nie przypominam sobie ani ekscytacji, ani wstrętu czy strachu. Po prostu wykonałem czynność gospodarską, tak jakbym porąbał drwa. Potem ojciec pomógł mi zwierzę wypatroszyć i zanieśliśmy je do domu, żeby kruszało. Na starość zrozumiałem, że zabijanie po prostu nie jest przyjemne – dodaje. – Nie ma żadnej magii w dobijaniu czy patroszeniu. Pewien rodzaj ekscytacji odczuwam rzeczywiście podczas podchodów, ale coraz częściej chodzę tak „polować" z aparatem fotograficznym. Broń zabieram tylko wtedy, kiedy chcemy z żoną mięsa.

Jak mówi, choć czasem jadają hodowlane indyki czy kurczaki zagrodowe, to dziczyznę uważają za zdrowszą.

– Sama konieczność upolowania mięsa sprawia, że go nie nadużywamy – tłumaczy. – Nigdy bym jednak nie strzelił sarny tylko po to, żeby wyciąć z niej jedynie polędwicę. A tym bardziej jelenia dla poroża. Wielu tak robi i to jest, między innymi, powód, dla którego trzymam się jak tylko mogę z dala od środowiska myśliwych. Mój ojciec był prostym człowiekiem po kilku klasach szkoły, żadnych kodeksów etycznych nie znał, ale nigdy by nie strzelił do lochy z warchlakami albo do 20 kaczek tylko po to, żeby potrenować oko. Nie uchodzi, mówił.

– A teraz myśliwi mają gęby pełne etosu – kontynuuje Tadeusz. – Odstawiają szopki z trąbieniem, żrą nad ogniskiem ze wspólnego gara, żeby kultywować tradycję myśliwską, tylko że kodeks, który stanowi jej integralną część, większość ma w nosie. Są koła łowieckie, które do paśników, przy których nie wolno polować, sypią przez jedną zimę 200 kg pożywienia, a trzy tony walą w nęciskach, gdzie już można do zwierzyny strzelać. Potem piszą, że dokarmiły zwierzynę ponad trzema tonami karmy.

### „Pozyskania"

Z danych GUS, bazujących na informacjach z kół łowieckich, wynika, że w 2017 r. myśliwi „pozyskali" 93 tys. jeleni, 9,6 tys. danieli, 213 tys. saren, 17 tys. zajęcy, 2,9 tys. kuropatw, 310 tys. dzików, 155 tys. lisów, a także 88 żubrów, 5 wilków i 5785 bobrów. Ale nasi rozmówcy przyznają: w kołach łowieckich, hermetycznych i kontrolowalnych tylko „z bliskiej odległości", jest dużo możliwości nadużyć. Bo w powiecie z myśliwymi prawie każdy chce żyć dobrze.

Tomek: – Formalnie każde wyjście w teren powinno być wcześniej wpisane do księgi wyjść. Ale jeśli jest odstrzał na jedną sarnę, bywa, że pada ich dziesięć – i tamtych nikt potem do księgi nie wpisuje. Widziałem przebudowane maski samochodów, służące do ściągania takich „nielegalnych" zwierząt z lasu.

Inna karta przetargowa kół łowieckich to ociąganie się z wypłatą odszkodowań lub zaniżanie ich kwot.

– Czasem, jeśli rolnik jest mniej świadomy albo nie ma siły przebicia, koła łowieckie robią, co chcą – tłumaczy Marcin Wójcik. – To one szacują szkody. Jeśli rolnik nie zgadza się z oszacowaniem myśliwych, ściąga izbę rolniczą. To wszystko trwa. A on chciałby już zebrać, skombajnować to zboże. Niewielkim gospodarstwom wręcz nie opłaca się boksować z myśliwymi. Biorą po prostu to, co dają.

– Przed kamerami myśliwi mówią o ochronie przyrody, przywracaniu w niej równowagi i wykonywaniu poleceń łowczych okręgowych – tłumaczy Marcin Urbaniak, etyk i przewodniczący założonego właśnie Akademickiego Stowarzyszenia Przeciwko Myślistwu Rekreacyjnemu. – Nieoficjalnie polowania mają jednak wymiar rozrywkowy: jedziemy w las jeepami w męskim towarzystwie, pijemy alkohol, opowiadamy rubaszne dowcipy, jest rywalizacja. To cecha wielu urodzonych w latach 60. i 70. Starsze roczniki odcinają się od tej hedonistycznej otoczki.

### Kompanie braci

Na temperaturę sporu wokół myślistwa wpływ może mieć jeszcze historia. Od zawsze polowania były przywilejem elit: początkowo stanowych, potem finansowych. Przywilejem, dodajmy, łatwo przeliczalnym na kalorie. Na weselu Felicjana Potockiego z Konstancją Lubomirską w 1781 r. tylko w jeden dzień zjedzono m.in. 300 zajęcy, 55 saren, 4 dziki, 2 tys. jarząbków, tysiąc kuropatw, 100 gęsi dzikich, 800 kaczek oraz 3 tys. sztuk innej dzikiej zwierzyny. W tym samym czasie przeciętny chłop – jak odnotował historyk Henryk Łowmiański – musiał zadowolić się dietą o dziennej zawartości około 3500-4000 kalorii, czyli o około 30 proc. poniżej faktycznego zapotrzebowania osoby wykonującej stale ciężką pracę fizyczną w wymagających warunkach klimatycznych.

Polującą arystokrację Rzeczypospolitej zastąpiła polująca burżuazja, a po II wojnie światowej elity partyjne, których miejsce po 1989 r. płynnie zajęły nowe elity biznesu oraz polityki. W niemal każdej epoce olbrzymia większość nie mogła polować, a jeśli już – robiła to nielegalnie.

– Nic więc dziwnego, że z dzisiejszej, egalitarystycznej perspektywy tradycja myśliwska jawi się bardziej jako dziedzictwo tamtej uzurpacji niż składnik polskiej tożsamości – kwituje prof. Wojciech Burszta, antropolog kultury.

W ostatnich latach do kół łowieckich coraz częściej dołączają ludzie z miast, którzy z lasem i przyrodą mieli dotąd niewiele wspólnego. „Nowobogaccy" myśliwi – często przedstawiciele wolnych zawodów, lekarze, prawnicy i architekci – wnoszą do kół nową dynamikę. Wielu z nich zależy na przygodzie. Lokalnym strukturom zaś – na pozyskaniu wpływowych członków.

– Do egzaminów trzeba się uczyć. Ale jeśli na salę wchodzi starszy kandydat, lekarz czy architekt, to wiadomo, że do takiego podejdzie się inaczej – mówi Marcin Wójcik. – Elementem mojego egzaminu do Polskiego Związku Łowieckiego były testy psychologiczne. Dwadzieścia kilka osób na sali, prowadząca rozdaje pytania, mówi: „Teraz wyjdę, a wy piszcie". Jeden dyktował, pozostali odpisywali.

Tomek: – Niełatwo stać się myśliwym. Przynależność do koła łowieckiego musi zostać przegłosowana, a myśliwi to środowisko hermetyczne. Na stażu kandydackim starasz się udowodnić, że jesteś dobrym kolegą: sam budujesz ambony albo płacisz za ich wybudowanie. Jeśli się coś nie spodoba, możesz nawet dwa lata chodzić w nagonce. Wyjątkiem są kandydaci wpływowi: lekarze, prawnicy, policjanci. Ich droga jest krótsza. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się ich pomoc.

### Przeciwko uzurpacji

Dla wielu Polaków myślistwo przestało się mieścić w ramach archaicznego hobby. Odbieranie życia innym istotom to nie filatelistyka ani modelarstwo. Nie godzą się z przekonaniem wielu myśliwych, że to człowiek spośród całego stworzenia przeznaczony jest do roli gospodarza i arbitra ziemskich porządków. Uważają to za uzurpację. Spór o ostatni kontrolny odstrzał populacji dzików w Polsce nie toczy się więc ani o liczbę zwierząt do likwidacji, ani o czas jego realizacji czy skuteczność w zapobieganiu rozprzestrzenieniu się afrykańskiego pomoru świń (ASF). W jego

ADAM STASKIEWICZ / EAST NEWS

*Zbiorowe polowanie na dziki w ramach odstrzału sanitarnego. Las Karolewski w powiecie pabianickim, 12 stycznia 2019 r.*

centrum jest samo prawo do podejmowania takich decyzji.

– Znamienne, że obie strony unikają w nim argumentów merytorycznych – mówi prof. Burszta. – W internecie trwają polemiki oparte na statystykach i badaniach naukowych, ale w centrum debaty nie słychać ich w ogóle. To nie zbieg okoliczności. Nikt nikogo do niczego nie zamierza tu przekonywać, lecz jedynie podkreślić, że myśli inaczej.

Prof. Dorota Rancew-Sikora, socjolożka z Uniwersytetu Gdańskiego i autorka książki „Sens polowania. Współczesne znaczenia tradycyjnych praktyk na podstawie analizy dyskursu łowieckiego", wymienia trzy główne typy uzasadnień, którymi posługują się polscy myśliwi. Pierwsze można nazwać statusowym i zarazem nacjonalistycznym: – Myśliwi lubią podkreślać, że ich pozycja jest przeniesieniem statusu polskich klas wyższych i stąd bierze się m.in. dążenie do utrzymania rytualnej oprawy polowań i nadawanie jej znaczeń etycznych – mówi. – Drugie uzasadnienie odwołuje się do poglądu, że stosunki w przyrodzie są generalnie oparte na zabijaniu istot żywych i ci, którzy to ignorują, pomijają ważną prawdę o życiu i przetrwaniu.

Po trzecie, wylicza badaczka, zdaniem wielu myśliwych dominująca pozycja człowieka w przyrodzie daje mu wyjątkowe prawa i usprawiedliwia instrumentalne traktowanie zwierząt. – Ten wątek silnie łączy dyskurs łowiecki z religijnym – mówi. – Samo określenie „zwierzyna łowna", podobnie jak „szkodnik", opisuje raczej stosunek człowieka do wybranych gatunków niż ich cechy biologiczne.

### Mity i męstwo

– To myśliwi są odpowiedzialni za wiele negatywnych mitów o zwierzętach, które mają pomagać w uzasadnianiu sensu polowań – mówi Marcin Urbaniak. – Lisy odżywiają się głównie gryzoniami, ale stereotyp głosi, że duszą i porywają kury. Wilki to zło wcielone. Z przesądów i uprzedzeń najważniejszy brzmi: jeśli nie będziemy strzelać do zwierząt, będą nam one coraz bardziej zagrażały.

Prof. Rancew-Sikora dodaje też, że w tle dyskursu łowieckiego jest jeszcze topos czy mit ofiary. – Nawet jeśli ludzie są skłonni nie zgadzać się na zabijanie „bez potrzeby" i jest ono zakazane w kulturze jako generalnie złe, to jednak są też gotowi na to, aby uznać racje przemawiające na rzecz konieczności składania ofiar, także bolesnych, jeśli ma to posłużyć dla ich dobra lub tak jest przedstawiane. Mit ofiary leży u podstaw wielu kultur i jest niezwykle silny w kulturze chrześcijańskiej. Dlatego ważne jest to, kto i jak uzasadnia i podnosi znaczenie dyskursu zbudowanego wokół kontrowersyjnych praktyk – mówi socjolożka.

Jednak pewne elementy myśliwskiej tożsamości nie są już tak mocno eksponowane. Przykład: rozumienie roli płci. Spośród ok. 123 tys. członków Polskiego Związku Łowieckiego 96 proc. to mężczyźni.

– W tym środowisku mężczyźni dominują, a wartości odwagi, siły i rywalizacji oraz pozytywne znaczenie broni są ważne pod względem emocjonalnym – tłumaczy prof. Rancew-Sikora. – Największą dumę przynosi odstrzelenie okazałego samca i zdobycie jego trofeum. Stąd można podejrzewać, że u źródeł leży nie do końca uświadamiana satysfakcja wynikająca ze zwycięstwa jednego osobnika męskiego ↦

nad drugim. Widać też tendencję do rywalizacji z gatunkami drapieżnymi. Tak jakby wilk stanowił konkurencję myśliwego w dostępie do jeleni czy saren.

### Prace społeczne

Myśliwi nie są skłonni do dialogu. Kilkukrotnie próbowaliśmy się skontaktować z rzeczniczką Polskiego Związku Łowieckiego Pauliną Marzęcką. Na próżno. Dla zrozumienia myśliwskiego *esprit de corps* pozostaje więc to, czym sami zainteresowani gotowi są dzielić się z opinią publiczną.

Na przykład kuriozalnie brzmiące statystyki, w których hobby członków związku przedstawia się jako... prace społeczne. Z danych PZŁ wynika, że od 1 kwietnia do końca ubiegłego roku myśliwi zastrzelili blisko 168 tys. dzików przy prawie 3 mln wyjść w łowisko. Łączny koszt, wraz z dojazdami oraz amunicją, wyniósł blisko 583 mln zł, co oznacza, że „pozyskanie" jednego okazu kosztowało uzbrojonych wolontariuszy z PZŁ średnio 3,47 tys. zł. Chętnie podkreślaną funkcją związku jest również dokarmianie zwierzyny w sezonie zimowym. Sami myśliwi w wewnętrznych publikacjach na ten temat przyznają jednak, że żywność, którą dostarczają do lasu, stanowi nieistotny odsetek pokarmu zwierząt, a coraz cieplejsze zimy systematycznie pozbawiają dokarmianie racji bytu.

**Sami myśliwi przyznają,** że żywność, którą dostarczają do lasu, stanowi nieistotny odsetek pokarmu zwierząt, a coraz cieplejsze zimy pozbawiają dokarmianie racji bytu.

Z drugiej strony protestujący przeciw odstrzałowi dzików nie przyjmują opublikowanego przed kilkoma dniami stanowiska Naczelnej Rady Łowieckiej i zarządu PZŁ, w którym oba ciała zdecydowanie przypominają myśliwym o zakazie strzelania do ciężarnych loch, ani listopadowego wyjaśnienia resortu rolnictwa, że ministerstwo również oczekuje od myśliwych pozostawienia w spokoju ciężarnych samic lub tych już z młodymi (inna sprawa, czy wszyscy myśliwi będą w stanie rozpoznać dopiero rozpoczynające się o tej porze roku ciąże). W internetowych filipikach wymierzonych w myśliwych powraca też wątek 650 zł za każdą odstrzeloną lochę i 300 zł za martwego odyńca, ale ich autorzy zwykle nie dodają – być może z niewiedzy – że pieniądze dostaną jedynie myśliwi biorący udział w odstrzałach sanitarnych organizowanych przez Inspekcję Weterynaryjną w nielicznych na szczęście strefach zagrożonych ASF.

*Zespół szkół rolniczych w Pszczelej Woli, 2012 r.*

TOMASZ GOTFRYD

### Co czują zwierzęta

Zmiany przynosi nie tylko coraz większa świadomość przyrodnicza Polaków – ale i rozwój nauki. Podczas gdy zapleczem naukowym myślistwa pozostają wydziały leśne uczelni rolniczych, gdzie dominuje użytkowe podejście do przyrody, świat poszedł już do przodu. Rewolucję zapoczątkował m.in. rozwój zoopsychologii, kognitywistyki porównawczej i *animal studies.*

– Dzięki tym naukom wiemy, że zwierzęta myślą, mają życie wewnętrzne, są w pewnych aspektach samoświadome i wykonują czynności, które wcześniej przypisywano wyłącznie człowiekowi: tworzą i korzystają z narzędzi, współpracują, planują swoje działania, kreatywnie manipulują otoczeniem – mówi Marcin Urbaniak i dodaje, że w etyce dyskutuje się już o zwierzętach w kontekście moralności. – Świadczy to o zmianie naszego rozumienia zwierzęcości – zauważa.

Jego zdaniem przyswojenie tych nauk zajmie jeszcze w Polsce trochę czasu. Jednak nasze zainteresowanie przyrodą, działalność organizacji pozarządowych oraz takich instytucji jak Instytut Ochrony Przyrody PAN czy Instytut Biologii Ssaków w Białowieży sprawiają, że obraz myśliwych będzie musiał ulec zmianie.

Prof. Dorota Rancew-Sikora: – Nurt antymyśliwski w ostatnich dekadach jest coraz silniejszy m.in. dlatego, że zmieniła się struktura społeczna i wielu ludzi opuściło wieś. Dziś dominujący dyskurs wywodzi się z miast, gdzie zwierzęta są towarzyszami człowieka. A wrażliwość na ich los kształtuje się w komfortowych warunkach, w których sami nie musimy zabijać zwierząt i możemy zachować postawy silnie empatyczne, podobne do wrażliwości dziecięcej, i oburzać się na jakąkolwiek krzywdę zwierząt. Nurt ten silnie wspierają wytwory kultury popularnej.

I to wobec niego w najbliższym czasie myśliwi będą musieli się jakoś określić.

©℗ MAREK RABIJ, MARCIN ŻYŁA

„TP" 52-53 / 2018

## „Tygodnik" jak lekarstwo

Ten list miałam pisać już chwilę temu, i tak zastał mnie rok 2019, a wraz z nim świąteczny numer „TP". A tu między innymi głos czytelnika, Pana Waldemara Ossowskiego („Od Hani do księdza Adama"), który stał się przyczynkiem do moich refleksji. W tym chaosie i dezorientacji wartości bardzo potrzeba mi czegoś wiarygodnego. Wasze pismo zaskakująco spełnia moje oczekiwania, żeby nie powiedzieć – marzenia. Potrzebuję was, bo wprowadzacie do mojego życia utęskniony, normalny klimat – nie ten biznesowy, reklamowy, polityczny, ogłupiający. A do tego opisujecie problemy Kościoła i dziwną postawę niektórych księży. Zgodnie z podstawową zasadą, żeby „odkryć bogactwo dobra i szkodliwość zła", i żeby nasza mowa była „tak – tak, nie – nie". Takie proste, a takie trudne. Dzięki wam znacznie mniej oglądam telewizji. Dbam o duszę, w czym pomaga mi też modlitwa. A „TP" pomaga mi nie utonąć w przygnębieniu, przetrwać z jak najmniejszym uszczerbkiem czas medialnej propagandy. Dziękuję.

STAŁA CZYTELNICZKA

## Prośba o pomoc

Do stycznia 2018 r. Renia nie potrzebowała medialnego hałasu wokół siebie. Rok temu pędziliśmy karetką do kliniki ze straszną diagnozą: guz w mózgu. Olbrzymi, wymagający operacji. Rok temu biegała i skakała, i w niczym nie przypominała chorego dziecka. 26 stycznia, trzymając Renatę za rękę, odprowadziliśmy ją na operację. Mówiliśmy, że będzie dobrze. Płakała nie wiedząc, dlaczego musi iść na zabieg. Spodziewaliśmy się, że może długo dochodzić do siebie. Ale nie, że aż tak długo. Renia 6 tygodni leżała na OIOM-ie w Prokocimiu. Była świadoma. Nie mogła wstać z łóżka. Przestała połykać, odkrztuszać i samodzielnie oddychać. Terminowość kolejnego etapu leczenia była zagrożona. Założono tracheotomię. I znów cios. W drugiej dobie po zabiegu rurka przemieściła się, wywołując odmę i bradykardię. Renatę reanimowano. To wywołało komplikacje i wydłużyło leczenie. Pierwszy z czterech bloków chemii Renata przyjęła na OIOM-ie. Potem zeszła na onkologię. Od czerwca do lipca miała 31 naświetlań, które zniszczyły resztę guza. Trzymamy kciuki, aby tak zostało, bo rdzeniak lubi powracać. Czwarty etap to chemia podtrzymująca. Córka uczy się w domu. Za klasą bardzo tęskni. Ćwiczy codziennie, z determinacją. Czekamy z niecierpliwością, by mięśnie przypomniały sobie czasy, gdy mogła chodzić, biegać, skakać. Walczymy, by wróciła do zdrowia. Pomaga nam armia ludzi z całej Polski. Rok leczenia dla dziecka jest niewyobrażalnym czasem. Optymistycznie patrząc, walka z rdzeniakiem potrwa jeszcze ponad pół roku. Renatę czekają coraz trudniejsze boje. I tę drogę mamy nadzieję pokonać. Jeżeli zechcecie nam pomóc finansowo, należymy do Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą" – Alior Bank S.A. 42 2490 0005 0000 4600 7549 3994 z dopiskiem: „33202 Zając Renata darowizna na pomoc i ochronę zdrowia".

RODZICE

Autorzy wydrukowanych na łamach „Tygodnika" listów otrzymają kubki z rysunkiem Macieja Sieńczyka.

**TYGODNIK POWSZECHNY** ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
**Kraj:** Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
**TP Typografia:** Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne:** Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
**Redaktor wydań specjalnych** Michał Okoński
**Felietoniści:** Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
**Adres wydawcy i redakcji:** 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
**Reklama, promocja:** tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
**Prenumerata:** tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

# Śpiewak:
## *Zrozumieć Torę*

Haman wymyślił wspaniałą nagrodę dla tego, kto wyjątkowo zasłużył się u króla. Myślał, że to on będzie oprowadzany po mieście w królewskim stroju. Tymczasem Aswerus myślał o nagrodzie dla Mordechaja. Tego Żyda, który ostrzegł go przed spiskiem. I tak Haman, nienawidząc Żydów i Mordechaja, musiał założyć koronę na głowę swego wroga i poprowadzić ulicami Suzy. Nadszedł czas drugiej uczty. Tym razem królowa musiała już wyjawić swoje życzenie: „Jeżelim znalazła łaskę przed oczyma twemi, o królu! A jeżeli się królowi podoba, niech mi będzie darowany żywot mój na prośbę moją, i naród mój na żadność moją. Albowiem zaprzedani, ja i naród mój, abyśmy byli wygładzeni, wymordowani i wytraceni". Król zapytał: „Kto czyha na życie twoje, na życie twego ludu?". Wskazała na Hamana. Ten uciekał przed gniewem króla, ale jakimś cudem położył się na siedzisku królowej. A wtedy zawrzał jeszcze mocniej gniew władcy i krzyknął: „Izali jeszcze gwałt chce uczynić królowej u mnie w domu".

Monarcha uspokoił się, gdy Haman zawisł na szubienicy. Los narodu się odwrócił. Teraz Żydzi mogli wygubić stronników i rodzinę Hamana. Mordechaj zajął miejsce Hamana. Został pierwszym ministrem. Żydzi na pamiątkę tego wydarzenia obchodzą 14. dnia miesiąca Adar święto Purim. Weselą się, piją i bawią. To jest żydowski karnawał. Trwa jeden dzień, ale raz w roku wolno wypić tyle, by nie móc odróżnić Hamana od Mordechaja.

Księga ta jest istotna w tradycji żydowskiej jeszcze z kilku powodów. Po pierwsze, lud ten, dotąd nazywany Izraelem, Hebrajczykami, synami Jakuba, zostaje na trwale związany z kolejnym imieniem: Żydzi, potomkowie Judy.

Ważne jest zdanie, które pada pod koniec Księgi Estery: „I przyjęli to wszystko Żydzi, że co zaczęli, czynić będą". Te słowa powiązane są z wydarzeniami znanymi z Księgi Wyjścia. Wtedy Izrael otrzymał Torę wypowiadając słowa: „wypełnimy i zrozumiemy". Jakby chcieli powiedzieć: otrzymujemy dar, bierzemy, choć nie znamy jego treści i zaleceń; ta księga będzie naszym przewodnikiem, będziemy z niej czerpać swoje prawa. Jak pisał Emmanuel Levinas: „I oto, gdy przyjrzeć się temu z bliska, ta dobrowolna akceptacja najpierw odwołuje się do *praxis*, a dopiero potem do przylgnięcia. Nie tylko akceptacja poprzedza analizę rozumową, ale *praxis* poprzedza zgodę". Rozumienie wymaga czasu, stosowania przepisów, doświadczenia ich sensu i wymagań. Długo trwa dojrzewanie ludu do wiedzy. To nie jest jednorazowy skok od niewiedzy i niewoli do jasności i samowiedzy. Pedagogika *Tanach* jest cierpliwa i wymagająca. Potrzeba wielu pokoleń, by zrozumieć sens Tory. A jej zrozumienie dokonało się w czasach wygnania do Persji. Stało się to za czasów Mordechaja i wydarzeń związanych z zapowiedzią zagłady Żydów. Być może tak dramatyczne wydarzenia czynią ludzi mądrzejszymi i lepiej widzą oni przeznaczenie i prawa swojego narodu. ©

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *Rozradowany Bóg*

Gdzie te czasy, kiedy o Bogu można było mówić tak: „jak młodzieniec poślubia dziewicę, tak twój Budowniczy poślubi ciebie. I jak pan młody cieszy się panną młodą, tak twój Bóg będzie radował się tobą!". Wmówiono nam, że tego typu porównania to niestosowna antropomorfizacja Absolutu. Nie można Boga aż tak uczłowieczyć i przypisywać mu cech związanych zwłaszcza ze zmysłowością. Tymczasem papież Franciszek w przemówieniu do grupy młodzieży z Francji powiedział: seks to dar Boży. To żadne tabu, to dar od Boga, to dar, jaki daje nam Pan. Ma dwa cele: miłość i powoływanie życia. To pasja, namiętna miłość.

Lękając się nadmiernej antropomorfizacji, obdarliśmy Boga z uczuć. Podobny los spotkał Syna Bożego. Nie zaprzeczano temu, że stał się człowiekiem, ale to człowieczeństwo rozpłynęło się w bóstwie. Na szczęście mamy Biblię. Dzięki niej ten sterylny Absolut może wrócić na swoje miejsce, czyli być wśród nas na ludzki sposób, co w niczym Bogu nie musi ubliżać. Przeciwnie, Bóg tylko zyskuje na wiarygodności. Trafnie uchwycił to Anioł Ślązak: „Niegotowy Bóg się staje w doczesności, czym się nigdy nie stał w całej swej wieczności".

Nic dziwnego, że wcielony, wczłowieczony, zmaterializowany Bóg zaczął odsłaniać prawdę o sobie nie gdzie indziej, jak tylko na weselu, i to wtedy, gdy goście już się napili, czy wprost podpili. Stąd istotą wydarzenia w Kanie nie jest nadzwyczajność przemienienia wody w wino, ale to, że Boży Syn ratuje ludzkie szczęście przed zniszczeniem. W ten sposób spełnia się proroctwo Izajasza i proroctwo Pieśni nad Pieśniami, która według rabinów jest sercem Biblii. „Taki początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej i tak objawił swoją chwałę, a Jego uczniowie uwierzyli w Niego", mówi Jan Ewangelista.

Wraz z uwierzeniem uczniów zaczynają się dzieje chrześcijaństwa. Zapoczątkowała je uczta na weselu w Kanie, dopełniła uczta paschalna w Jerozolimie i aż do dzisiaj dopełniają się w Eucharystii, gdyż msza jest źródłem i szczytem życia Kościoła – ale to życie w jej sprawowaniu się nie wyczerpuje. Ponad wszystkimi wypowiedziami Jezusa stoi Jego czyn – krzyż. Nie o ogrom cierpień jednak chodzi. Przywołany już Anioł Ślązak pisze: „Bóg tylko mnie miłuje, za mną tęskni skrycie / I umiera z lęku, że przy Nim nie zawisnę". Zawisnąć na krzyżu przy Jezusie? Czy to możliwe?

Juliana z Norwich mówi: „nie należymy tylko do Jezusa przez odkupienie, ale także przez hojny dar Ojca. Jesteśmy Jego radością, jesteśmy Jego nagrodą, jesteśmy Jego chwałą, jesteśmy Jego koroną. To, co opisuję, sprawia Jezusowi tak wielką przyjemność, że wcale nie myśli On o całym swym znoju, o swym gorzkim cierpieniu, o okrutnej i haniebnej śmierci. (...) Wszystko wydaje Mu się drobiazgiem bez znaczenia w porównaniu z Jego miłością". Pozwólmy Bogu cieszyć się nami. ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś:
## *Zwycięscy*

„Tym właśnie zwycięstwem, które zwyciężyło świat, jest nasza wiara. A kto zwycięża świat, jeśli nie ten, kto wierzy, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym?" (1 J 5, 4-5). Zwycięstwo/zwycięzca – to częsty motyw w pismach św. Jana. W jego Pierwszym Liście powraca kilkakrotnie. „Piszę do was, młodzi: Zwyciężyliście Złego" (2, 13; por. 2, 14). I dalej: „Zwyciężyliście ich (tzn. fałszywych proroków), ponieważ większy jest Ten, który w was jest, od tego, który jest w świecie" (4, 4). W Apokalipsie ci, którzy w siedmiu Kościołach Azji trwają wiernie przy Jezusie, nazywani są konsekwentnie „zwyciężającymi" (Ap 2, 7. 11. 17. 26; 3, 5. 12. 21).

Wszystkie te zwycięstwa zakorzenione są zapewne w tym, które odnosi sam Jezus – a mówi o nim jako o rzeczywistości już dokonanej (!) na Ostatniej Wieczerzy (gdy „po ludzku" może się wydawać raczej wielkim przegranym niż zwycięzcą): „Na świecie doznacie ucisku, lecz ufajcie: Jam zwyciężył świat" (J 16, 33).

Czy między Jezusem a światem panuje wojna? Czy między nami (uczniami Jezusa) a światem panuje wojna? Na czym polega owo ogłoszone przez Nowy Testament zwycięstwo?

Jest zmaganie. Mówi o nim św. Paweł – chrześcijanin powinien się uzbroić do walki (Ef 6, 11-17): „Obleczcie pełną zbroję Bożą (...) przepasawszy biodra wasze prawdą i oblókłszy pancerz, którym jest sprawiedliwość, a obuwszy nogi w gotowość [głoszenia] dobrej nowiny o pokoju. W każdym położeniu bierzcie wiarę jako tarczę (...) hełm zbawienia i miecz Ducha, to jest słowo Boże". Odpowiedź, o co ta wojna, przychodzi w 8. rozdziale Listu do Rzymian. „We wszystkim tym odnosimy zwycięstwo (...). I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani Moce, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiekolwiek stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym" (Rz 8, 37-39).

Jest wojna. I świat w tej walce sięga po niewybredne metody: oskarżenia (Rz 8, 33) i osąd (w. 34), utrapienie, ucisk i prześladowanie, głód i nagość, niebezpieczeństwo i miecz (w. 35) – owszem, śmierć („zabijają nas przez cały dzień" – w. 36). Wszystko w jednym celu: by nas oddzielić od miłości Boga objawionej w Jezusie. Odciągnąć nas od Niego: groźbą lub obietnicą; poniżeniem lub pokusą władzy; prześladowaniem lub przekupstwem; śmiercią lub powabami życia. Wszystko po to, byśmy uwierzyli, że On nas nie kocha!

Właśnie dlatego najpełniejszą radością i pewnością zwycięstwa św. Paweł wręcz eksploduje w Pierwszym Liście do Koryntian: „Kiedy już to, co zniszczalne, przyodzieje się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodzieje się w nieśmiertelność, wtedy sprawdzą się słowa, które zostały napisane: Zwycięstwo pochłonęło śmierć. Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień? Ościeniem zaś śmierci jest grzech, a siłą grzechu Prawo. Bogu niech będą dzięki, że dał nam odnieść zwycięstwo przez Pana naszego Jezusa Chrystusa" (1 Kor 15, 54-57).

Wszyscy życzmy sobie tego najważniejszego zwycięstwa. ©

*Abba Pojmen powiedział: „Wielu z naszych ojców odznaczyło się mężną ascezą. Ale subtelnością myśli osiąganą przez modlitwę – mało który".*

PIERWSZA KSIĘGA STARCÓW

*Życie jest smakiem pokarmu, myślenie smakiem życia. Zrozumienie smakiem myślenia, błogość zaś smakiem zrozumienia.*

UPANISZADA MAITRI

Wybrał PIOTR SIKORA

### CZYTANIA LITURGICZNE (20 – 27 I)

**2. niedziela zwykła:** Iz 62, 1-5; Ps 96; 1 Kor 12, 4-11; J 2, 1-11;
**Poniedziałek:** Hbr 5, 1-10; Ps 110; Mk 2, 18-22;
**Wtorek:** Hbr 6, 10-20; Ps 111; Mk 2, 23-28;
**Środa:** Hbr 7, 1-3. 15-17; Ps 110; Mk 3, 1-6;
**Czwartek:** Hbr 7, 25 – 8, 6; Ps 40; Mk 3, 7-12;
**Piątek:** Dz 22, 3-16; Ps 117; Mk 16, 15-18;
**Sobota:** Hbr 9, 1-3. 11-14; Ps 47; Mk 3, 20-21;
**3. niedziela zwykła:** Ne 8, 1-4a. 5-6. 8-10; Ps 19; 1 Kor 12, 12-30; Łk 1, 1-4; 4, 14-21.

Dobra szkoła
Polska jest jedna
Dostępność+
Rodzina 500 +
Obniżenie wieku emerytalnego
Mosty dla regionów
PlanDlaWsi
300 dla Ucznia
Drogi lokalne
Mieszkanie +
Walka z mafiami VAT
Mała Firma-Mały ZUS
Dobry program
Podniesienie płacy minimalnej
PiS

KRAJ

# PAŃSTWO DLA WSZYSTKICH

Czy nam się to podoba, czy nie – program 500 plus to polski prototyp bezwarunkowego dochodu podstawowego i zapowiedź państwa dobrobytu na miarę wyzwań XXI wieku. W tym roku rozstrzygnie się jego przyszłość.

RAFAŁ WOŚ

Po jesiennych wyborach żaden z polityków nie ogłosi „Drodzy wyborcy, rezygnujemy z 500 plus, bo nas na to nie stać". Od momentu wprowadzenia programu w 2016 r. propozycja jego likwidacji padała tylko ze strony tak niszowych ugrupowań jak korwinowscy libertarianie.

Dla opozycji „pięćsetka" jest jednak solą w oku. Nie tylko dlatego, że została wdrożona przez Prawo i Sprawiedliwość. Zadała też kłam przepowiedniom, że budżet od tych 24,5 mld zł wydawanych rocznie się zawali. W dodatku jest dość lubiana przez ludzi i choćby z tego ostatniego powodu nikt przy zdrowych zmysłach nie przypuści na nią frontalnego ataku.

Platforma Obywatelska kluczy wokół tej kwestii. „Rozbudujemy 500 plus o wszystkie samotne matki. Mówienie, że zlikwidujemy program, to pisowska propaganda i straszenie ludzi" – deklaruje jeden z liderów PO, Sławomir Neumann. Dopytywany o szczegóły zapowiada jednak... szereg zmian. Przede wszystkim „jakąś formę powiązania 500 z pracą lub jej aktywnym poszukiwaniem". „Jesteśmy gwarantem utrzymania 500 plus" – mówi z kolei lider PSL Władysław Kosinak-Kamysz. Ale zaraz dodaje, że „pięćsetka" nie powinna trafiać do najlepiej zarabiających. Na przykład (co do tego ludowcy nie są jeszcze pewni) od drugiego progu podatkowego (85 tys. zł rocznie) w górę. Wielką niewiadomą pozostaje stosunek do 500 plus lewicy gromadzącej siły wokół Roberta Biedronia. Były prezydent Słupska uśmiecha się w swoim stylu i zapowiada, że zostawi program, ale też dokona w nim szeregu zmian.

O zmianach wspominają od czasu do czasu nawet politycy PiS i okolic. „Nie bierzcie pieniędzy z programu Rodzina plus" – apelował do najbogatszych swego czasu wicepremier Piotr Gliński. „Dajcie 500 złotych na pierwsze dziecko, a zabierzcie najbogatszym rodzicom!" – mówił szef Solidarności Piotr Duda.

Na pytanie „Super Expressu": „czy zarabiający powyżej 10 tys. miesięcznie powinni korzystać z 500 plus?" 81 proc. respondentów odpowiedziało przecząco.

### Nagła śmierć

Można sobie jednak wyobrazić sytuację, w której „pięćsetki" oficjalnie nikt nie podaje w wątpliwość, ale w praktyce traci ona znaczenie. I cały swój seksapil politycznego i społecznego czynnika, który zasadniczo zmienił warunki gry. Może się to odbyć na dwa sposoby. Wystarczy, że któryś z kolejnych rządów zrezygnuje z powszechności programu: najpewniej poprzez odcięcie od niego lepiej zarabiających (jest na to przyzwolenie społeczne). Albo w sytuacji, gdy prawo do pobierania pieniędzy zostanie powiązane z jakimiś dodatkowymi wymogami. Na przykład ze wspomnianą już koniecznością aktywnego poszukiwania pracy. Wtedy żegnaj, polski prototypie bezwarunkowego dochodu podstawowego. Żegnaj, zapowiedzi państwa dobrobytu na miarę wyzwań XXI wieku. Zostanie kolejny nieskuteczny (zwłaszcza w polskich warunkach) program pomocy społecznej. Dla potrzebujących zawsze zbyt skromny, irytujący i niewiele zmieniający. Dla innych zbyt drogi i nadmiernie rozrzutny.

Aby zrozumieć, o co toczy się ta gra, trzeba oderwać się od bieżącej polskiej polityki i zrobić dwa kroki wstecz. A potem zastanowić się nad fundamentalnym pytaniem o sens istnienia państwa dobrobytu. „Kiedyś, dawno temu, kraje były nocnymi stróżami, machinami do podbojów albo sposobem sprawowania totalitarnej kontroli nad obywatelami. Ale dziś żyjemy w czasach, gdy głównym ↦

*Sejm, Warszawa, 14 grudnia 2018 r.*

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

↦ zadaniem państwa jest produkowanie i rozdzielanie dobrobytu pomiędzy swoich obywateli" – pisał duński socjolog Gøsta Esping-Andersen we wstępie do książki „Trzy światy kapitalistycznego państwa dobrobytu". Gdy Duńczyk to pisał, był koniec lat 80. ubiegłego wieku. W większości krajów zachodnich ciągle jeszcze dominowało klasyczne podejście do tzw. *welfare state*. Wynikało z doświadczenia dwóch wojen światowych oraz istnienia żelaznej kurtyny przechodzącej przez środek Europy. To czas, gdy zachodni kapitał oraz jego polityczni eksponenci zrozumieli, że aby przetrwać, muszą się swoim bogactwem podzielić. Jednym ze sposobów tego dzielenia się było rozwinięcie wymyślonego pod koniec XIX w. modelu państwa opiekuńczego, opartego na bezpieczeństwie materialnym szerokich mas obywateli.

### Dobry welfare to powszechny welfare

Najważniejsze pytanie brzmiało wówczas: komu pomagać najpierw? Pewnie najbiedniejszym. Taka odpowiedź narzucała się sama. Czym jednak taki system będzie się wówczas różnił od zakrojonych na szeroką skalę przedsięwzięć charytatywnych, których nie brakowało w przeszłości? Przecież domy pomocy sierotom czy wdowom fundowali już rzymscy patrycjusze. A XIX-wieczni fabrykanci budowali dla pracowników swoich zakładów całe miasteczka wyposażone w darmową komunikację i systemy opieki zdrowotnej. A jednak to nie wystarczyło. Nierówności stale rosły, prowadząc do napięć i politycznych katastrof.

Aby zapobiec kolejnym na zmęczonym wojnami i kryzysem Zachodzie, urodziła się koncepcja alternatywna. „Państwo dobrobytu ma sens tylko wówczas, gdy ma charakter powszechny" – głosił ojciec powojennego brytyjskiego *welfare state*, ekonomista William Beveridge. Podobnie myślano w Europie kontynentalnej oraz w Skandynawii. Nawet w USA. „Przecież nie jestem ślepy i widzę, że przecieka" – odpowiadał ekonomista Arthur Okun, gdy adwersarze wytykali mu, że państwo dobrobytu prowadzi nierzadko do marnowania pieniędzy podatników. „Ale lepszy cieknący garnek niż żaden. Zwłaszcza gdy mamy do ugaszenia zarzewie śmiertelnego pożaru" – powiadał Okun, który w latach 60. pomagał prezydentowi Lyndonowi Johnsonowi rozbudowywać amerykański *welfare state* po pionierskiej erze wojennego interwencjonizmu Franklina D. Roosevelta.

> Bezwarunkowy dochód podstawowy jest dla słabiej sytuowanych obywateli ucieczką od korytarzy systemu pomocy społecznej, gdzie trzeba **udowodnić, że się na pomoc zasługuje.**

Każdy kraj miał oczywiście swoją specyfikę. W adenauerowskich Niemczech było bardziej konserwatywnie. A w Szwecji Gunnara Myrdala (jeden z pierwszych laureatów ekonomicznego Nobla i doradca wielu szwedzkich rządów) raczej socjaldemokratycznie. Ale łączyło je jedno. Wszędzie powszechność świadczeń była rodzajem naczelnej zasady, według której starano się orientować. Powstawały więc mniej lub bardziej powszechne systemy opieki zdrowotnej albo taniego mieszkalnictwa. Tak, aby zdrowe i godne życie nie były jedynie w zasięgu ludzi zamożnych. Powszechna publiczna edukacja (aż do poziomu uniwersyteckiego) miała być z kolei antidotum na dominację elitarnego szkolnictwa wyższego, która skutkowała potem monopolem klas wyższych na uczestnictwo w procesach politycznych albo zatrudnienie w administracji.

Mniej więcej od lat 80. XX w. państwo dobrobytu zaczęło się jednak zmieniać. Zainicjowali to prezydent Ronald Reagan i premier Margaret Thatcher, a kontynuowali socjaldemokraci w stylu „trzeciej drogi", jak Clinton, Blair i Schröder. Oni też nie mówili, że likwidują państwo dobrobytu. Dominowała raczej logika „lepszego zaadresowania środków publicznych". W myśl tej logiki pieniądze z państwa dobrobytu powinny trafiać tylko i wyłącznie do najbardziej potrzebujących w formie pomocy społecznej. A uzyskane w ten sposób oszczędności winny być przekierowane na podatkowe obniżki albo wspieranie przedsiębiorczości.

### Socjal nie działa

I właśnie wtedy zaszło coś, co zwykło się w ekonomii nazywać „paradoksem redystrybucji". Termin ten ukuli szwedzcy ekonomiści Walter Korpi i Joakim Palme (tak, ten drugi to syn byłego socjaldemokratycznego premiera Szwecji Olofa Palmego). Pokazali na przykładzie szeregu krajów z grupy OECD, że im bardziej adresuje się politykę społeczną do najbardziej potrzebujących i wykluczonych, tym... słabiej redukuje się biedę oraz wykluczenie. Dlaczego? Z kilku powodów.

Pierwszy jest psychologiczny. W wyniku „lepszego zaadresowania środków" *welfare state* staje się „socjalem" – sposobem na wspieranie najbiedniejszych, rodzajem jałmużny. A z jałmużną jest tak, że można ją cofnąć w dowolnym momencie. Albo używać w charakterze kija i marchewki – zrobisz to, czego od ciebie oczekujemy (np. przyjmiesz pracę za dogodne dla nas pieniądze i w godzinach oraz na warunkach, które nam odpowiadają), albo pożegnaj się z „socjalem".

W efekcie klasa średnia i wyższa stopniowo traciła zainteresowanie samą koncepcją państwa dobrobytu, a jego beneficjentów zaczynała stygmatyzować jako przegranych – najmniej wartościowe elementy społeczeństwa żyjące na koszt tych pracowitych. Z biegiem czasu taki *welfare state* zmienia się więc w karykaturę tego, czym był na początku. W dodatku staje się mechanizmem do sprawowania kontroli nad klasami niższymi.

Ten problem najlepiej (jak dotąd) zdołali pokazać artyści. Chociażby Brytyjczyk Ken Loach w głośnym „Ja, Daniel Blake" z 2016 r. Główny bohater, 59-letni stolarz, sympatyczny, ale niezbyt rzutki i po zawale, jest zbyt młody na emeryturę i zbyt stary na rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Odbija się więc od kolejnych drzwi brytyjskich pośredniaków i infolinii ośrodków pomocy społecznej. Na koniec oczywiście starcie z bezduszną machiną nowego *welfare state* sromotnie przegrywa. I to nie jest jednostkowy przypadek. Taka deformacja współczesnego ściśle ograniczonego socjalu jest jedną z głównych przyczyn, dla których współczesne ugrupowania „buntownicze", jak Europa długa i szeroka, zwracają się wprost przeciwko zastanemu państwu.

### Polski (mini)dochód podstawowy

Problem polega jednak na tym, że sprawy nie da się już tak łatwo odkręcić.

Każdy (choćby najbardziej szczery) polityk, głoszący powrót do starego dobrego powojennego *welfare state*, niechybnie skaże się na śmieszność i nieskuteczność. Od kiedy faktem stała się globalizacja i liberalizacja rynków, potrzebny jest nowy, skuteczny *welfare state* na miarę wyzwań XXI wieku.

I tutaj wracamy do polskiego 500 plus. Wygląda bowiem na to, że PiS udało się z „pięćsetką" trafić. Może nie w środek tarczy, ale intrygująco blisko. Analiza rodowodu programu dowodzi, że stało się to raczej przypadkiem. Z narzędzia polityki rodzinnej i wspierającej dzietność, którą dla PJN Pawła Kowala stworzył przed wyborami 2011 r. ekonomista Julian Auleytner, wykluł się pięć lat później pomysł zbliżony do bezwarunkowego dochodu podstawowego. BDP (zwany też czasem z angielska UBI) to zaś jeden z kandydatów na Świętego Graala pokryzysowej ekonomii. Jak dotąd, był próbowany w różnych miejscach (od Alaski przez kilka krajów afrykańskich po zakończony przed czasem z przyczyn politycznych eksperyment fiński). Ale zawsze tylko w bardzo ograniczonej skali. Jeszcze niedawno zdawało się, że rola pionierów przypadnie Włochom. Lecz z powodu fundamentalnego sporu między koalicjantami z Ruchu Pięciu Gwiazd i Ligi stanęło na kompromisie. Kolejne próby wydają się jednak tylko kwestią czasu.

Nowatorstwo dochodu podstawowego polega na jego bezwarunkowości i powszechności. W tym sensie UBI jest dla milionów słabiej sytuowanych obywateli ucieczką z korytarzy systemu pomocy społecznej. Gdzie najpierw trzeba udowodnić, że się na pomoc zasługuje, a czasem ją wybłagać. Dochód podstawowy jest atrakcyjny, bo łamie tę logikę. Jest prawem. A prawo należy z samego faktu przynależności do politycznej wspólnoty. W momencie, gdy pojawia się warunek (np. konieczność podjęcia pracy), jego czar pryska. Powszechność programu ma być z kolei gwarantem, że będzie się miał o niego kto upominać. A zwłaszcza uczyni to klasa średnia i jej najbardziej opiniotwórcza część. Bez tego UBI czeka niechybnie los wszystkich kolejnych niedofinansowanych programów społecznych. Zostaną ucięte po kolejnym kryzysie finansowym. Gdy rynki (jak w roku 2008) wymuszą na rządach pokrycie bankowych długów. I na „socjal" znowu nie wystarczy.

### Bariera mentalna

Siła programu 500 plus polega właśnie na tym, że częściowo zrealizował oba te cele. Jasne, że nie jest ani w pełni powszechny, ani całkiem bezwarunkowy. Dotyczy wszak tylko ludzi z dziećmi, a prawem staje się dopiero od drugiego potomka. Jest jednak najbliżej zarysowanej tu logiki nowego *welfare state*. Bliżej niż wszystko, co kiedykolwiek w III RP mieliśmy. Właśnie z tego powodu los programu jest ważniejszy od politycznych fortun Kaczyńskiego, Schetyny czy Biedronia. Mówiąc wprost: patrzcie na 500 plus w nadchodzących miesiącach, a zobaczycie, w którą stronę pójdzie polskie państwo dobrobytu w czasie następnej dekady.

Drogi są dwie. Jedna to opisany już scenariusz rozmontowania „pięćsetki". Na polu społecznym oznacza to cofnięcie się Polski o kilka pól. I rozpisanie od nowa konkursu na sprostanie społecznym napięciom, które generuje współczesny globalny kapitalizm. Niewykluczone, że nowy pomysł na realne ograniczanie nierówności i przywracanie Polsce społecznej spójności będzie nie gorszy od 500 plus. Pewne jest jednak to, że takie poszukiwania to kilka kolejnych lat.

Ale jest jeszcze jedna droga. 500 plus zostaje. I – co kluczowe – nikt nie wprowadza w nim wymogu pracy lub rezygnacji z powszechności. Przeciwnie, następuje poszerzenie programu na pierwsze dziecko. A potem (kto wie?) może w kierunku dochodu podstawowego dla wszystkich Polaków. Na zasadne pytanie „skąd wziąć na to pieniądze?" odpowiedzią nie musi być kłopotliwe milczenie.

Dobrych odpowiedzi jest co najmniej kilka. Jednej z ciekawszych udzielił niedawno ekonomista Matt Bruenig, proponując stworzenie społecznego funduszu rentierskiego. Zasilać można by go było na cztery sposoby.

- Pierwszy to dobrowolne datki biznesu – czyli przekierowanie istniejącej już filantropii.
- Drugim jest zgromadzenie w ramach funduszu wszystkich aktywów znajdujących się już dziś w posiadaniu rządu (infrastruktura, nieruchomości etc.).
- Trzeci sposób to nowe podatki, zwłaszcza te od kapitału (od fuzji i przejęć, od wejścia na giełdę, od spadków itd.).
- Czwartym jest bardziej aktywna polityka monetarna i wykorzystanie prawa do kreacji swojego pieniądza. Bruenig pisał swój model dla gospodarki USA, nie ma jednak fundamentalnych przeszkód, by proponowane tu schematy próbować przykroić do polskich realiów.

Największą przeszkodą na drodze do tego celu nie będzie więc raczej brak dobrych pomysłów na finansowanie. Główny kłopot z rozszerzeniem logiki 500 plus na całe społeczeństwo to raczej bariera mentalna. A zwłaszcza przekonywanie społeczeństwa, że tu nie chodzi o rozleniwianie kogokolwiek albo zniechęcanie ludzi do pracy.

Gra toczy się o to, by ci wszyscy z nas, którzy już pracują na najwyższych obrotach, nie mieli wrażenia, że zaraz upadną i nie będą mieli siły wstać. Im (nam?) należy się odrobina wytchnienia.

©℗ RAFAŁ WOŚ

TP

*Rozwiązanie konkursu dla Czytelników z nr. 1-2/2019*

**Karolina Cicha i Elżbieta Rojek na płycie „Jeden – wiele" śpiewają w językach: polskim, rosyjskim, jidysz, hebrajski, esperanto, farsi, staroniemieckim, greckim, cerkiewnosłowiańskim i arabskim.**

Płytę „Jeden – wiele" otrzymają: pan PAWEŁ z Radomia i pan MIROSŁAW z Leszna.
Gratulujemy i dziękujemy za przesłanie prawidłowych odpowiedzi.
Nagrody wyślemy pocztą.
Regulamin konkursu: www.TygodnikPowszechny.pl/regulamin-konkursow

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

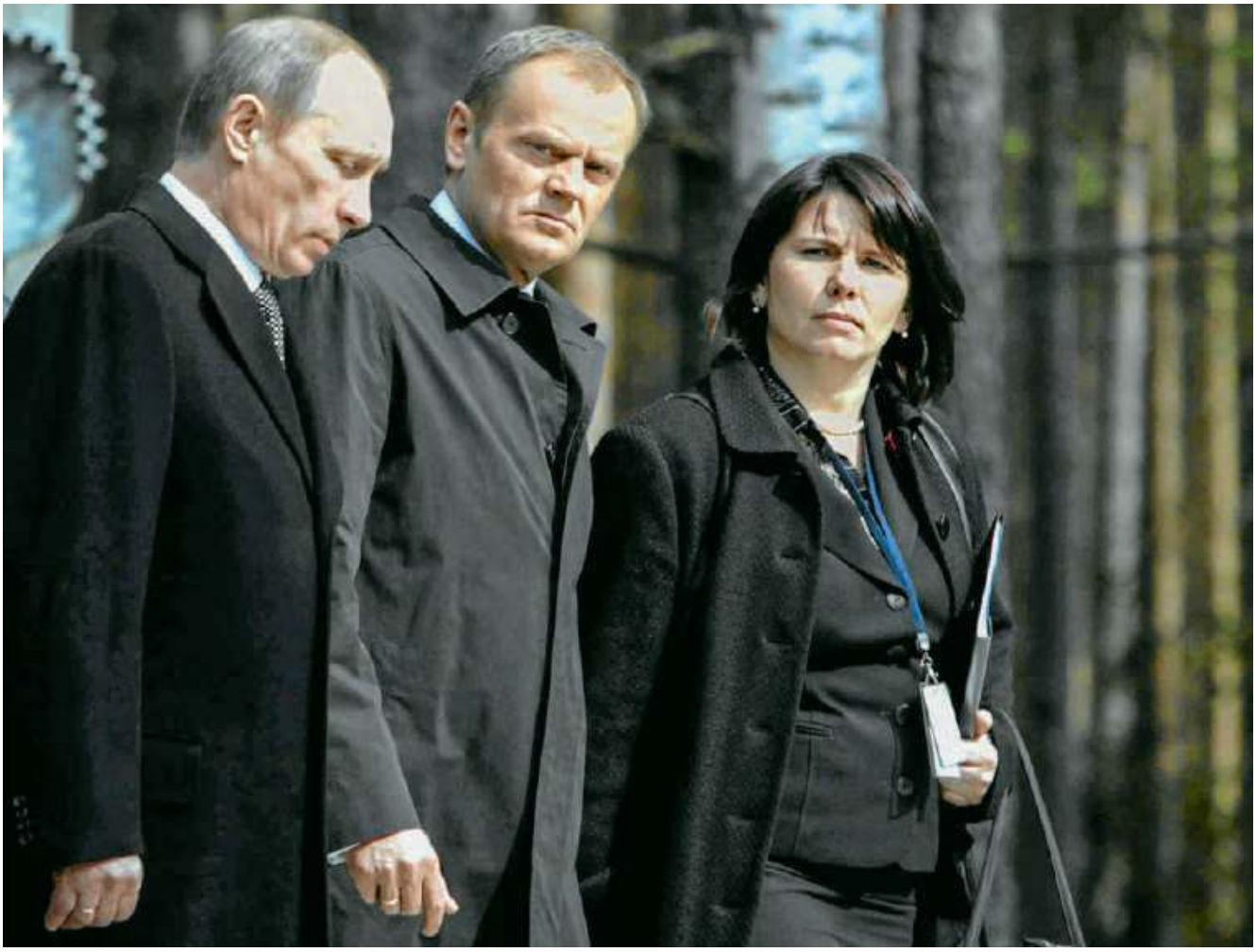

ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA GAZETA

*Władimir Putin i Donald Tusk wraz z tłumaczką Magdaleną Fitas-Dukaczewską w Katyniu, 7 kwietnia 2010 r.*

# Ważniejsze od prawdy

MARCIN MATCZAK

**W interesie władzy autorytarnej jest rozbicie prywatnych relacji zaufania. Chodzi o to, by osamotniony obywatel poddał się jej i tylko jej.**

W postępowaniu związanym z katastrofą smoleńską, a dotyczącym rzekomej zdrady dyplomatycznej Donalda Tuska, na świadka wezwano tłumaczkę, która dziewięć lat temu uczestniczyła w rozmowie byłego premiera z Władimirem Putinem. Rzadko kiedy sytuacja pojedynczego świadka daje asumpt do fundamentalnej refleksji nad tym, czy prawda jest ważniejsza od zaufania.

Wezwanie tłumaczki Tuska przypomniało sytuację z lipca zeszłego roku, kiedy to w USA toczyła się burzliwa dyskusja nad zasadnością wezwania na świadka tłumaczki Donalda Trumpa, także na okoliczność rozmowy z Putinem – w Helsinkach. Jej treść zainteresowała amerykańskich deputowanych głównie ze względu na mało patriotyczne wystąpienie Trumpa, które nastąpiło po tej rozmowie.

Mimo że amerykańskie służby są pewne, iż Rosja ingerowała w wynik wyborów prezydenckich w USA, mimo że istnieją niepodważalne dowody na kontakty otoczenia Trumpa z Rosjanami, mimo że wezwanie miało nastąpić kilka dni po przeprowadzonej rozmowie (a więc istniała większa szansa, iż tłumaczka pamięta szczegóły rozmowy), pomysł wezwania tłumaczki został powszechnie skrytykowany jako nieetyczny i ostatecznie do przesłuchania nie doszło.

W Polsce wezwanie tłumaczki nie spowodowało większych dyskusji czy protestów. Jako jeden z niewielu, rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar w piśmie kierowanym do prokuratury podkreślił, że może to zmierzać do obejścia prawa. Dlaczego? Bo tłumacz jest głosem danej osoby w rozmowie prowadzonej w obcym języku. Jeżeli z jakichś prawnych powodów nie wolno przesłuchać tej osoby (o tych powodach później), przesłuchanie tłumacza jest oszukaniem systemu. Wprawdzie nie wolno, ale można, jak mawiał wojak Szwejk, jeśli zmusi się do zeznawania głos, nie osobę.

Bodnar podkreślił także, że w raporcie „Inside Police Custody 2" z grudnia 2018 r. zwrócono uwagę, iż ochrona tłumaczy w polskim procesie karnym jest niewystarczająca. Przykład: zgodnie z kodeksem postępowania karnego nie można przesłuchać adwokata co do faktów, o których dowiedział się prowadząc sprawę swojego klienta. Jednak kodeks nie zabrania przesłuchania tłumacza, który pośredniczył w rozmowie obrońcy z klientem. W systemie jest więc dziura.

### Dlaczego nie stosujemy tortur

Po co jednak istnieje system, który zabrania dotarcia do pełnej prawdy? Czyż od dziecka nie jesteśmy uczeni, że prawda jest najważniejsza? Jakie może być uzasadnienie dla tzw. „zakazów dowodowych", a więc przepisów, które uniemożliwiają prokuraturze i sądowi uzyskanie informacji od pewnych osób, mimo że informacje te mogłyby przybliżyć nas do prawdy?

Gdyby prawo pozwalało na szukanie prawdy wszystkimi dopuszczalnymi metodami, torturowanie świadków byłoby legalne. Przez wiele wieków tortury uważano za jedną z najskuteczniejszych metod ustalania stanu faktycznego. Współczesne społeczeństwa odeszły od tego zwyczaju z dwóch powodów: etycznego i pragmatycznego. Powód etyczny opiera się na tezie, że są rzeczy ważniejsze od ustalenia prawdy – taką rzeczą jest przyrodzona i niezbywalna godność człowieka. Powód pragmatyczny polega na tym, że poddany torturom człowiek powie wszystko, czego życzy sobie torturujący, byleby tylko uniknąć bólu. Tak uzyskane zeznania nie zbliżają więc przesłuchującego do prawdy, raczej do potwierdzenia jego założeń.

Podobne dwojakie, etyczno-pragmatyczne uzasadnienie można przedstawić dla istnienia zakazów dowodowych. Polski kodeks postępowania karnego, a więc ustawa, która reguluje ściganie obywateli za przestępstwa, zakazuje przesłuchania jako świadka obrońcy i spowiednika na okoliczność faktów, które uzyskali w czasie odpowiednio udzielania pomocy prawnej i spowiedzi. Za tymi zakazami stoi także przekonanie, że są rzeczy ważniejsze niż ustalenie prawdy. W ich przypadku rzeczą chronioną bardziej niż prawda jest relacja zaufania, którą nawiązują między sobą ludzie, a bez której pewne ważne dla społeczeństwa instytucje społeczne nie mogłyby istnieć: np. prawo do korzystania z obrońcy oraz prawo do pomocy duchowej związane z wolnością religii.

Co więcej, zarówno tajemnica obrończa, jak i tajemnica spowiedzi są dla obrońców i spowiedników absolutnie podstawowymi zasadami etycznymi pełnienia ich funkcji. Naruszenie tych zasad traktowane jest zawsze jako zdrada wyznawanych ideałów. W takiej sytuacji wymuszenie zeznań mogłoby prowadzić do uruchomienia się mechanizmu obronnego polegającego na kłamstwie. Byłoby kompromisem między zachowaniem tajemnicy i zaspokojeniem ciekawości przesłuchującego. Podobnie więc jak w przypadku tortur, próba siłowego złamania świadka okazałaby się nie tylko nieetyczna, ale także niepragmatyczna, ponieważ nie zapewniałaby dojścia do prawdy.

### Prawo do tajemnicy pozwala ustalić fakty

Dlaczego ochrona relacji zaufania jest tak istotna? Jest to szczególnie widoczne w przypadku tajemnicy obrończej. Prawo do obrońcy, a więc prawo do bycia reprezentowanym w procesie przez profesjonalnego prawnika, jest powszechnie uznawane za kluczowe prawo człowieka. Co jednak ciekawe, International Bar Association, międzynarodowa organizacja zrzeszająca prawników, za równie fundamentalną zasadę państwa prawa uznaje ochronę tajemnicy komunikacji między obrońcą a oskarżonym. Prawo do obrony oraz tajemnica obrończa są tak mocno zespolone z jednego podstawowego powodu. Oskarżony niebędący prawnikiem nie jest w stanie sam ocenić, które z faktów dotyczących jego sprawy obciążają go, a które świadczą na jego korzyść. Może nie wiedzieć np., czy ogromne wzburzenie, które czuł na moment przed atakiem na drugą osobę, jest okolicznością zaostrzającą, czy łagodzącą odpowiedzialność.

Z tego powodu musi czuć swobodę w komunikowaniu wszystkich okoliczności swojego czynu obrońcy. Podobnie jak pacjent nie powinien ukrywać przed lekarzem żadnego ze swoich symptomów, ponieważ sam nie jest w stanie ocenić ich znaczenia, tak oskarżony nie powinien cenzurować informacji przekazywanych obrońcy, bo może w ten sposób zamazać obraz sytuacji. Takie nieskrępowane przekazywanie informacji jest możliwe tylko w sytuacji pełnego zaufania. Jeżeli oskarżony wie, że to, o czym mówi obrońcy, może zostać wykorzystane przeciwko niemu, nie będzie przekazywał mu wszystkich informacji. W ten sposób jego prawo do obrony zostanie ograniczone, a przez to zostanie ograniczony dostęp do prawdy: ukrycie pewnych faktów ze strachu przed tym, jak zostaną one ocenione, utrudnia przecież ujawnienie pełnego obrazu sprawy.

Tajemnica obrończa, która zdaje się ograniczać dojście do prawdy, umożliwia więc jej pełniejsze poznanie, a likwidacja tajemnicy obrończej odbiera sens instytucji samej obrony i utrudnia ustalenie faktów. To, że tak rzeczywiście jest, wynika z gorzkich doświadczeń historycznych. W przeszłości procesy karne, w których oskarżony nie mógł korzystać z profesjonalnego obrońcy (np. słynne procesy czarownic w Salem), stawały się karykaturą wymiaru sprawiedliwości. Prowadziły do prostego potwierdzenia tezy oskarżyciela o oczywistej winie oskarżonego, co często było równie oczywistą nieprawdą. Obecność obrońcy, który ma pełną wiedzę na temat sytuacji swojego klienta, ponieważ ten w sposób nieskrępowany może się tą wiedzą z obrońcą podzielić, uruchamia mechanizm konkurencji między oskarżycielem a obrońcą. W jego ramach obie strony zmuszają się do większej staranności w wykazywaniu rzeczywistego stanu rzeczy, na czym korzysta sędzia, analizujący rzetelność informacji przekazywanych przez każdą ze stron.

Oprócz zakazów dowodowych prawo przewiduje także inne instrumenty, które w procesie karnym zabraniają uzyskania informacji na jakiś temat. Takim instrumentem jest prawo odmowy zeznań, które mogłyby obciążyć osobę bliską. Czasami ważniejsza od prawdy staje się ochrona relacji zaufania, w której funkcjonujemy. Zmuszenie męża do zeznawania przeciwko żonie czy nakazanie matce obciążania syna wydaje się nieludzkie, i takie jest.

### W strachu przed donosem

O tym, jak ważne są prywatne relacje zaufania i jak nieznośne jest życie w obawie, że ktoś bliski – sąsiad czy współpracownik – to potencjalny donosiciel, najlepiej wiedzą ludzie, którzy żyli w systemie autorytarnym. Jest powszechnie znaną prawdą, że w interesie władzy autorytarnej jest rozbicie prywatnych relacji zaufania, ponieważ skazuje to społeczeństwo na atomizację, a jednostkę na samotność. ↦

Samotna, opuszczona jednostka jest łatwiejszym łupem dla władzy autorytarnej. To dlatego stalinowska propaganda sławiła Pawlika Morozowa, syna, który tak kochał Związek Radziecki, że z tej miłości doniósł na ojca, stając się symbolem miłości do partii, która jest większa niż miłość do rodziny.

Władza dążąca do rozbicia społecznych relacji zaufania, czy tego chce, czy nie, prezentuje siebie jako mającą zapędy autorytarne. Warto postawić pytanie, dlaczego w latach 2005-07 rząd PiS z taką zaciekłością atakował lekarzy, czego szczególnym wyrazem było pokazowe, niesprawiedliwe oskarżenie dr. Garlickiego o zabijanie pacjentów. Ataki te są obecnie kontynuowane w procesie karnym przeciwko prof. Dudkowi, który został oskarżony przez rodzinę Zbigniewa Ziobry o zabicie jego ojca. Nie ma chyba relacji z obcym człowiekiem, która byłaby bardziej intymna niż relacja z lekarzem, otrzymującym dostęp do naszego ciała i w niektórych sytuacjach biorącym nasze życie w swoje ręce. Tymczasem wydaje się, że ataki na tę relację stały się ulubionym zajęciem obecnej władzy.

Podobny charakter miały ogłoszone, ale na szczęście niezrealizowane niedawne działania Ministerstwa Sprawiedliwości, nakierowane na praktyczne zniesienie tzw. tajemnicy zawodowej prawników. Nawet ci prawnicy, którzy nie są obrońcami w procesie karnym, np. radcowie prawni doradzający przedsiębiorcom czy doradcy podatkowi, nie mogą zeznawać na temat faktów, które poznali w czasie udzielania porady. Ta tajemnica nie jest tak bezwzględna jak tajemnica obrończa, ponieważ z jej zachowania może prawnika zwolnić sąd. Gdyby zapowiedziane zmiany zostały wprowadzone, z tajemnicy zawodowej zwolnić prawnika mógłby nie sąd, ale prokurator. Ponieważ jest on z definicji zainteresowany faktami znanymi przez prawnika, a jego przesłuchanie znakomicie ułatwi prokuratorowi pracę, można się spodziewać, że tajemnica zawodowa w takiej sytuacji praktycznie przestałaby istnieć.

Czy uderzyłoby to w prawników? Raczej w zwyczajnych ludzi, którzy przestaliby się prawników radzić, traktując ich słusznie jako potencjalnych donosicieli. I nie dlatego, że zazwyczaj radzą się prawników, jak złamać prawo – dlatego, że nie wiedzą, co jest zgodne z prawem, a co jest sprzeczne, ale z ostrożności baliby się podawać jakiekolwiek fakty.

### Dużo ryzyka, wątpliwe korzyści

Ostatecznym celem władzy autorytarnej jest zbudowanie intymnej relacji zaufania z nią samą, która oznacza pełne poddanie się jej i tylko jej.

M.in. z powyższych etycznych i pragmatycznych powodów wezwanie tłumaczki na świadka wzbudziło tak dużo wątpliwości w USA i powinno wzbudzić też u nas. Jeśli bowiem uznamy, że tajemnica tłumacza, która nie jest tak silna jak tajemnica obrończa czy nawet tajemnica zawodowa prawników, może zostać złamana, dużo ryzykujemy.

Po pierwsze, ryzykujemy, że jej złamanie niewiele da. Jak wskazuje doświadczona tłumaczka w wywiadzie dla „Deutsche Welle", zawodowy tłumacz wykonuje ogromną liczbę tłumaczeń, które wymagają skupienia na każdym zdaniu. Upływ czasu, zwłaszcza dziewięciu lat, powoduje, że pamięć zawodzi, więc najpewniej większość zeznań skończy się prostym „nie pamiętam".

Po drugie, jak sygnalizował rzecznik praw obywatelskich, złamanie tajemnicy tłumacza może prowadzić do obejścia prawa. Przykład: rozwiązaniem stosowanym w procesie karnym jest tzw. zakaz autoinkryminacji. To strasznie brzmiące słowo oznacza po prostu zakaz zmuszania oskarżonego, aby dostarczał dowodów przeciwko sobie. Sytuacja przesłuchania tłumacza może stanowić próbę obejścia zakazu autoinkryminacji, ponieważ tłumacz nie może odmówić zeznawania, nawet jeśli skutkiem zeznawania będzie obciążenie osoby, która korzystała z jego usług.

Po trzecie wreszcie, złamanie tajemnicy tłumacza to atak na kolejną relację zaufania. A jak widzieliśmy, w niektórych przypadkach zaufanie jest ważniejsze od prawdy. Zwłaszcza że nie jest wcale pewne, iż poświęcając zaufanie prawdę się osiągnie.

© MARCIN MATCZAK

*Autor jest prawnikiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, autorem wydanej właśnie książki „Imperium tekstu. Prawo jako postulowanie i urzeczywistnianie świata możliwego".*

# Pod ciemną gwiazdą

MICHAŁ TRELA

**W historii Wisły Kraków ostatnich dekad odbijają się nadzieje, uniesienia, grzechy i patologie polskiego futbolu. Oraz społeczeństwa.**

Jeśli, jak sądzi wielu, przez pryzmat piłki nożnej widać całą rzeczywistość, to do opowieści o Polsce ostatnich dekad Wisła Kraków nadaje się znakomicie. Niby nie jest to klub wyjątkowy – w tym sensie, że podobne doświadczenia zbierano też gdzie indziej. Na tle innych wyróżniają go jednak skala i nagromadzenie nadziei i patologii, problemów i uniesień. To opowieść o czasach PRL-u, gdy klub funkcjonował na państwowym (milicyjnym) garnuszku. O „grubej kresce", która pozwoliła działaczom ze starych czasów odegrać ważną rolę w nowej rzeczywistości. O trudnościach pierwszych lat kapitalizmu, gdy klub grał w II lidze i brakowało mu pieniędzy na ciepłą wodę. O prywatnej fortunie, która nagle pozwoliła mu poczuć się pewnie na europejskich salonach. I o kryzysie gospodarczym, który zmusił mecenasa do odejścia z klubu.

Wisła to także opowieść o przemocy stadionowej, gangach narkotykowych działających pod przykrywką ruchów kibicowskich, o szemranych majątkach, prywatnych interesach, łatwowierności i o tym, że do największej ruiny mogą doprowadzić ci, którzy najgłośniej zapewniają, że „mają sprawę w sercu".

### Sukces bez fundamentów

Siedem mistrzostw Polski w XXI wieku to wynik, którego jak dotąd nikt nie zdołał przebić. Nikt też nie zdołał dać kibicom takiej dumy z polskiej piłki klubowej. Wielka Wisła została sfinansowana pieniędzmi Bogusława Cupiała, małopolskiego biznesmena, który fortuny dorobił się na produkcji kabli w firmie Tele-Fonika. Podupadły klub, który nabył

JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

w 1997 r., na blisko 20 lat stał się jego ulubioną zabawką (miłością?).

Wisła Cupiała to jednak nie tylko potęga, ale też zmarnowana szansa. Wielkie pieniądze, które wpłacał na klubowe konto, były w sporej mierze marnotrawione. Szkolenie młodzieży i sprzedawanie jej z zyskiem za granicę, czyli model, według którego żyją europejskie ligi spoza ścisłej czołówki, nigdy Cupiała nie interesował. On wolał kupować gotowych piłkarzy, a gdy wyniki nie były zadowalające, zmieniał trenerów. W ten sposób udało mu się zbudować wielki w polskich warunkach klub, który podokazywał w Europie, ale nigdy nie stał się tak potężny, jak mógł: ani razu nie dostał się do Ligi Mistrzów, rozgrywek dla 32 najlepszych drużyn kontynentu. Obrośnięte dziś legendami mecze odbywały się we wstępnych fazach europejskich pucharów.

Chaotyczny sposób budowania drużyny pochłaniał więc dziesiątki milionów złotych i nie pozostawiał nic trwałego. Z epoki Cupiała, który z finansowania Wisły wycofał się w połowie 2016 r., zostały wspomnienia i rozpoznawalna marka. Ale nie fundamenty.

### Nóż w klub

Nie sposób wskazać jednego wydarzenia, które zaważyło na tym, że z mistrza Polski 2011 osiem lat później klub przeistoczył się w bankruta, któremu Polski Związek Piłki Nożnej w styczniu zawiesił licencję na grę w Ekstraklasie. Nie da się też wskazać jednego winnego tego, że Wisła przestała się kojarzyć z futbolem, a zaczęła z przestępczością zorganizowaną, wielomiesięcznym niepłaceniem pensji piłkarzom czy oddawaniem klubu w ręce szemranych ludzi bez majątku. Jej upadek to proces, w którym każdy kolejny „ratownik" tylko pogarszał sytuację.

Pierwsza dekada transformacji była w polskim futbolu nie tylko okresem biedy, korupcji i gry na przestarzałych stadionach, ale przede wszystkim przemocy na trybunach. To w latach 90. tak mocno przebił się do masowej świadomości wizerunek „kibola", a jednym z najsłynniejszych „kiboli" został „Misiek", fan Wisły, który w 1998 r. w trakcie meczu z Parmą trafił nożem w głowę włoskiego piłkarza Dina Baggio. Wybuchł międzynarodowy skandal, w wyniku którego Wisła została wykluczona z europejskich pucharów, a „Misiek" (w rzeczywistości Paweł M.) na ponad 6 lat trafił do więzienia. Wtedy po raz pierwszy w krakowskim klubie piłka nożna przegrała z kibolami. Nie ostatni.

### Szemrane towarzystwo

Gdy banki coraz mocniej zaczęły uzależniać od sprzedaży Wisły przyznanie kredytów dla zmagającej się ze skutkami kryzysu finansowego Tele-Foniki, Cupiał oddał klub w ręce Jakuba M., obecnie oskarżonego o przywłaszczenie mienia, który dokonał transakcji na podstawie sfałszowanych gwarancji bankowych. Był rok 2016: Wisła po raz pierwszy stanęła na krawędzi upadku, więc z rąk M. po miesiącu przejęło go Towarzystwo Sportowe Wisła Kraków, istniejące od 1906 r. wielosekcyjne stowarzyszenie, od którego Cupiał w 1997 r. kupił samą sekcję piłkarską. TS miało prawo odkupienia klubu od Cupiała za symboliczną złotówkę, właściciel Tele-Foniki wolał jednak sprzedać Wisłę komuś innemu – jakby podejrzewał, że w rękach TS-u nie będzie jej dobrze.

Choć TS ma długą tradycję, w ostatnich latach zapracowało na złą reputację. W stowarzyszeniu coraz większe wpływy zyskiwali członkowie ruchu kibicowskiego. Od czasu, gdy „Misiek" rzucił nożem, z polskich stadionów udało się wyplenić przemoc: nie przestały być wprawdzie siedliskiem chamstwa, ale przynajmniej przestało na nich dochodzić do regularnych burd. Efektowniej opakowane, rozgrywane w kraju szykującym się do organizacji mistrzostw Europy mecze przyciągnęły inną publiczność. Kibole jednak nie zniknęli: coraz częściej mający powiązania ze światem zorganizowanej przestępczości, nie rezygnowali z wywierania wpływu na sytuację w klubach. W tym ↦

sensie Wisła za czasów Cupiała nie różniła się od reszty kraju – tyle że dopóki była Tele-Fonika, podający się za kibiców bandyci nie mieli tu dostępu do władzy i pieniędzy.

### Jak kibol rządzi

Gdy TS zostało właścicielem piłkarskiej spółki, sytuacja się zmieniła. Poprzez sekcję Trenuj Sporty Walki środowisko kibicowskie zdołało wprowadzić do zarządu TS-u swoich ludzi, którzy zaczęli też rządzić w spółce. Nowym prezesem klubu została Marzena Sarapata, prawniczka, która kilka lat wcześniej reprezentowała „Miśka" w procesie z „Gazetą Wyborczą" o zniesławienie, a do zarządu TS-u dostała się właśnie jako delegatka sekcji sportów walki. Wiceprezesem mianowano Damiana Dukata, który długo łączył tę funkcję z przewodniczeniem Stowarzyszeniu Kibiców Wisły Kraków.

Sam Paweł M. „Misiek" odsiedział wyrok i wyszedł na wolność – już nie jako nastoletni chuligan, ale jako środowiskowa „legenda". Został przywódcą gangu „Wisła Sharks", choć oficjalnie funkcjonował jako zresocjalizowany biznesmen (tak określał go np. Ludwik Miętta-Mikołajewicz, honorowy prezes, związany z Wisłą od lat 40.). Jako takiemu TS oddało mu w najem swoje pomieszczenie, w którym „Misiek" zorganizował siłownię White Star Power. Zarówno to miejsce, jak i sekcja TSW miały nieoficjalnie służyć jako kuźnia związanych z klubem chuliganów. W październiku 2018 r. Paweł M. ponownie został zatrzymany i usłyszał zarzuty założenia oraz kierowania zorganizowaną grupą przestępczą, a także handlu narkotykami. Szerokie powiązania Wisły ze środowiskiem przestępczym pokazał we wrześniowym programie „Superwizjer" TVN. Wtedy było już jasne, że Wisła została pierwszym polskim klubem przejętym przez kiboli.

Mimo rozpoznawalnej w Europie marki i stuletniej tradycji, Wisła straciła wiarygodność w oczach inwestorów. Każdy zainteresowany rezygnował po przeprowadzeniu audytu, który wykazywał, w jak wiele niekorzystnych umów wplątany jest klub. Wyglądało to jak firma rodzinna najgorszego sortu. Członkowie zarządu zarabiali nie tylko dzięki sowitym pensjom, ale też zleceniom takim jak drukowanie programów meczowych czy sprzątanie stadionu, powierzanym swoim partnerom.

**Każdy zainteresowany Wisłą inwestor rezygnował,** orientując się, w jak wiele niekorzystnych umów wplątany jest klub.

Świat futbolu widział już wiele klubów zrujnowanych przez szemranych właścicieli. Piłka nożna, z nietransparentnym systemem przepływu pieniędzy, zapewnia rozpoznawalność i popularność, ale też przyciąga typy spod ciemnej gwiazdy. Romana Abramowicza, rosyjskiego właściciela Chelsea, zatrzymano w 1992 r. w związku z podejrzeniem kradzieży cystern pełnych oleju napędowego. Niejasne są źródła dochodów wielu innych oligarchów rosyjskich i ukraińskich, którzy masowo kupowali kluby w całej Europie. Katarczyków zarządzających Paris Saint-Germain oskarża się o łamanie praw człowieka, podobnie jak szejków prowadzących Manchester City.

Dla większości kibiców, dodajmy, najważniejszy jest wynik sportowy: póki właściciel kupuje piłkarzy, a drużyna wygrywa, nie pytają o pochodzenie pieniędzy czy trwałość sukcesu. Są jednak miejsca (np. w Bundeslidze), gdzie świadomi kibice bronią jak niepodległości reguły 50+1, zabraniającej prywatnym inwestorom przejmować większościowe pakiety akcji klubów. Są one bowiem traktowane nie tylko jak dostarczające rozrywki przedsiębiorstwa, ale też ważne elementy lokalnych społeczności.

Ponury paradoks krakowskiej sytuacji polega jednak na tym, że na skraj upadku doprowadził klub nie ktoś z zewnątrz, ale ci, którzy twierdzili, że Wisłę noszą w sercu. Kolejne wychodzące na jaw umowy każą podejrzewać, że ruina, jaką obecnie jest klub, to nie tyle efekt nieudolnego zarządzania, ile działania z premedytacją, któremu biernie przyglądała się rada nadzorcza prowadzona przez Tadeusza Czerwińskiego, już w latach 70. zajmującego w klubie wysokie stanowiska. Sposobem wydawania pieniędzy w Wiśle z końcem zeszłego roku zainteresowała się prokuratura.

### Transakcja pod parasolem

Jesienią piłkarze Wisły grali w Ekstraklasie za darmo. Na przekór problemom, na boisku zachwycali momentami niemal jak za dawnych lat, budząc szacunek i sympatię. Kres kłopotom miało przynieść podpisanie w grudniu umowy z luksembursko-brytyjskim konsorcjum, prowadzonym przez kambodżańskiego Francuza Vannę Ly i Szweda Matsa Hartlinga. Przyjęci nawet przez prezydenta miasta Jacka Majchrowskiego, roztoczyli przed nim mocarstwowe wizje, ale przed zgromadzonymi w ratuszu dziennikarzami zasłaniali się parasolem.

W zamian za obietnicę wpłacenia 12 milionów zł na konto zadłużonego klubu otrzymali od TS-u miejsce w zarządzie i akcje spółki. Pieniądze jednak nie wpłynęły, a Ly przepadł jak kamień w wodę. Zadziwiającą łatwowierność działaczy i kibiców oraz części środowiska medialnego, niezważających na liczne sygnały ostrzegawcze i zaślepionych wizją powrotu wielkiej Wisły, tłumaczono tym samym mechanizmem, który doprowadził do afery Amber Gold czy zawrotnej kariery Stana Tymińskiego. Wisła na tej historii straciła nie tylko powagę, ale też licencję na grę w Ekstraklasie, a przede wszystkim klubowe akcje. Dziś każdy potencjalny nowy inwestor kupi już nie tylko wysokie długi, niekorzystne umowy i konieczność układania stosunków ze środowiskiem kibicowskim, ale też konflikt prawny. Toczony przed szwedzkimi sądami, bo tak stanowiła grudniowa umowa sprzedaży klubu.

Scenariusza, w którym od przyszłego sezonu jeden z największych klubów w Polsce wyląduje w IV lidze (piąty poziom rozgrywkowy), ciągle nie można wykluczyć. Zarówno polski, jak i zagraniczny futbol widział już upadki wielkich firm: Widzewa Łódź czy Polonii Warszawa, ale także szkockiego Glasgow Rangers czy włoskich Napoli i Fiorentiny. W każdym z tych przypadków upadek stanowił *katharsis*: pozwalał uwolnić się od długów czy skompromitowanych właścicieli i wystartować z czystą kartą. Przypadek Wisły jest jednak wyjątkowy także w tym sensie, że upadłość niczego nie rozwiąże: prawem do ewentualnej reaktywacji klubu dysponuje tylko TS. A to oznacza, że klubem nawet w IV lidze rządziłoby to samo towarzystwo, które doprowadziło go do ruiny.

© MICHAŁ TRELA

*Autor jest dziennikarzem „Przeglądu Sportowego".*

ANNA

# Dziewit-Meller:
## *Wyklęty powstań, ludu ziemi*

Kiedy weźmiecie do ręki to wydanie „Tygodnika", będziecie już prawdopodobnie wiedzieć, jaki jest efekt zaplanowanego na wtorek głosowania w parlamencie brytyjskim. To rzecz jasna głosowanie nad umową o wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii, to samo, które miało się odbyć w grudniu, ale zostało przesunięte, bo premier Theresa May zorientowała się, że w tamtym momencie przegra je z kretesem. Państwo już wiecie, czy jej założenie, że 15 stycznia jej się uda, było słuszne.

Mam tymczasem nieustające poczucie, że kwestia brexitu jest jakoś stanowczo zbyt płytko i pobieżnie omawiana w polskich mediach. Najbardziej pochylają się nad nią publicyści usiłujący wykorzystać ten stan chaosu w Wielkiej Brytanii do lokalnej walki partyjnej, opinia publiczna jednak wydaje się dość mocno zdezorientowana, ale chyba też nie do końca przejęta powagą tej sytuacji. A to mnie dziwi – przecież Wielka Brytania to właściwie wice-Polska, dom dla tak wielu z nas, że doprawdy nie wiem, czemu się tym tak powierzchownie interesujemy tu, w kraju-matce.

Gdyby komuś zamarzyło się jednak większe rozeznanie, to polecałabym zacząć od zobaczenia filmu, który dopiero co został udostępniony szerokiej publiczności. W „Brexit" główną rolę zagrał Benedict Cumberbatch, wcielający się w postać Dominika Cummingsa – szarej eminencji organizacji Vote Leave, outsidera politycznego, zwolennika zmiany *status quo*, który – tak przynajmniej wynika z filmu – w ogromnej mierze przyczynił się do ostatecznego wyniku referendum. Lewicowe media już zdążyły uznać film za gniot, którego autor uległ fascynacji osobą głównego bohatera, na prawicy ma się rozumieć film przyjęto z ciepłym zrozumieniem. Niezależnie od ocen, z filmu wynika jasno: brexitowcy zrozumieli coś, czego politycy głównego nurtu długo nie mogli dostrzec (w filmie to dość toporna metafora szumu, pomruku, jaki słyszy od czasu do czasu geniusz strategii politycznej, czyli Cummings). Odpowiednio zmotywowani ludzie naprawdę pragną zawrócenia Tamizy kijem. I są gotowi się zmobilizować, by tego dzieła dokonać.

Cokolwiek wydarzy się dalej (mój walijski kolega zamieszkały w Polsce uparcie twierdzi, że nie będzie żadnego brexitu, idąc za tokiem myślenia lorda Andrew Adonisa, który rzekł ostatnio, że ponowne referendum, wbrew krytykom, nie będzie zdradą głosu ludu, bo nie można zdradzić ludu oddając mu ponownie głos) – dobrze jest przyglądać się polskiej zastępczej ojczyźnie, ot choćby po to, by zobaczyć, jak pomiędzy naszymi krajami przepływają nie tylko środki finansowe i siła robocza, ale również najbardziej niepokojące idee.

Ich reprezentantką może być choćby Katie Hopkins – prawdziwa koryfeuszka brexitu, miłośniczka Donalda Trumpa, efemeryczna felietonistka dziwnych mediów, dobra znajoma posła Dominika Tarczyńskiego. Furorę w sieci zrobił jej filmik, w którym idzie ona po warszawskiej ulicy wychwalając politykę imigracyjną Prawa i Sprawiedliwości, porównując Warszawę do Paryża z czasów, nim stał się „gównianą dziurą z Trzeciego Świata". Polskę kocha również Tommy Robins – działacz antyislamski, gość na Marszu Niepodległości w Warszawie, którego aresztowanie latem 2018 r. poderwało posłankę Krystynę Pawłowicz do działania – wezwała wszak Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich do ruszenia mu na ratunek, nim pojmanego przez „lewacko-islamskie władze brytyjskie" zabiją „islamscy więźniowie". Czy jeśli dodam, że zdjęciami z Robinsem chwali się poseł Tarczyński, to kogoś zaskoczę?

Warto też może przyjrzeć się najnowszej gwieździe tego mrocznego firmamentu, Jamesowi Goddardowi – rosnącemu na lidera brytyjskiej wersji ruchu „żółtych kamizelek", który to ruch, w przeciwieństwie do wciąż różnorodnego ideologicznie w swej masie francuskiego starszego brata, coraz mocniej przejmowany jest przez skrajną prawicę. Goddard zasłynął kilka dni temu nagraniem, w którym na ulicy razem z kilkoma kolegami atakuje słownie deputowaną do parlamentu Anne Soubry, chodząc za nią krok w krok i nazywając nazistką. Ale rzecz jasna Goddard był figurą popularną znacznie wcześniej – nie od dziś wszak działał intensywnie w sieci, namawiając swoich zwolenników do wpłacania pieniędzy na jego działalność polityczną i doskonale radząc sobie z monetyzacją nienawiści. Po zdarzeniu z posłanką Facebook zamknął mu konto, dzięki czemu Goddard doszlusował do Robinsa i obecnie też chętnie pozuje na ofiarę lewackiej politpoprawności i tłamszenia wolności słowa przez zakłamane elity.

Tymczasem we włoskiej miejscowości Colleopardo guru ich wszystkich, dobry kolega kolegi naszego rządu Roberta Salviniego, Steve Bannon, pomaga właśnie fundacji powiązanej ze środowiskami kościelnych tradycjonalistów przejąć opustoszały klasztor, by tam zorganizować siedzibę nacjonalistycznej międzynarodówki (jakkolwiek głupio brzmi ów oksymoron). I choć trudno mi sobie wyobrazić posła Tarczyńskiego w mnisiej celi, to czuję, że tam byłby gotów na takie poświęcenie. ©

OGŁOSZENIE

**W Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód z siedzibą w Świdniku,** w sprawie I Ns 965/18, toczy się z wniosku Kazimierza Namioty postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Izabeli Namiocie-Wierzchowskiej, ostatnio stale zamieszkałej w Łęcznej, ul. Sikorskiego 4/42, zm. 31 lipca 2017 r.

Wzywa się, aby spadkobiercy Izabeli Namioty-Wierzchowskiej w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIARA

# WYJŚĆ Z CZASÓW ZAMĘTU

**KS. ALFRED WIERZBICKI, ETYK:**

W naszych warunkach nie można skutecznie głosić ewangelii, jeśli się nie broni konstytucji.

**ARTUR SPORNIAK: Czy miniony rok był dla polskiego Kościoła pomyślny?**

**KS. ALFRED WIERZBICKI:** Raczej nie, gdyż w ostatnim czasie pojawiły się widoczne rysy. Mam na myśli przede wszystkim liczne skandale pedofilskie.

Poza tym był to rok stulecia odzyskania niepodległości. Ogromnym rozczarowaniem było to, co Kościół miał do powiedzenia na temat sensu niepodległości i dzisiejszych wyzwań. List, który Episkopat skierował do wiernych, był napisany, oględnie mówiąc, w naiwnej „bogoojczyźnianej" stylistyce.

**Co powinno było się w nim znaleźć?**

Choćby podkreślenie sensu niepodległości jako wysiłku wielu pokoleń Polaków z różnych środowisk. Nawiązanie też do nadchodzącej 30. rocznicy upadku komunizmu i budowania suwerenności na nowo – te fakty się łączą i nie powinno się ich oddzielać. Nie możemy się odwoływać tylko do roku 1918. Następnie, brak jakiegokolwiek poważnego uświadomienia kryzysu demokracji w Polsce. I wreszcie sprawa, która do tej pory nie była poruszona (nie wspomniał o niej także doskonały w wielu innych aspektach list Episkopatu o patriotyzmie z 2017 r.): patriotyzm polski a patriotyzm europejski. Można odnieść wrażenie, że mamy atmosferę coraz bardziej antyeuropejską – gdzieś tam krąży widmo polexitu. W zakresie odpowiedzialności biskupów powinno być także kształtowanie postaw proeuropejskich i łączenie polskości z europejskością.

**Czy przypominanie Polakom w Kościele, że są także obywatelami Europy, nie byłoby mieszaniem się do polityki?**

Niewątpliwie jest to temat polityczny. Ale chodzi o los Polski, a więc o dobro wspólne. Znajdujemy się zatem na płaszczyźnie metapolitycznej. Tu Kościół ma prawo zabierać głos.

W ostatnim ćwierćwieczu panował konsensus co do sensu polskiej polityki zagranicznej i miejsca Polski w Europie. W tej chwili jest to coraz bardziej kwestionowane. Żyjemy w czasach wielkiego zamętu. Kościół chciał, żeby nasz kraj wnosił twórczy wkład do Unii Europejskiej. Przypomnijmy, że bardzo zależało na tym Janowi Pawłowi II. Gdyby Polska miała się przyczynić do destrukcji Unii, byłaby to dla nas cywilizacyjna katastrofa. Kościół powinien być tu aktywny – obecność w Unii przesądza o naszym cywilizacyjnym rozwoju.

**W wyborach samorządowych biskupi unikali agitacji politycznej – w przeciwieństwie do wielu proboszczów, którzy agitowali z ambon i nie wahali się zapraszać do kościołów na spotkania przedwyborcze kandydatów PiS. Skąd takie lekceważenie nauczania Kościoła?**

Zabrakło wewnątrz Kościoła rozmowy na ten temat. Brak rozmowy jest w ogóle słabością naszego Kościoła. Fakt, że biskupi coś postanowią, nie znaczy, że duszpasterze od razu to realizują. Poza tym świadomość soborowa jest bardzo słaba. Sobór Watykański II i nauczanie później-

MICHAŁ FLUDRA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

*Abp Sławoj Leszek Głódź na Westerplatte, 1 września 2018 r.*

szych papieży mocno podkreślają, że Kościół nie może się utożsamiać z programem jakiejkolwiek partii – nawet wtedy, gdy dana partia programowo chce realizować zasady chrześcijańskie, ani też wtedy, gdy Kościół oczekuje pomocy ze strony polityków.

Jeśli szukamy powodów angażowania się księży w agitację, trzeba wskazać na działanie mediów ojca Tadeusza Rydzyka. Gdy odwiedzam różne plebanie i rozmawiam z księżmi, to częstszym źródłem ich wiedzy i inspiracji okazuje się właśnie to środowisko, które bardzo mocno angażuje się politycznie.

**Działania o. Rydzyka mają pełne wsparcie prowincjała redemptorystów, który na przypominających wiec partyjny obchodach jubileuszu 27-lecia rozgłośni witał premiera Morawieckiego: „Panie premierze – podziwiamy i wspieramy!". Podoba się Księdzu ta wypowiedź?**

Oczywiście są to słowa idące zdecydowanie za daleko. Ale i w drugą stronę: słyszymy słowa premiera, że tam, w Toruniu, są prawdziwi polscy patrioci. Wolałbym, żeby władza nie klasyfikowała Polaków i nie stopniowała patriotyzmu. Uroczystości te stwarzały wrażenie, że kościelne przecież Radio Maryja jest agendą rządu.

**Taki ścisły związek z władzą przynosi rozgłośni toruńskiej wymierne korzyści.**

↦

↦ Już wielokrotnie wykazywano, że państwowe dotacje na dzieła ojca Rydzyka znacznie wzrosły.

**Ignorowanie nauczania i kompromitowanie Kościoła odbywa się przy milczeniu Episkopatu.**

Radio Maryja wypracowało sobie tak silną, wręcz pozakanoniczną pozycję w Kościele, że polscy biskupi, którzy – trzeba to powiedzieć – są podzieleni co do stosunku do tego medium, okazują się bezradni. Ojciec Rydzyk zręcznie wyrobił sobie pozycję politycznego decydenta, co oczywiście nie mieści się w normach prawa kanonicznego.

**Ale to sam Episkopat uczynił się bezbronnym, skoro przewodniczącym Zespołu Specjalnej Troski o Radio Maryja (który miał dbać m.in. o apolityczność tej rozgłośni) został wybrany abp Sławoj Leszek Głódź, wielki admirator mediów toruńskich.**

Wygląda na to, że Zespół Specjalnej Troski stał się Zespołem Specjalnej Ochrony Radia Maryja.

**Dwa lata temu Ksiądz mówił, że „Polska coraz bardziej przechyla się w stronę autorytaryzmu". Czy ta diagnoza jest aktualna?**

Jestem jej jeszcze bardziej pewien. Te dwa lata tylko ją potwierdziły. Wtedy to była obawa, dziś widać, jak bardzo w Polsce został rozchwiany trójpodział władzy. Fakt, że wyrok Trybunału Europejskiego wymógł nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym, pokazuje, że obecne prawo narusza system wartości, na którym opiera się państwo demokratyczne. W ciągu tych dwóch lat powstał i potężniał ruch ludzi, którzy bronią konstytucji. Świadczy to o tym, że moja obawa była uzasadniona. Żałuję, że stanowisko Kościoła nie zostało wobec tej sprawy wyraźnie sformułowane. Pojawiały się pojedyncze wypowiedzi biskupów wskazujące na wagę zasady trójpodziału władzy jako podstawy systemu demokratycznego i były one bardzo potrzebne. Ale ostatecznie nie zdiagnozowano wyraźnie, że w Polsce mamy kłopot z demokracją.

Taka diagnoza nie byłaby „mieszaniem się do polityki". Gdy się uważnie czyta „Centesimus annus" Jana Pawła II, encyklikę z 1991 r., która dawała wsparcie dla rodzących się demokracji w Europie Środkowo-Wschodniej po upadku komunizmu, to tam znajdziemy sformułowanie, że obrona demokracji należy do głoszenia zasad katolickiej nauki społecznej. Kościół do takiej tezy dorastał długo i w tym procesie dorastania nie do przecenienia jest wkład Karola Wojtyły. Papież ponadto mówił – i to chcę podkreślić – że głoszenie zasad katolickiej nauki społecznej jest częścią misji ewangelizacyjnej Kościoła. Ewangelizacja łączy w sobie zarówno głoszenie dobrej nowiny o zbawieniu, jak też głoszenie dobrej nowiny o świecie wartości, o ładzie aksjologicznym, ze wszystkimi konsekwencjami dotyczącymi także życia społecznego i politycznego.

Stawiam więc pytanie: dlaczego zabrakło jednoznacznego stanowiska biskupów wobec łamania w Polsce zasad demokracji, a przecież byłoby to tak mocno osadzone w dziedzictwie Jana Pawła II? Część z biskupów związana jest emocjonalnie i ideowo z PiS-em, a inna część uważa, że wypowiedź taka pogłębiłaby podziały w naszym społeczeństwie. W każdym razie od czasu kryzysu politycznego z 2015 r. nikt nie wystąpił odważnie w obronie wartości samej demokracji.

**Ktoś mógłby polemizować, że Kościół akceptuje różne ustroje.**

Ale demokracja przy wszystkich swoich wadach pozwala na zrealizowanie podmiotowości indywidualnej i zarazem społecznej. Stwarza możliwość, abyśmy przy całej różnorodności naszych interesów, postaw i przekonań tworzyli dobro wspólne. Samuel Huntington w książce „Trzecia fala demokratyzacji" wskazuje, że Kościół był bardzo aktywny w demokratyzacji współczesnego świata po II wojnie światowej.

Nauczanie Kościoła wskazuje, że demokracja musi mieć swój fundament w wartościach, ale ona sama też jest wartością. Problem jest wtedy, gdy głos Kościoła sprowadza się do niezbyt mądrych sloganów, że ewangelia jest przed konstytucją. W pewnym sensie tak, bo ewangelia jest czymś podstawowym. Ale nie ma konfliktu pomiędzy polską konstytucją a ewangelią. Co więcej, w naszych warunkach nie można skutecznie głosić ewangelii, jeśli się nie broni konstytucji. Praworządność jest podstawą dobra wspólnego.

**W Kościele nie słyszymy o konieczności przywrócenia praworządności, za to słyszymy – i to w szczególnym momencie, na pasterce – o zagrożeniu ze strony „ponowoczesnego miękkiego totalitaryzmu, idei głęboko marksistowskiej, która stara się usunąć wszelką myśl metafizyczną, a nawet samą obecność Boga". Ksiądz podziela niepokój abp. Stanisława Gądeckiego?**

Do pewnego stopnia tak. Niewątpliwie współczesna kultura jest postmodernistyczna w swoich głównych nurtach. Ale zagrożeń łatwo jest szukać gdzieś na zewnątrz, w kulturze czy w świecie. W metafizykę – moim zdaniem – bardziej godzi zgorszenie, jakie sieją ludzie Kościoła. Coraz więcej osób ma dość Kościoła. Fakt, że pięć milionów Polaków poszło na film „Kler", powinien nam, duchownym, dawać do myślenia. Można oczywiście mówić, że ten film nie odzwierciedla obrazu Kościoła. Nie o to chodzi, żeby film był reportażem, a reżyser przyjmował rolę socjologa. Zadaniem artysty jest poruszyć naszą wrażliwość i kiedy trzeba – także wstrząsnąć. Jeśli dzisiaj wielu z nas jest wstrząśniętych i chwieją się nam fundamenty wiary, to nie tylko z tego powodu, że kultura jest relatywistyczna, ale rownież dlatego, że ten relatywizm przenika do wnętrza Kościoła. Dlatego wolałbym na pasterce słyszeć poważniejszą diagnozę dramatu chrześcijaństwa w Polsce.

**Przewodniczący Episkopatu inaczej tłumaczy sukces frekwencyjny „Kleru", przyrównując go do filmu „Żyd Süss" wyprodukowanego przez hitlerowską propagandę w 1940 r.**

Jestem w odwrotnej sytuacji niż abp Gądecki – on nie oglądał „Kleru", ja nie oglądałem „Żyda Süssa". Ale myślę, że nie ma w ogóle podstaw do takiego porównania. „Kler" nie jest filmem propagandowym ani czysto publicystycznym. On mną wstrząsnął i w sumie uważam, że jest filmem udanym. Jest w nim wiele dramatyczności. To prawda, że w swojej warstwie narracyjnej jest o skandalach w Kościele – o pedofilii, alkoholizmie, karierowiczostwie. Jego sednem jest napiętnowanie hipokryzji w Kościele. Poza tym skazujemy dialog na porażkę, kiedy z góry przypisujemy drugiej stronie złe intencje. Nie wiem, jakie miał intencje Smarzowski. Możliwe, że był tak wkurzony na Kościół, że zrobił aż tak czarny film. Ale ten film nie jest nieprawdziwy – dotyka sedna pro-

blemów, które przeżywamy jako chrześcijanie.

**Co Ksiądz Profesor sądzi o przypadku ks. Jankowskiego?**

Nigdy go nie spotkałem. Znam sprawę jedynie z mediów. Doniesienia są wstrząsające. Jeśli ofiary po latach odważyły się mówić, należy im wyjść naprzeciw. Pierwsza powinna być nasza wrażliwość na krzywdę dzieci. Reakcją bardzo oczekiwaną byłoby powołanie w Gdańsku komisji kościelno-publicznej – ani komisja kościelna, ani publiczna nie byłyby do końca wiarygodne. Zasłanianie się przez kurię gdańską przeszkodami prawno-formalnymi jest bardzo szkodliwe.

W jednym człowieku może się mieścić i dobro, i zło. Pokazał to przypadek założyciela Legionistów Chrystusa ks. Marciala Maciela Degollada. Jedni go kryli, choć zdawali sobie sprawę z jego nikczemności, a inni podkreślali jego zasługi ewangelizacyjne. Miał dwie dusze – to jakaś ogromna tajemnica zdeprawowanych duchownych.

Sprawa Jankowskiego to nie jest tylko problem Gdańska, to problem w ogóle Polski. Mamy prawo wiedzieć, kim był ks. Jankowski. Ale jak się dowiadujemy, w Gdańsku o tym powszechnie wiedziano. Ta zmowa milczenia rzuca ciemne światło na nas jako chrześcijan, ale także na nas jako Polaków, którzy w imię ogólniejszych spraw jesteśmy w stanie tolerować zło księdza i krzywdę dzieci. Taką sytuację utrwalały wpływy i pozycja, jaką zdobył Jankowski. Taka pozakanoniczna władza księdza może strasznie niszczyć Kościół.

**A co Ksiądz sądzi o stanowisku abp. Głódzia, też wyrażonym na pasterce, że to środowiska wrogie Kościołowi atakują ks. Jankowskiego?**

Kolejny powód do gorzkiej refleksji, że zamiast głosić na pasterce misterium Wcielenia, które wiąże się z misterium Odkupienia i wyzwolenia z grzechu, szuka się tego grzechu daleko od siebie.

**Przed tygodniem publikowaliśmy rozmowę z niemieckim biskupem, który owo misterium grzechu w Kościele wyjątkowo wnikliwie widzi. Czy zgadza się Ksiądz z diagnozą biskupa Hildesheim Heinera Wilmera, że „nadużywanie władzy tkwi w DNA Kościoła”?**

KAROL SEREWIS / EAST NEWS

**KS. ALFRED WIERZBICKI:**

Gdy odwiedzam różne plebanie i rozmawiam z księżmi, to źródłem ich wiedzy i inspiracji okazuje się właśnie środowisko Radia Maryja, które bardzo mocno angażuje się politycznie.

To sformułowanie za ostre. Podobnie jak teza niektórych środowisk antyklerykalnych w Polsce, że Kościół jest instytucją kryminalną. Zgadzam się z bp. Wilmerem, nie w takim znaczeniu, że to z istoty chrześcijaństwa ma się rodzić przemoc, natomiast on ciekawie mówi o strukturach zła. Zresztą pojęcie „grzechu strukturalnego” w teologii upowszechnił Jan Paweł II. Struktury zła (czasem wręcz struktury mafijne) nie omijają także Kościoła. Zmowa milczenia, lojalność klanowa – to wszystko poważne problemy Kościoła. Franciszek właśnie próbuje z tym walczyć. Nie ze strukturami administracyjnymi, tylko mentalno-moralnymi.

**Biskup Hildesheim nie mówi, że chrześcijaństwo jest źródłem zła, tylko że będąca poza kontrolą absolutna władza w Kościele sprzyja strukturom zła.**

Zgoda. Zło może być popełniane przez członków Kościoła, jako grzeszników, ale zło może tkwić też w sposobie sprawowania urzędów kościelnych.

**Ma Ksiądz jakiś pomysł na reformę?**

Nawrócenie pastoralne – to pomysł Franciszka. Czyli odejście od duszpasterstwa zachowawczego i przejście do duszpasterstwa zdecydowanie misyjnego. Natomiast postulat kontroli władzy kościelnej musi dojrzeć wśród ludzi Kościoła.

To, co nam, duchownym, często grozi, to idealizacja rzeczywistości, czyli myślenie wedle tego, jak być powinno. Tymczasem analiza rzeczywistości odsłania ciemne strony obecne także w Kościele. Oczywiście, należy wierzyć, że „bramy piekielne go nie przemogą”, ale to nie znaczy, że zło jest na zewnątrz Kościoła. W takiej wizji jest on oblężoną twierdzą. Tymczasem to my czynimy zło, to my się nie sprawdzamy jako chrześcijanie. Dlatego kluczowa jest według mnie kategoria nawrócenia.

**Nie warto zaczynać od reformy instytucji i struktur władzy?**

Kościół jest nie tylko i nie przede wszystkim instytucją. Ma on bardzo złożoną naturę. Instytucjonalność Kościoła jest tylko pewnym jego aspektem. Często mamy problemy z Kościołem, gdyż sprowadzamy go do instytucji. Trudno jest nam dzisiaj to sobie wyobrazić, ale był czas – i to dość długi: kilka pierwszych wieków – w którym kurii rzymskiej ani żadnej innej nie było. Trudno jest odrzucić wymiar instytucjonalny przy takiej złożoności, ale Kościół to przede wszystkim wspólnota wierzących z Chrystusem. Wiążę wielkie nadzieje z ruchami ewangelizacyjnymi. Kościół wielokrotnie się przemieniał. Jak się spojrzy na jego historię, to jest to historia permanentnych kryzysów.

**Bp Wilmer mówi, że w tej chwili najważniejsza jest „opcja na rzecz ofiar”. Zatroszczenie się o ofiary będzie najlepszą reformą Kościoła?**

Dokładnie tak! Kiedy Kościół jest skupiony na sobie, zapomina, że jest posłany z orędziem miłości do każdego człowieka. Pierwszymi adresatami miłości powinny być ofiary skrzywdzone przez ludzi Kościoła. ©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

**KS. ALFRED WIERZBICKI** *jest filozofem, kierownikiem Katedry Etyki na Wydziale Filozofii KUL, w latach 2006-14 był dyrektorem Instytutu Jana Pawła II KUL. Ostatnio wydał książkę „Kruche dziedzictwo. Jan Paweł II od nowa”.*

# Tischner nie chce mitry

WOJCIECH BONOWICZ

**Zachowała się kopia listu, w którym ksiądz Józef aluzyjnie prosi Jana Pawła II, by nie mianował go biskupem.**

List powstał w okolicznościach szczególnych: upłynął miesiąc od wyboru kard. Karola Wojtyły na papieża i Kraków huczał od plotek, kto będzie jego następcą na Franciszkańskiej. Wśród nazwisk, które pojawiły się „na giełdzie", znalazło się także nazwisko Tischnera. Sam zainteresowany – jak wspominał po latach – odnosił się do tych wieści z rezerwą, a nawet trochę się nimi bawił. Tym bardziej że do drzwi jego mieszkania zaczęli coraz częściej pukać krajowi i zagraniczni goście, żeby dowiedzieć się więcej o przyszłym biskupie i na wszelki wypadek zapewnić sobie jego życzliwość. „Pamiętam – opowiadał Tischner – od jednego znakomitego przełożonego znakomitego zakonu dostałem koniak, na wypadek taki, żebym łaskawym okiem patrzył na to zgromadzenie". Wystraszył się dopiero wtedy, gdy odwiedził go przedstawiciel brytyjskiej królowej... Czyżby w krążących plotkach było jednak coś z prawdy?

List z 25 listopada 1978 r. nawiązuje do tych spraw tylko aluzyjnie, ale aluzje musiały być dla adresata czytelne. Tischner pisze o tym, co się dzieje na Wydziale Filozoficznym działającym w ramach Papieskiego Wydziału Teologicznego w Krakowie. Wydział Filozoficzny został powołany w grudniu 1976 r. W ciągu dwóch lat zgromadził wielu znakomitych wykładowców, ale nie miał stałej siedziby. Tischner wspomina najbliższych współpracowników: ks. Michała Hellera, ks. Józefa Życińskiego, ks. Mariana Jaworskiego, Stanisława Grygiela i Karola Tarnowskiego. Wspomina też swego dawnego promotora, ks. Kazimierza Kłósaka, redaktora pisma „Analecta Cracoviensia", w którym pracownicy wydziału publikowali. Pisze wreszcie o tym, co sam robi: głosi wykłady i prelekcje, które gromadzą tłumy słuchaczy, kontynuuje rozpoczęte kilka lat wcześniej polemiki dotyczące relacji chrześcijaństwa i filozofii współczesnej, a przede wszystkim jest w trakcie formułowania „własnej wizji spraw ludzkich" (którą z czasem nazwie filozofią dramatu).

Także dołączona na koniec anegdota nie pozostawia wątpliwości: Tischner nie chce żadnych zmian, chce zajmować się tym, czym od lat się zajmował. „Bałem się otrzymać władzę, bałem się posiadania zębów – tłumaczył w 1995 r. Michnikowi i Żakowskiemu. – Nie umiem rządzić. Nigdy mnie to nie ciągnęło, a poza tym władza biskupia zabrałaby mi doktrynalną swobodę, którą mam jako profesor filozofii". Już wtedy przyznał publicznie, że napisał do Jana Pawła II, prosząc, by go „nie brał pod uwagę". Papież – według tamtej opowieści – miał odpowiedzieć: „Życzę dobrego pobytu w bacówce pod Turbaczem". „Wtedy już się uspokoiłem" – wspominał Tischner.

Prawdziwa papieska odpowiedź brzmiała nieco inaczej, chociaż jej sens był podobny. „List zawiera cenne dla mnie informacje – napisał 11 grudnia papież – po pierwsze: jestem wciąż jeszcze »zakorzeniony« w Krakowie, po drugie: problematyka ma znaczenie uniwersalne. Cieszę się z tego, co w Krakowie już udało się osiągnąć, i co w tym roku jeszcze wyraźniej się realizuje". Zaznaczył, że czeka na „Spór o istnienie człowieka", a na końcu dodał: „Łamię się opłatkiem z Księdzem Józefem i śpiewam kolędy na polanie pod Turbaczem!".

Jedną rzecz trzeba chyba jeszcze wyjaśnić: dlaczego w przytoczonej przez Tischnera anegdocie jest mowa o trzech kardynałach? Nie udało mi się ustalić dokładnie, kiedy miała miejsce opisana scena, jednak wszystko wskazuje na to, że Wojtyła miał na myśli – oprócz prymasa Wyszyńskiego i siebie – kard. Bolesława Filipiaka, wyniesionego do tej godności przez Pawła VI. Przypominam, bo to postać dziś nieco zapomniana. ©

**Kraków, dnia 25 XI 1978**

**WASZA ŚWIĄTOBLIWOŚĆ, OJCZE ŚWIĘTY,**

**korzystając z nadarzającej się okazji, pragnę skreślić kilka słów o tym, jak tutaj filozofujemy, jak się uczymy. Czynię to ośmielony i zachęcony przez X. Dziekana i X. Prodziekana. Zwłaszcza ten drugi po ostatniej rozmowie z Waszą Świątobliwością mówił o tym, jak bardzo pragnie Wasza Świątobliwość wiadomości spod Wawelu. Może więc tych kilka słów nie będzie niepotrzebnym zajęciem cennego czasu.**

**Wiem, że Stolica Święta to nie to samo co ulica Franciszkańska, ale piszę tak, jakbym pisał na Franciszkańską. Sposób rozumienia ludzi, wczuwania się w ich najlepsze intencje i głosy sumienia z pewnością pozostał ten sam, nawet jeśli się zmienił horyzont patrzenia na ich życie.**

**Podjęliśmy więc na Wydziale kilka dodatkowych wykładów z filozofii. Ks. M. Heller organizuje przy pomocy Ks. J. Życińskiego raz w miesiącu spotkania międzyspecjalizacyjne. Zdołał skupić wokół siebie ok. 40 osób świeckich i studentów teologii lat starszych. Są wśród nich młodzi, zdolni fizycy i matematycy. Za lat kilka powinna wyłonić się z tego środowiska elita specjalistów. Ks. Michał jest dobrej myśli, spotkania odbywają się nadal na Franciszkańskiej.**

**Drugi wykład dodatkowy z cyklu filozoficznego to moja filozofia człowieka. W tym roku jest on nadobowiązkowy, potem wejdzie na rok drugi. Mam ok. 80 słuchaczy, w tym ok. 30 świeckich, kończących już jakieś studia wyższe. Muszę to wyznać: jest to wykład, do którego przymierzałem się od lat dwudziestu, jeśli nie dłużej. Mimo to – a może raczej dlatego – pochłonął on niemal bez reszty moją wyobraźnię i moje intelektualne siły. Sprecyzowałem go jako „Spór o istnienie człowieka". Mam ambicję zaprezentowania możliwie własnej wizji spraw ludzkich. Chciałbym, aby to się liczyło w naszej kulturze, może tak jak „Spór [o istnienie świata]" Ingardena (tytuł świadomie do niego nawiązuje), może tak jak słynne „Formalismus" M. Schelera. Tyle lat gryzłem współczesną filozofię. Niektórzy mówią, że znam ją najlepiej w Polsce. Sumienie mi mówi, że jeśli ja tego nie zrobię, to nikt tego**

ANNA PIETUSZKO / FORUM

*Ksiądz Józef Tischner w bibliotece klasztoru kamedułów. Srebrna Góra, Kraków, 1996 r.*

nie zrobi. A trzeba to zrobić. Panoszy się wokół nas dziś wielka pustka samowiedzy. No więc robię, rzetelnie, precyzyjnie, bo inna robota się dziś nie liczy. Dwa pierwsze rozdziały mojego „Sporu" są już w druku w „Analectach", nad resztą pracuję. Ks. Prof. Kłósak jest zadowolony. Nawet bardzo.

I nurt trzeci – polemiczny. W tym roku nieoczekiwanie wzrosło zapotrzebowanie na wykłady z marksizmu wśród studentów świeckich. Prowadzimy to u św. Anny wspólnie z ks. Życińskim. Na ostatnim wykładzie było około 500 studentów. Wykład jest tak prowadzony, że wiedza merytoryczna wiąże się w nim z wiedzą o dziejach marksizmu w Polsce. Należy on do cyklu, jaki zaprowadziliśmy jeszcze w kwietniu bież[ącego] roku. Wykłady tego cyklu (5 krakowskich kościołów) biegną bez przeszkód ze strony władz. Inaczej jest z „Uniwersytetem Latającym". Tutaj szykany trwają nadal. W Krakowie nie mógł się jeszcze odbyć żaden odczyt.

Gdy idzie o moje polemiki z tomistami, to trwają one nadal, choć na razie nie ujawniają się na poziomie słowa drukowanego. Ale są. Są na wykładach, na seminariach na KUL-u, ATK i i[nnych]. Moje dawne i mniej dawne teksty są przedmiotem rozmaitych kontrowersji. KUL nie zalicza egzaminów z filozofii u mnie zdawanych, a w każdym razie wymaga uzupełnień. Nie to jest jednak najważniejsze. Pewnym osiągnięciem jest sam fakt pluralizmu filozoficznego. Z pewnością przyniesie on na dłuższą metę dobre owoce pod warunkiem, że fenomenologia pokaże więcej niż dotąd osiągnięć pozytywnych.

Piszę tylko o tym, co nowe. W dalszym ciągu prowadzi swe wykłady Ks. Marian. Dr Tarnowski kontynuuje filozofię nowożytną, dr Grygiel mówi o nowych kierunkach we współczesnej etyce. Ponieważ mówi w dogodniejszym niż dwaj poprzedni czasie, i on skupia wokół siebie grono uczniów, świeckich uczniów z innych uczelni.

Co z tego wynika? Wynika, że nie możemy zawieść nadziei tych kilkudziesięciu, a może nawet kilkuset uczniów, którzy chcą naszego słowa. Trafnie kiedyś mówił Ks. Heller: prądy filozoficzne powstają niepostrzeżenie, powoli, z trudem, zaczynają się od kilku uczniów, ale trwają w kulturze całe dziesiątki lat, wyciskając piętno na myśleniu, na sposobie bycia ludzi; ich twórcy przemijają, ale one wychowują nadal. Otóż jestem głęboko przekonany, że coś takiego u nas właśnie się zaczęło. Ale to wymaga naukowej niepodzielności. Mówi mi moje sumienie, żeśmy w tym kierunku winni skierować nasz wysiłek, że mamy robić nową naukę dla pokoleń.

Kto wie, czy nie będzie potrzeba pomyśleć o stworzeniu w Krakowie całego uniwersytetu?

Na koniec coś dowcipnego, żeby było wiadomo, kto pisze. Rzecz jasna, że czekamy na ordynariusza, a czekając, plotkujemy. Przy pomocy plotki jedni straszą drugich. Ja też – niestety – służę do straszenia. Aby uspokoić zalęknionych, wykładam im nową teorię nieomylności papieża. Bo było tak: kiedyś przed laty Ojciec Święty, jeszcze jako Kardynał, zabierał mnie do swego samochodu, tłumacząc, dlaczego właśnie mnie zabiera, a nie Księdza Prałata Dacę (było to w Częstochowie, po zjeździe nauczycieli): „Bo – powiada Ksiądz Kardynał – mamy w Polsce trzech Kardynałów, ale jednego Tischnera". A teoria nieomylności jest prosta: „w niektórych przypadkach dar nieomylności poprzedza decyzje Konklawe". No bo kto powie, że jest inaczej?

Przepraszam za zajęcie czasu. Pozostaję z uczuciami synowskiego oddania,

ks. Józef Tischner

# Prawie jak wolność

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z IZMIRU

**Napady na kościoły, sprawa pastora Brunsona, przejmowanie przez państwo kościelnego mienia. Chrześcijanom w Turcji żyje się coraz trudniej.**

Figurka jest niewielka. Maryja z rękoma wyciągniętymi w stronę wiernych stoi pośrodku sadzawki przed wyremontowanym kilka lat temu kościołem Jana Chrzciciela w górskiej wiosce Sirince nieopodal antycznego Efezu. U stóp matki Chrystusa napis zakazujący mycia rąk i wrzucania śmieci do wody. Tyle że monety to przecież nie śmieci. Chrześcijanie, muzułmanie i inni goście (półtora miliona rocznie) odwiedzający kościółek, który stanowi jeden z centralnych punktów miejscowości, wrzucają je do wody na szczęście. W sadzawce lądują więc nie tylko tureckie liry, ale i euro czy ćwierćdolarówki. Wystarczająco dużo, by tureckie władze zaczęły się zastanawiać, co się z nimi dzieje. Izmirski urząd ds. zabytków zwrócił się do lokalnego urzędu skarbowego z pytaniem, kto zabiera pieniądze z sadzawki, ile ich jest i czy odprowadzany jest od nich podatek. Duchowni nie przyznają się do zabierania monet, a miejscowi dość oględnie tłumaczą dziennikarzom, że pieniądze z sadzawki idą na prace w wiosce. Urzędnicy komentować nie chcą.

### Policja pod kościołem

Sprawa pieniędzy z sadzawki z Maryją dobrze obrazuje to, z czym borykają się ostatnio tureccy chrześcijanie różnych obrządków. Choć to za Erdoğana zmalała presja na świeckość państwa, a przedstawiciele mniejszości religijnych zaczęli zakładać derneki – stowarzyszenia dające im osobowość prawną – lub odzyskiwać kościelne dobra, okres „miodowego miesiąca" powoli się kończy. Nie kto inny, jak prezydent nazwał przecież papieża i katolickich biskupów „nowymi krzyżowcami" i obiecał obronić przed nimi świat islamu. O tym, jak trudno czasem być przedstawicielem mniejszości w kraju pełnym muzułmanów, najlepiej wiedzą sami wierni. I to oni przecierali oczy ze zdumienia, gdy kilka miesięcy temu 18 duchowych przywódców wydało wspólne oświadczenie, że są w Turcji wolni i mogą swobodnie praktykować swoją wiarę. „Pojawiające się informacje o tym, jakoby było inaczej, są nieprawdziwe" – napisali. Pod listem podpisali się m.in. prawosławny patriarcha Konstantynopola Bartłomiej, ormiański patriarcha Stambułu Aram Ateşyan, naczelny rabin Turcji Ishak Haleva, przedstawiciele Kościoła syryjskiego, duchowy lider Kościoła chaldejskiego i protestanci.

„Byliśmy wolni, ale o tym nie wiedzieliśmy!" – głosił ironiczny nagłówek wydawanej w Turcji ormiańskiej gazety „Agos" w odpowiedzi na tę deklarację. Jej naczelny Yetvart Danzikyan pytał, dlaczego w takim razie w trakcie mszy przed drzwiami kościołów stoi policja? „Mówią, że mamy swobodę praktyk religijnych, ale to nie do końca prawda" – powiedział dziennikarzom „Al-Monitor".

### Zakładnicy władzy

Policjanci rzeczywiście są obecni na terenie kościołów w dni, gdy odbywają się nabożeństwa. „Czujemy się dzięki temu bezpiecznie" – potwierdza jeden z katolickich księży z Izmiru, ale nie chce mówić o tym, czego „innowiercy" mieliby się obawiać. Nie chce też rozmawiać na tematy polityczne. I być może ma rację.

Przedstawiciele Ormian w Turcji wprost mówią, że tylko ludzie zniewoleni mogli podpisać taką deklarację. „Gdy przeczytałem to oświadczenie, po raz kolejny zrozumiałem, że wszyscy ci duchowi przywódcy są w istocie zakładnikami władz" – mówił dziennikarzom Garo Paylan, turecki polityk pochodzenia ormiańskiego, a Danzikyan wymienił szereg problemów, z jakimi boryka się jego wspólnota. Rząd ma – jego zdaniem – przeszkadzać w wyborze ormiańskiego patriarchy, a działalność ormiańskich fundacji i instytucji religijnych ma być sparaliżowana przez turecką biurokrację (Ankara zakwestionowała regulamin wyboru członków fundacji i stowarzyszeń religijnych i do dziś nie wydała nowego).

To nie przypadek – podkreślają obaj – że deklaracja została podpisana po spotkaniu duchownych z prezydenckim ministrem Ibrahimem Kalinem. Ich zdaniem została ona *de facto* wymuszona przez władze tureckie. Zwłaszcza że nawet na tym spotkaniu poruszano problemy mniejszości religijnych, takie jak m.in. zamknięcie prawosławnego seminarium czy przejmowanie nieruchomości kościelnych. „Jak w tej sytuacji można mówić o wolności?" – pyta Danzikyan.

### Protestanci jadą do domu

Sytuacja mniejszości religijnych w Turcji miała się pogorszyć – zdaniem niektórych – dopiero niedawno, po wybuchu puczu wojskowego, sterowanego rzekomo przez

MAHMUT SERDAR ALAKUS / ANADOLU AGENCY / AFP / EAST NEWS

*Sadzawka z figurą Maryi przed kościołem Jana Chrzciciela w wiosce Sirince nieopodal antycznego Efezu, lipiec 2018 r.*

rezydującego w USA Fethullaha Gülena. Soner Tufan, rzecznik Stowarzyszenia Kościołów Protestanckich w Turcji, powołuje się na raporty, które jego organizacja przygotowuje od dekady. Wynika z nich, że „praktyki represyjne" w stosunku do protestantów wzrosły czterokrotnie. Najbardziej wyrazistym tego przykładem była sprawa pastora Andrew Brunsona, przetrzymywanego w areszcie przez ponad dwa lata i skazanego w końcu na trzy lata więzienia (pastor, zwolniony z aresztu, uniknął kary wyjeżdżając do USA). Ale przecież represje – głównie z powodów politycznych – dotknęły nie tylko Brunsona, którego sprawa zelektryzowała cały świat i stała się powodem kryzysu w stosunkach Turcja–USA. Wielu protestantów straciło pracę, z dnia na dzień dowiadując się, że stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa tureckiego. Wielu zostało wydalonych z Turcji. Niektórzy w końcu spakowali manatki i sami wyjechali.

Tufan twierdzi co prawda, że ci, którzy zostali, jeszcze bardziej się zjednoczyli, kościoły zaś wypełniły się wiernymi szukającymi w „ciężkich czasach" duchowej pociechy. Tyle że sposób, w jaki media tureckie opisywały sprawę Brunsona oskarżonego o terroryzm i szpiegostwo, sprawił, że zwykli ludzie zaczęli się gorzej odnosić do protestantów. – Nie dziw się, przez dwa lata mówiło się w Turcji, że pastor był amerykańskim szpiegiem. Robili to rządzący, robiły to media. Ludzie w końcu uwierzyli i teraz myślą, że wszyscy współpracujemy z CIA – ironizuje Petek, protestantka, konwertytka z islamu. Tacy jak ona mają też inne problemy. O ile inne wyznanie akceptowane jest u „przyjezdnych", to już konwertyci mają ciężkie życie. Sam Tufan opowiadał wielokrotnie, że gdy pierwszy raz przyznał się rodzinie do zmiany wyznania, został dotkliwie pobity.

### Kontrola u Matki Boskiej

O świętym spokoju zapomnieć mogą też tureccy katolicy. W marcu ubiegłego roku działający samotnie napastnik strzelił z pistoletu w okna kościoła św. Marii w Trabzonie, tego samego, którego biskup Andrea Santoro został zamordowany w 2006 r. To nie pierwszy napad na świątynię. Po nieudanym puczu wojskowym rozwścieczony tłum ruszył na kościół z łomami, niszcząc bramę i wybijając okna. Biskup Paolo Bizetti, który zajął miejsce zabitego hierarchy, powiedział dziennikarzom, że Kościół katolicki w Trabzonie mierzy się z takimi problemami na co dzień. Normą ma być zastraszanie duchownych i wiernych, na które Ankara ma dawać ciche przyzwolenie. Tylko podczas jednego z licznych wieców, które odbywały się w kraju po przewrocie, chrześcijan nazwano „nasieniem Bizancjum" i „stadem niewiernych".

Aykan Erdemir, dziennikarz, przypomina, że dziennik „Star" twierdził, iż spiskowcy znajdują schronienie w kościołach, a „Takvim" opublikował zdjęcie sfabrykowanego watykańskiego paszportu, który miał być dowodem na udział katolickich hierarchów w spisku przeciw tureckiemu rządowi. Na razie – twierdzi Erdemir – wyższe wyroki od tych, którzy dopuszczają się przestępstw z nienawiści, dostają dziennikarze, którzy te przestępstwa ujawniają. Zabójca biskupa Santoro, otwarcie przyznający, że chciał być tak sławny jak Ali Ağca, wyszedł z więzienia po odbyciu 10 lat z 18 zasądzonych.

I dziennikarze, i wierni twierdzą, że gdyby Erdoğan chciał, zakończyłby medialną nagonkę na chrześcijan i „uspokoił" nadgorliwych muzułmanów, którzy chcą oczyścić kraj z niewiernych. Na razie nie zanosi się jednak na to, by tureckie władze miały podjąć konkretne działania, choć wypuszczenie pastora Brunsona to, zdaniem wielu, krok w dobrą stronę. „Za mały" – uważa Petek.

A skarbówka wysłała kontrolę do Sirince. Urzędnicy mają zbadać sprawę monet znikających spod stóp Matki Boskiej. ©

# Babcia boska

ARCHIWUM PRYWATNE RODZINY KACZKOWSKICH

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

**W wieku 95 lat zmarła Wincentyna Niedziela. W życiu wnuka, ks. Jana Kaczkowskiego, nie tylko jedna z ważniejszych postaci, ale i duchowy punkt odniesienia.**

Z jej wspomnień najlepiej zapamiętałem to tyczące się rzeczy najbardziej prozaicznej: ich wspólnych poranków spędzanych w Krakowie: „Pociąg przyjeżdżał o szóstej, Jan był u mnie o szóstej trzydzieści. Potem brał prysznic i o siódmej siadaliśmy do śniadania. Rozmawialiśmy dokładnie do ósmej pięćdziesiąt pięć, bo na dziewiątą Jan szedł na Franciszkańską, gdzie studiował. Mógł mi powiedzieć wszystko, czego nie chciał albo nie miał czasu przekazać rodzicom. O hospicjum, o chorych, personelu, hierarchii kościelnej. Ale rozmów o samej religijności sobie nie przypominam. Być może dlatego, że była dla nas czymś naturalnym”.

Ks. Jan Kaczkowski – zmarły w 2016 r. duchowny, szef hospicjum, bioetyk, laureat Medalu Świętego Jerzego – w wywiadach uczynił z niej postać rozpoznawalną właśnie ze względu na jej („jedynej w rodzinie katoliczki z prawdziwego zdarzenia” – jak mawiał z niewątpliwą przesadą) religijność. Niespełna cztery dekady temu właśnie Wincentyna Niedziela, czyli mama Heleny Kaczkowskiej, matki księdza, pokazała mu nieznany świat. Przyjeżdżał jako dziecko do Krakowa, gdzie przechodził leczenie okulistyczne. Wiele lat później opowiadał o wspólnych z babcią pochodach przez łąki do kościółka w Przesławicach, „mszach”, jakie odprawiał jako kilkulatek przed jej domem w podkrakowskich Jaksicach (tu spędzali lato), przytaczał zapamiętane z Krakowa obrazy: „Na przykład jak na wielkich ołtarzach wystawiano Najświętszy Sakrament. Albo jak siostry zakrystianki długim kijem gasiły świece (...), widok księdza z welonem na ramionach, dźwięczenie dzwonków, zapach i dym kadzidła roznoszący się po kościele, dłonie kapłana chwytającego monstrancję, a do tego śpiew »Tantum ergo Sacramentum«. Chłonąłem to zmysłami, przeżywałem jako coś ponadnaturalnego – prawdziwe misterium. Dopiero odkrywałem rzeczywistość liturgii. Babcia cierpliwie tłumaczyła mi kolejne jej elementy”.

Ci, którzy mieli okazję poznać Wincentynę Niedzielę, zapamiętają ją po prostu jako ciepłą, serdeczną osobę. Uważną na rozmówcę, otwartą, unikającą mówienia o kimkolwiek źle. Gdyby istniał jakiś wzorzec babci z naszego kręgu kulturowego, mogłaby spełniać taką rolę. Babci słuchającej, rozumiejącej, ale nie dręczącej pytaniami, a już broń Boże nie pouczającej. Nawet wtedy, gdy jej wnuk, cierpiący od jakiegoś czasu na nowotwór mózgu, wracał pod jej dach o drugiej w nocy po imprezie w Krakowie.

Podczas spotkań z nią na potrzeby biografii ks. Kaczkowskiego powracał do mnie wyrzut sumienia: że mija pierwsza, druga godzina rozmowy, i że wkrótce ją – będącą przecież w żałobie – najzwyczajniej zadręczę pytaniami. Spoglądała wtedy ze zdziwieniem znad filiżanki herbaty, mówiąc: „Przecież mówienie o Janie mi pomaga”. Była dumna: że jej wnuk poszedł do seminarium, że został księdzem, że – wbrew obawom przyjaciół, a także kościelnych przełożonych – poradził sobie z trudną młodzieżą w szkole, a potem z prowadzeniem hospicjum. Później przeżywała jego chorobę i to, jak łączył leczenie z tytaniczną aktywnością. „Raz Jan zadzwonił z hospicjum – wspominała. – Poprosił, bym porozmawiała z pacjentką, panią Krystyną, która okazała się być wykształconą, pięknie mówiącą po polsku kobietą. Miałam się jeszcze z nią połączyć po dwóch dniach. Dzwonię raz, drugi, nie odbiera. Zadzwoniłam do Jana, który powiedział, że ona umiera. Ale uderzyło mnie jeszcze coś innego: jego zmęczony, znękany głos w słuchawce. Zdałam sobie wtedy sprawę z tego, ile go ta praca kosztuje”. Ks. Kaczkowski mówił o niej: katoliczka spod znaku „Tygodnika Powszechnego”. Rzeczywiście: od lektury „TP” była – jak sama mówiła – uzależniona. Kiedy przeczytała na jesieni 2012 r. wywiad z wnukiem, znowu była dumna. Choć i lekko skonsternowana. Nie tym, że opowiedział o swojej chorobie, że obsobaczył jednego czy drugiego biskupa (sama bywała bezlitośnie krytyczna), ale że zna „słowo na k”.

„Babciu, żebyśmy tak razem do wiosny...” – powiedział, wychodząc z jej mieszkania już w końcowej fazie choroby. Na jej pytanie, skąd ta uwaga, powiedział: „Przecież każdy musi umrzeć”. Wincentyna Niedziela przeżyła wnuka o niemal trzy lata. W ostatniej fazie życia zdążyła zrobić coś niewiarygodnego, zważywszy jej wiek (95 lat) oraz stan zdrowia. Przy pomocy laptopa spisała – z datami dziennymi, obrazami – życie wnuka-księdza na tle losów rodziny. Niedługo przed śmiercią poprosiła, by jeden z egzemplarzy tych wspomnień przekazać ks. Adamowi Bonieckiemu, na którego msze po drugiej stronie ulicy (w kościele św. Floriana) chodziła przez dekady.

Zmarła 5 stycznia w Krakowie, tu też została pochowana. ©℗

*Cytowana wypowiedź ks. Kaczkowskiego pochodzi z książki „Życie na pełnej petardzie”, rozmowy, jaką z duchownym przeprowadził Piotr Żyłka; wspomnienia Wincentyny Niedzieli – z biografii mojego autorstwa pt. „Jan Kaczkowski. Życie pod prąd” (obie książki wydał WAM).*

OGŁOSZENIE

**Sąd Rejonowy w Słubicach** w sprawie pod sygn. akt I Ns 188/17, o stwierdzenie nabycia spadku po Antonim Wojciechowskim, zm. 2 czerwca 2014 r. w Sulęcinie, którego ostatnie stałe miejsce pobytu znajdowało sie w Rzepinie, po którym majątek nie został ustalony – wzywa spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SZYMON

# Hołownia: *Chciwość i rzeź*

Nazwać „idiotyczną" decyzję ministerstw środowiska i rolnictwa oraz władz weterynaryjnych, nakazującą eksterminację dzików w Polsce (wiceminister środowiska pisze o „maksymalnym obniżeniu liczebności populacji"), to wykazać się spektakularną powściągliwością i nieuzasadnionym w tym wypadku miłosierdziem.

Dlaczego decyzja ta jest idiotyczna (powściągliwość to cnota, więc ćwiczmy się w niej)? Wykazało to dowodnie w swoim skierowanym do premiera liście ponad tysiąc naukowców, biologów, przyrodników i weterynarzy, z których dobrze ponad setka to profesorowie. Sprawa jest prosta: dziki od paru lat wyrzyna się w Polsce na potęgę. Postępu choroby ASF w żaden sposób to nie zatrzyma. Mało tego – może go jeszcze rozkręcić, bo polowania to większy ruch zwierząt, więcej krwi, więcej wirusa na większym obszarze. Walenie ołowiem do dzików to nonsens, bo dzik nie wpada na kawę do swoich rzeźnych ziomali. ASF do chlewni wnosi człowiek. Dlatego mądre głowy spisały coś, co nazywa się zasadami bioasekuracji, jasno wskazującymi człowiekowi (stworzeniu jednak bardziej inteligentnemu od świni), co robić, by ustanowić skuteczną barierę między chlewem a światem zewnętrznym, jak państwo powinno poszukiwać w lesie padłych na ASF dzików etc.

Tyle że nasz rolnik swoje wie, świnkę zawsze chował tak i żadne przepisy nie będą mu mówić. Cytowany w liście raport NIK pokazał, że aż 74 proc. polskich hodowli bioasekuracji w zadanym trybie nie stosowało. Dlaczego? Stoczyłem na Facebooku debatę z hodowcą wielotysięcznego stada świń, który tłumaczył mi, że przecież jak on ma ogrodzić miejsce, z którego bierze paszę, skoro zawsze było nieogrodzone. I co ja mam zrobić z takim argumentem?

Pisałem mu, że dla mnie sprawa jest prosta: za moje pieniądze (bo premie za strzelone dziki wypłaca myśliwym państwo) urządzi się dewastację mojej przyrody (biolodzy wskazują na ważną rolę dzika w ekosystemie), żeby ratować jego – hodowcy – prywatne zyski, jego prywatny biznes. XXI wiek to naprawdę najwyższy czas, by powiedzieć *adieu* XVIII-wiecznemu mitowi głoszącemu, że jedynie „polski rolnik" pracuje ciężko, w miastach zaś żyje magnateria, co to z nudów puszcza wiatry w adamaszek oraz wsuwa kawior i pączki. O kogo z nas, harujących od świtu do nocy na swoje kredyty i cywilizacyjne choroby, o czyj prywatny portfel z takim zacięciem walczyłby nasz bohaterski rząd?

Narracja o ASF prowadzona jest przez świniarzy, rząd i myśliwych w czytelnym nawet dla dziecka kluczu emocjonalnej manipulacji: oto nadciąga mroczna zaraza, po lasach snuje się śmierć, ratujmy się, bo zagrożenie! Powtórzmy: ASF nie zagraża człowiekowi, lecz wyłącznie jego pieniądzom. A cała ta historia (histeria) znakomicie pokazuje, do czego prowadzi antropocentryczna herezja, którą opisywałem w książce „Boskie zwierzęta", a której wyznawcami są dziś tak liczni moi katoliccy współbracia: oto trzeba wybić kilkaset tysięcy zwierząt (zdrowych, chorych, wszystkich), żeby ktoś mógł spokojnie wybić miliony innych zwierząt i na tym zarobić.

Nie idzie tu przecież o to, by hodowlane świnki uratować od cierpień, ale o to, by móc zadać im śmierć parę miesięcy później. Masakra dzików to jeszcze jedna pozycja dopisana do rachunku, który wystawia światu każdy zjedzony przez nas schabowy.

Wspomniany hodowca pokrzykiwał na mnie, że on nie jest biznesmenem, on jest nieledwie misjonarzem, bo on mnie przecież karmi. Za darmo mnie karmi? Po drugie: wcale nie karmi, bo – dowiedziawszy się o tym, jak działa chory przemysł zawalający sklepy coraz większą ilością zupełnie mi zbędnego i coraz gorszej jakości białka, zatruwający planetę i generujący olbrzymie koszty etyczne – uznałem, że jedzenie mięsa w moim chrześcijaństwie, w moim rozumieniu dogmatu o stworzeniu, zwyczajnie się nie mieści.

Czy mam w sobie współczucie dla tych gospodarzy, którzy ze łzami w oczach na polecenie weterynarzy musieli wybijać we wschodniej Polsce swoje małe stadka? Oczywiście, że mam. Padli ofiarą chorego systemu, w którym to, co kiedyś było produkcją żywności, stało się potężną gałęzią przemysłu, dysponującym pieniędzmi lobby, przed którym – jak dziś, gdy ASF stoi u wrót przemysłowych chlewni w Wielkopolsce – trzęsie portkami rząd dużego europejskiego kraju (a nawet Komisja Europejska). Władza pójdzie za każdym ich żądaniem, byle tylko nie zablokowali jej znowu A2 albo – jak było z hodowcami zwierząt futerkowych – nie założyli „informacyjnego" portalu do buntowania elektoratu.

Nie tylko zresztą władza trzęsie odzieżą. Przeciwko prowadzonemu na ślepo odstrzałowi dzików próbowali nieśmiało protestować nawet niektórzy myśliwi. Ale – co wyjaśnił mi Robert Jurszo w Oko.press – podkulili szybko ogon pod siebie. Na plecach czują bowiem oddech wpływowego szefa rolniczego związku, pragnącego rozparcelować im związek łowiecki i sprywatyzować zwierzynę, tak by należała do właściciela ziemi, i żeby każdy mógł sobie do niej strzelać do woli.

Za co płacą więc dziś życiem dziki? Za zdrowie Ziemi? Wolne żarty. Za ludzką chciwość. Za tchórzostwo i koniunkturalizm *Homo sapiens*. Za rozdęte ego „korony stworzenia". Za naszą wygodę, bo przecież jak moglibyśmy odmówić sobie „kotlecika" lub „szyneczki".

Wołanie o życie dzików to dziś wołanie o życie człowieka, który w imię absurdalnego prawa do trzech mięsnych posiłków dziennie nie tylko wybije pół lasu, i sam w końcu umrze na raka jelita grubego (50 g przetworzonego mięsa dziennie zwiększa ryzyko wystąpienia tej choroby o 18 proc.), ale sponsorując zanieczyszczenie środowiska (w samym powiecie żuromińskim w Polsce żyje 20 mln kur, proszę sobie wyobrazić ilość ich odchodów), rabunkową gospodarkę ziemią i wodą – już dziś funduje śmierć swoim dzieciom i dzieciom swoich dzieci.

Ten świat został stworzony jako system naczyń połączonych. Człowiek, dzik, świnia, kurczak żyją na tej samej Ziemi. A gdy samolot spada, klasa biznes i ekonomiczna spadają i kończą dokładnie tak samo i w tym samym miejscu. ©

# PODZIELONE STANY AMERYKI

20 stycznia Donald Trump zamyka drugi rok swojego urzędowania na stanowisku prezydenta USA. Jak wygląda bilans jego rządów?

JAN SMOLEŃSKI Z PENSYLWANII (USA)

Półmetek Trumpa źle się kończy dla licznej i konkretnej grupy ludzi – 800 tys. pracowników administracji federalnej. Z powodu nieuchwalenia ustawy budżetowej na czas (powinno to się stać do 21 grudnia 2018 r.) w pierwszych tygodniach stycznia część administracji federalnej nie miała środków finansowych na działanie – jej pracownicy nie otrzymali więc na początku 2019 r. pensji.

Nieopłacane były również muzea czy parki narodowe – w efekcie nie można było odwiedzić również takich historycznych miejsc jak Independence Hall. To pierwsza siedziba Kongresu – parlamentu USA – który początkowo obradował właśnie tu, w Filadelfii, w stanie Pensylwania. To tutaj podpisano Deklarację Niepodległości, i tutaj również napisano amerykańską konstytucję – uchwaloną w 1787 r. jako pierwszy taki dokument na świecie.

Zazwyczaj wypełnione gośćmi sale pod koniec grudnia i w pierwszych dniach stycznia świeciły pustkami. Pracownicy

JONATHAN ERNST / REUTERS / FORUM

*Taras National Gallery of Art w Waszyngtonie na dzień przed jej zamknięciem z powodu nieuchwalenia budżetu – prezydent Trump nie porozumiał się Kongresem. 2 stycznia 2019 r.*

siedzieli w domu na przymusowych bezpłatnych urlopach – tak jak dokładnie 380 tys. innych pracowników federalnych. Bo pozostali z tych 800 tys. musieli pracować – za darmo.

### Zamknięty rząd

Mniej szczęścia od muzealników mieli więc np. zatrudnieni w Transportation Security Administration – instytucji odpowiedzialnej za bezpieczeństwo lotnisk i lotów krajowych oraz zagranicznych. Musieli pozostać na swoich stanowiskach, choć za wykonywaną pracę nie otrzymywali ani centa. W podobnej sytuacji było 420 tys. zatrudnionych w administracji federalnej, w tym straż graniczna i żołnierze wysłani przez Trumpa na granicę z Meksykiem.

Część zatrudnionych w TSA brała zwolnienia chorobowe, by uniknąć pracy za darmo. Inni dawali upust swojej frustracji w kontaktach z pasażerami. A mieli powody: wiele osób zdecydowało się pracować w święta i Nowy Rok dlatego, że wiązały się z tym wyższe zarobki. Tymczasem w wyniku tzw. zamknięcia rządu musieli pracować nie tylko w święta, ale i za darmo.

Wielu pracowników federalnych żyje od wypłaty do wypłaty, która w USA wpływa na konto co dwa tygodnie. Brak pierwszej styczniowej pensji, która powinna była być wypłacona na początku miesiąca, oznaczał nie lada kłopoty. Niektórzy zmuszeni byli szukać dodatkowych źródeł zarobku, inni zaciągali kolejne kredyty, w skrajnych przypadkach rezygnowali np. z kupna leków, by wystarczyło im na codzienne koszty życia. Pracownicy straży przybrzeżnej – jedynej gałęzi amerykańskiej armii, która nie otrzymała wypłat – usłyszeli podobno, że mogą zorganizować wyprzedaże garażowe, jeśli brakuje im pieniędzy.

W jeszcze gorszej sytuacji byli wykonawcy na federalnych kontraktach. Pracownicy mogli liczyć na wypłatę utraconych pensji w późniejszym terminie, ale wykonawcy nie.

Zamknięte były też biura departamentu rolnictwa odpowiedzialnego za pożyczki, co odbijało się na sytuacji farmerów, którzy z powodu wojny celnej z Chinami desperacko potrzebują teraz rządowego wsparcia finansowego. Od grudnia 2018 r. rosły też stosy wniosków o pożyczki w departamencie mieszkalnictwa, bo nie było komu się nimi zająć. Traciły na tym również biznesy, które żyją z turystyki.

Lista tych, którzy oberwali rykoszetem, była więc długa.

### Toksyczna obsesja

Skąd ten „zamknięty rząd"? Ustawy budżetowej nie udało się przegłosować za sprawą obsesji Trumpa na punkcie granicy z Meksykiem – przemytu narkotyków, zagrożenia gangami i budowy muru za ponad 5 mld dolarów. Było to nie lada osiągnięcie, bo aż do końca grudnia 2018 r. prezydencka Partia Republikańska kontrolowała obie izby Kongresu.

Ta obsesja już raz skończyła się dla administracji Trumpa – konkretnie: dla departamentu bezpieczeństwa wewnętrznego – wizerunkową katastrofą, a dla poszkodowanych cierpieniem.

Latem 2018 r. wyszło na jaw, że w ramach realizowania polityki zera tolerancji dla nielegalnego przekraczania granicy straż graniczna odbierała dzieci nieudokumentowanym imigrantom. Media obiegły zdjęcia małoletnich przetrzymywanych w klatkach przypominających wybiegi. Najmłodsze z odebranych dzieci miało niecały rok. Istnieje podejrzenie, że wbrew nakazowi sądowemu wielu z tych dzieci nie udało się zwrócić rodzicom.

Gdy po burzy medialnej Trump zdecydował się udać na granicę i odwiedzić ośrodki przetrzymywania, w telewizji, gazetach i na stronach internetowych pojawiło się zdjęcie Melanii Trump: pierwsza dama postanowiła założyć w takim momencie kurtkę z napisem „*I really don't care, Do u?*" (Mnie to naprawdę nie obchodzi. A was?).

W grudniu do opinii publicznej przedarła się informacja, że w ośrodkach niesławnej policji celnej i imigracyjnej – od jej angielskiego akronimu nazywanej ICE – zmarło dwoje dzieci. Szefowa departamentu bezpieczeństwa wewnętrznego Kirstjen Nielsen oświadczyła, że standardy ośrodków przetrzymywania aresztowanych są bardzo wysokie. Przeczą temu jednak wewnętrzne raporty samej ICE, które jasno stwierdzają, że jakość, zwłaszcza opieki zdrowotnej, pozostawia dużo do życzenia.

### Orędzie na temat muru

We wtorek, 8 stycznia, prezydent wygłosił telewizyjne orędzie do narodu, nawołując do poparcia dla jego idei budowy granicznego muru. Przemówienie było do tego stopnia pełne uproszczeń, przeinaczeń, wyolbrzymień i zwykłych kłamstw, że nawet telewizja Fox News – uchodząca za tubę propagandową Partii Republikańskiej – musiała na żywo prostować słowa Trumpa.

Prezydent stwierdził np., że wejście nielegalnych imigrantów na amerykański rynek pracy odbiera zajęcie Afroamerykanom i Latynosom i obniża ich płace – choć badania ekonomistów pokazują, że w krótkim terminie ten związek jest bardziej skomplikowany, a na dłuższą metę imigracja jest pożyteczna dla amerykańskiej gospodarki i amerykańskich pracowników.

Trump powiedział też, że przemycane narkotyki trafiają do USA przez południową granicę. Przywołał również tzw. *heroin epidemic*, która wymknęła się spod jakiejkolwiek kontroli i dziesiątkuje ↦

biedniejszych Amerykanów – średnio 300 osób dziennie umierało w 2017 r. z powodu przedawkowania heroiny lub mieszanek narkotyków zawierających heroinę. Jednak wbrew temu, co sugeruje Trump, ponad 90 proc. heroiny trafia do Stanów jako przemyt przez przejścia graniczne, a nie przez „zieloną granicę".

Dodatkowo statystyki, na które powoływał się Trump, były dęte. Np. prezydent uznał, że każdego miesiąca tysiące osób są zatrzymywane przez straż graniczną, co jest wielokrotnym wyolbrzymieniem. Stwierdzenie, że Meksyk częściowo zapłaci za mur dzięki renegocjowanemu niedawno traktatowi NAFTA (który, żeby mógł wejść w życie, musi być jeszcze ratyfikowany przez Kongres), jest zwyczajnie nieprawdziwe.

### Kolos na glinianych nogach?

Rok 2018 nie skończył się dobrze także dla giełdy w USA. Z powodu gwałtownych grudniowych spadków indeksów – spowodowanych m.in. spadkiem notowań spółek z sektora nowych technologii – rok 2018 był najgorszy na giełdzie w ostatniej dekadzie, czyli od krachu gospodarczego z 2008 r., kiedy to zaczął się globalny kryzys finansowy.

Rynki uspokoiły się na początku tego roku dzięki interwencji amerykańskiego banku centralnego i ogłoszeniu rozmów mających załagodzić wojnę celną między USA i Chinami. Ale zachwiania z grudnia świadczą, że inwestorzy coraz bardziej obawiają się recesji, zapowiadanej już od pewnego czasu.

Niektórzy analitycy uważają, że recesję udało się odsunąć w czasie dzięki reformie podatkowej Trumpa z 2017 r. Jest to niekwestionowany sukces prezydenta. Ale wbrew zapowiedziom niewiele osób odczuwa jej pozytywne skutki – poza najbogatszymi, którym kolejne miliony na koncie nie robią różnicy poza łechtaniem ego w wyścigu o miejsca w rankingu najbogatszych Amerykanów, jaki prowadzi magazyn „Forbes".

W zamyśle Republikanów obniżka podatków miała ulżyć klasie średniej i niższej, pośrednio lub bezpośrednio. W pierwszym przypadku mieli płacić niższe podatki, w drugim zaoszczędzone przez firmy pieniądze miały skapywać w postaci wyższych pensji. Deficyt spowodowany mniejszymi wpływami podatkowymi miał się sfinansować sam, stymulując ożywienie gospodarcze.

**Funkcjonowanie amerykańskiego ustroju** i państwa wymaga współpracy i kompromisu między siłami politycznymi. Nasilająca się polaryzacja sprawia, że jest to coraz większy problem.

Tyle teorii. W praktyce tak się nie stało. 433 firmy z listy „Fortune 500" otwarcie stwierdziły, że nie zamierzają dzielić się dodatkowymi zyskami z pracownikami. W przypadku tych, które się na to zdecydowały, gesty dobrej woli miały formę jednorazowych bonusów, a nie stałych podwyżek. Teoria samofinansującego się deficytu też nie wytrzymała konfrontacji z rzeczywistością. W październiku 2018 r. szacowany deficyt za tamten rok był o 242 mld dolarów wyższy, niż zakładano, i utrzymywał się na najwyższym poziomie od czasów II wojny światowej.

Zamożność społeczeństwa USA coraz bardziej staje się statystyczną iluzją, opartą na magii jednej liczby: PKB na mieszkańca. Za nią czai się rzeczywistość: kumulowanie bogactwa przez przysłowiowy jeden procent społeczeństwa i z drugiej strony stagnacja realnych płac dla pozostałych – w istotnej mierze tzw. pracujących biednych – przy rosnących kosztach opieki zdrowotnej i edukacji. Średnia płaca ludzi z pokolenia milenialsów – urodzonych w latach 80. i 90. XX w. – to 36 tys. dolarów rocznie i zero oszczędności.

Ta iluzja przykrywa również niepewną przyszłość gospodarki USA. Amerykańska giełda, motor gospodarki, rośnie głównie dzięki wzrostom notowań spółek z sektora nowych technologii. Wiele z nich, jak Twitter czy Uber, nie przynosi jednak zysku, a ich notowania opierają się na przekonaniu inwestorów, że w przyszłości będą je przynosić. Jeśli gracze giełdowi zwątpią, że to kiedyś nastąpi, bańka może pęknąć.

### Trump zdradza sojuszników

Niepewnie jest również w części administracji Trumpa. Wraz z końcem 2018 r. ze stanowiska odszedł generał John Kelly, szef personelu Białego Domu. Zastąpił go chwilowo Mick Mulvaney. Gdy Kelly obejmował stanowisko, wiązano z nim nadzieje na uspokojenie prezydentury Trumpa. Nic z tego.

Pierwszego dnia nowego roku ze stanowiska odszedł sekretarz obrony generał James Mattis. Powodem była różnica zdań dotycząca dalszej obecności wojsk USA w Syrii. Syryjska wojna od dawna nie jest już konfliktem domowym, lecz wojną zastępczą. Kluczową rolę odgrywa w niej Rosja, pomniejszą (a teraz jeszcze mniejszą) USA; Syria jest też areną zmagania o regionalną hegemonię między Iranem, Arabią Saudyjską i Turcją. Sytuację komplikuje obecność tzw. Państwa Islamskiego, które – choć już nie tak silne jak kiedyś – wciąż jest aktywne.

Wycofanie wojsk USA (w ślad za nimi zapewne żołnierzy brytyjskich i francuskich) oznacza oddanie większości, jeśli nie całej Syrii w rosyjską strefę wpływów i pozostawienie – niektórzy mówią: zdradę – sojuszników USA w Syrii na łasce pozostałych stron konfliktu.

Powody do obaw mają szczególnie Kurdowie, przez Turcję i Iran traktowani jako wrogowie. Wycofanie się zachodnich żołnierzy oznacza zwinięcie parasola ochronnego nad kurdyjską autonomią w północnej Syrii. Kurdowie, bez których udziału (i ofiar) zachodniej koalicji zapewne nie udałoby się zepchnąć do głębokiej defensywy ekstremistów z Państwa Islamskiego, teraz sami znajdą się między dwoma kołami młyńskimi: tureckim prezydentem Erdoğanem (który najchętniej najechałby zbrojnie Rożawę) i syryjskim prezydentem Asadem (który równie chętnie przejąłby na powrót kontrolę nad tymi terenami).

Decyzja Trumpa o wycofaniu wojsk z Syrii zaskoczyła nie tylko sojuszników USA – w tym Izrael – ale też członków administracji, zwłaszcza generała Mattisa. Generał był przeciwny temu ruchowi, uważając, że godzi on w interesy USA. W ujawnionym publicznie liście do Trumpa napisał, że ten „ma prawo do posiadania takiego sekretarza obrony, którego przekonania są bliższe jego poglądom" – co komentatorzy zgodnie odebrali jako otwartą krytykę prezydenckich pomysłów. Podobnie musiał odebrać to sam Trump, bo początkowo Mattis miał opuścić departament obrony w lutym.

### Nowy koncert mocarstw

Decyzję o wycofaniu żołnierzy z Syrii Trump miał podjąć po telefonicznej roz-

mowie z Erdoğanem. To dobry przykład tego, jak Trump woli bezpośrednie kontakty z silnymi przywódcami – tzn. z przywódcami o autorytarnych skłonnościach – od instytucjonalnie osadzonych sojuszy, takich jak NATO.

Trump przychylnie spogląda na prezydenturę flirtującego ze skrajnie prawicowymi pomysłami Jaira Bolsonaro w Brazylii. Z uznaniem wypowiadał się o filipińskiej wojnie z narkotykami prowadzonej przez Rodriga Duterte, w której zginęły tysiące ludzi. Jego „męska przyjaźń" z premierem Izraela Beniaminem Netanjahu jest powszechnie znana.

Trump stawia też na bliskie relacje z władcami Arabii Saudyjskiej – i do dziś odmawia uznania (wbrew ustaleniom CIA), że saudyjski następca tronu Mohammed ben Salman ponosi odpowiedzialność za brutalny mord, którego ofiarą padł publicysta „Washington Post" Jamal Khashoggi.

Dalej: wbrew ustaleniom FBI Trump nie uznaje odpowiedzialności Rosji za próby wpłynięcia na wynik wyborów prezydenckich w 2016 r. Niedawno, w szokującej wypowiedzi podczas jednego z zebrań gabinetu, Trump powtórzył niemal słowo w słowo putinowską propagandę na temat sowieckiej inwazji na Afganistan 40 lat temu. „Powodem, dla którego Rosja była w Afganistanie, byli terroryści przyjeżdżający do Rosji" – powiedział (dodajmy dla porządku, że jest to nieprawda).

Trudno podejrzewać dziś Trumpa o spójną wizję polityki zagranicznej – wielokrotnie udowadniał, że decyzje podejmuje pod wpływem impulsu lub na podstawie uproszczonych, rzekomo „biznesowych" kalkulacji. Jak zauważa jednak Quentin Bruneau, profesor nauk politycznych i stosunków międzynarodowych na nowojorskiej New School for Social Research, taka praktyka polityczna skutecznie podważa liberalny ład międzynarodowy i ma zastąpić go czymś na kształt XXI-wiecznego „globalnego koncertu mocarstw": sojuszu konserwatywnych autokratów o ambicjach mocarstwowych, których głównym celem będzie utrzymanie się przy władzy.

W takim świecie miejsce byłoby tylko dla silnych – i dla ich stref wpływów.

### Stany jeszcze bardziej podzielone

W trzeci rok prezydentury Trumpa Stany Zjednoczone wchodzą jeszcze bardziej podzielone – nie tylko politycznie, także kulturowo.

**Trump podważa liberalny ład międzynarodowy** i zastępuje go czymś na kształt XXI-wiecznego „koncertu mocarstw". W takim świecie miejsce będzie tylko dla silnych i ich stref wpływów.

Choć polityka odgrywa tu oczywiście rolę kluczową. 3 stycznia zaprzysiężeni zostali nowo wybrani członkowie i członkinie Kongresu. Do Izby Reprezentantów trafiło wielu nowych polityków, w tym popularna wśród amerykańskiej lewicy Alexandria Ocasio-Cortez z Bronksu w Nowym Jorku. Niedawno zaproponowała wprowadzenie 75-procentowej stawki podatkowej dla osób zarabiających ponad 10 mln dolarów rocznie. AOC, bo tak ją się powszechnie określa, wyrasta na jedną z najostrzejszych krytyczek Trumpa.

W Izbie Reprezentantów zasiada również Rashida Tlaib, muzułmanka, o której zrobiło się niedawno głośno, bo w odniesieniu do Trumpa powiedziała, że idzie do Kongresu po to, żeby „usunąć skur....a z urzędu". Gdy Republikanie z oburzeniem stwierdzili, że nie przystoi mówić tak o urzędującym prezydencie, takim epitetem zaczęły określać Trumpa mniej lub bardziej znane osoby – od anonimowych twórców memów po gwiazdy show-biznesu, jak Samuel L. Jackson. Do tego grona dołączyła nawet była premier Kanady Kim Campbell.

Tlaib i AOC dostały się do Kongresu z „niebieskich" okręgów wyborczych, czyli takich, w których zwykle wygrywa kandydat Partii Demokratycznej. Ale już Sharice Davids, otwarcie biseksualna rdzenna Amerykanka, wygrała z republikańskim kongresmenem Kevinem Yoderem w Kansas – w miejskim okręgu, który w ciągu ostatniego stulecia Demokraci reprezentowali w Waszyngtonie raptem przez sześć lat.

Członkowie Partii Demokratycznej w Izbie Reprezentantów są młodsi i bardziej zróżnicowani niż wcześniej, ale łączy ich jedno: niechęć do prezydenta i jego polityki. Ale mimo entuzjazmu, jaki wśród wielu szeregowych Demokratów wywołuje wizja impeachmentu Trumpa, usunięcie go z urzędu jest niemożliwe – nie pozwolą na to Republikanie, którzy zachowują większość w Senacie, izbie wyższej Kongresu. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, aby Demokraci byli skorzy do ustępstw – zwłaszcza że większość opinii publicznej za „zamknięcie rządu" wydaje się winić prezydenta i jego upór.

Tymczasem o ile Izba Reprezentantów przeszła pod kontrolę Demokratów, o tyle Republikanie zwiększyli nawet kontrolę nad Senatem – dzięki przychylnemu im systemowi wyborczemu. Prawicowych wyborców zmobilizowało też nominowanie przez Trumpa do Sądu Najwyższego konserwatywnego sędziego Bretta Kavanaugh (oskarżonego o napaść seksualną). Dla nich to, co inni nazywają uporem, jest wiernością obietnicom wyborczym i wartościom konserwatywnym. Według twardego elektoratu Trumpa winni są Demokraci – to oni mają torpedować słuszne inicjatywy prezydenta.

### Kryzys (także) ustrojowy

Nasilająca się polaryzacja jest dla polityki w USA coraz większym problemem, gdyż funkcjonowanie amerykańskiego ustroju wymaga współpracy i kompromisu. Jak choćby teraz, przy uchwaleniu ustawy budżetowej.

„Zamknięcie rządu" to również symptom tlącego się i narastającego kryzysu ustrojowego, w którym wprawdzie wszystko działa zgodnie z literą konstytucji, lecz wbrew jej duchowi, bo uczestnicy gry nie trzymają się niepisanych zasad. Jest to fakt, który z trudnością przedziera się do świadomości publicznej.

Dużo większą odpowiedzialność za ten kryzys ponoszą Republikanie, którzy swoją dzielącą retoryką i obstrukcją jeszcze za czasów prezydentury Baracka Obamy pogłębiali podział i w efekcie pozwolili Trumpowi oraz jego zwolennikom na przejęcie Partii Republikańskiej. Z kolei część Demokratów zdaje się wierzyć, że samo tylko odsunięcie obecnego prezydenta od władzy rozwiąże ten problem.

Możemy się więc spodziewać, że przez kolejne dwa lata prezydentury Donalda Trumpa będziemy świadkami pogłębiającej się przepaści między dwiema Amerykami.

© JAN SMOLEŃSKI

DANIEL PIER / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

*Mural w Paryżu wzorowany na XIX-wiecznym obrazie Eugéne'a Delacroix „Wolność prowadząca lud na barykady". 10 stycznia 2019 r.*

# Cyfrowa linia Maginota

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

**Nie ma dowodów, że zagraniczne siły inicjowały protesty we Francji. Ale gdy „żółte kamizelki" zaczęły już ją destabilizować, do akcji weszli gracze, których nie obchodzi cena francuskiej benzyny. Podobny schemat widać w wielu krajach.**

Na zdjęciu dwóch uśmiechniętych mężczyzn w żółtych kamizelkach rozpościera na Polach Elizejskich trójkolorową flagę. Tyle tylko, że nie jest to francuska *tricolore*, lecz czarno-czerwono-niebieska flaga tzw. Donieckiej Republiki Ludowej – parapaństwa kontrolowanego przez Rosję.

Mężczyźni to Xavier Moreau i Fabrice Sorlin. Z internetu łatwo się dowiedzieć, że obaj mają powiązania z Kremlem.

Szef Służby Bezpieczeństwa Ukrainy Wasyl Hrycak uważa, że obecność tej dwójki na demonstracjach „żółtych kamizelek" to jeden z wielu dowodów, iż we francuskie protesty zaangażowane są rosyjskie służby.

Hrycak jest przekonany, że Rosjanie przygotowali grunt pod podobne gwałtowne protesty także w Belgii, Niemczech, Hiszpanii, Bułgarii i innych państwach Unii Europejskiej.

Bez względu, czy Rosja rzeczywiście przygotowuje paneuropejski wybuch gniewu, pewne jest, że francuskie protesty stały się kolejną areną światowej wojny informacyjnej. Były podgrzewane i rozgrywane przez ludzi, dla których bezcennym trofeum jest destabilizowanie jednego z głównych krajów Unii.

Ludzie ci wciąż nie powiedzieli ostatniego słowa. Wojna informacyjna, w której zdobywanym terytorium są ludzkie umysły, dopiero się rozkręca. I zmieni świat.

### „Kamizelki" i algorytm

Wszystko zaczęło się od decyzji francuskiego rządu o podniesieniu podatków na paliwo: o 7,6 centa za litr diesla i 3,9 centa za benzynę. Dla kogoś, kto raz w tygodniu tankuje diesla do pełna, to podwyżka rzędu 15 euro miesięcznie.

Jacline Mouraud uznała, że to za dużo. To właśnie jej, 51-letniej akordeonistce, hipnoterapeutce i miłośniczce teorii spiskowych (zwłaszcza o smugach kondensacyjnych na niebie) przypisuje się inicjację protestów „żółtych kamizelek". Mouraud nagrała filmik, w którym zarzuciła elitom ciemiężenie podatników. „Co robicie z tymi pieniędzmi, poza kupowaniem nowej zastawy do Pałacu Elizejskiego czy budowaniem sobie basenów?" – pytała.

Nagranie, które trafiło do sieci 18 października 2018 r., ma ponad 6 mln odsłon i zostało udostępnione 242 tys. razy. Tydzień później w kolejnym nagraniu Mouraud wezwała do ogólnokrajowych protestów. Wkrótce stawiło się na nich kilkaset tysięcy ludzi.

To miał być impuls do największych od 30 lat demonstracji nad Sekwaną. Przynajmniej taki pogląd jest popularny...

Ale prawda jest inna: ten spontaniczny wybuch niezadowolenia znacząco ułatwił nowy algorytm Facebooka: mechanizm decydujący o tym, co widzi jego użytkownik na swoim profilu.

Zmiana algorytmu miała utrudnić manipulowanie opinią publiczną. Po aferze z fake newsami podczas wyborów w USA w 2016 r. szef Facebooka Mark Zuckerberg ogłosił, że rozwiąże problem. Nowa, opu-

blikowana 11 stycznia 2018 r. wersja algorytmu miała dawać priorytet nie mediom (tradycyjnym i internetowym, z których wiele propagowało kłamstwa), lecz znajomym, członkom rodziny i grupom dyskusyjnym. Im większe zainteresowanie budził wśród nich dany post, tym częściej miał być wyświetlany.

### Sposób na protesty

Zbiegiem okoliczności w tym czasie portugalski murarz Leonardo Antonio Nogueira, mieszkający w departamencie Dordognena na południu Francji, założył w internecie pierwszą Grupę Gniewu (Groupe Colère). Jej członkowie mogli dawać tam wyraz niezadowoleniu ze sposobu, w jaki zarządzany był region. Szybko okazało się, że to skuteczny sposób na organizowanie protestów.

Kolejne grupy powstały w innych regionach Francji. Szybko zdobyły ogromną popularność, właśnie dzięki zmianom w algorytmie. Facebook za priorytet uznał bowiem przekazywanie odbiorcom wiadomości oddolnych, lokalnych i budzących dyskusje nie tylko wśród przyjaciół – czyli takich, jakimi dzielili się uczestnicy Groupe Colère. Szybko rosnące grupy zorganizowały już zimą 2018 r. serię protestów przeciw planowanej reformie prawa pracy, wprowadzanym ograniczeniom prędkości i programowi obowiązkowych szczepień.

Wprawdzie wiosną 2018 r. energia facebookowego ruchu osłabła, ale wzrost cen paliw dał jej zastrzyk energii. Pod petycją wzywającą rząd do obniżenia podatków na benzynę podpisało się półtora miliona ludzi, ale zyskała ona ogólnokrajowy rozgłos dopiero, gdy napisał o niej „Le Parisien".

Temat podchwycili internetowi aktywiści, jak 36-letni Ghislain Coutard, który wymyślił żółte kamizelki jako symbol ruchu. Ich filmy, posty, memy – napędzane nowym algorytmem – docierały do niemal każdego francuskiego użytkownika Facebooka (gdy z serwisu korzysta aż 63 proc. Francuzów).

Na razie nie ma dowodów na to, że jakiekolwiek zagraniczne siły zainicjowały francuskie protesty. Ich wybuch był zapewne wynikiem ściśle francuskich problemów, konfliktów, błędów i politycznych rozgrywek.

Jednak tuż po tym, jak tysiące ludzi w żółtych kamizelkach zaczęły demonstrować, do akcji wkroczyli gracze, których nie obchodzi cena francuskiej benzyny. Za to okazji do rozpętania zadymy w sercu Europy przegapić nie mogli.

### Ekosystem wojny informacyjnej

Znany francuski haker i badacz cyberbezpieczeństwa, identyfikujący się jedynie pseudonimem „xorz", pisze, że „Francja przegrywa swoją pierwszą wojnę informacyjną".

Przeanalizował on zachowanie użytkowników, którzy popierali na Twitterze ruch „żółtych kamizelek", i znalazł dziwne nieprawidłowości:

- konta założone na Twitterze dopiero w grudniu 2018 r., gdy protesty już się rozwijały;
- konta osób podających się za Francuzów, ale których interfejs użytkownika skonfigurowano na język angielski;
- konta, które działają tylko od poniedziałku do czwartku;
- konta, które jedynie podają dalej antyrządowe treści w godzinach od 4 nad ranem do 20 wieczorem, z dwugodzinną przerwą w środku dnia (to godziny odpowiadające dwuzmianowemu trybowi pracy w strefie czasowej przesuniętej o trzy godziny na wschód od Paryża);
- konta, których właściciele podszywają się pod serwisy informacyjne czy organizacje pozarządowe, istniejące i nieistniejące (jak Genewska Rada Praw Człowieka i Sprawiedliwości).

Wszystkie te internetowe twory należą do większego „ekosystemu", a publikowane przez nie treści są przekazywane dalej przez specyficzny krąg odbiorców, inne konta, które dotąd nie interesowały się Francją, lecz USA (propagując treści sprzyjające prezydentowi Trumpowi) lub Syrią (po stronie prezydenta Al-Asada). Takich kont „xorz" namierzył setki.

Haker „xorz" nie był jedyny. Prowadzony przez German Marshall Fund projekt Alliance for Securing Democracy już w pierwszym tygodniu grudnia 2018 r. zidentyfikował na Twitterze ponad 600 kont, które są związane z Rosją i rozsyłały wiadomości z hasztagiem #giletsjaunes (żółte kamizelki).

Badacze podzielili je na trzy grupy:

- otwarcie prorosyjskie lub powiązane z Kremlem;
- operowane przez „fabryki trolli" poza Rosją;
- prowadzone przez działaczy na całym świecie „wzmacniających" w internecie rosyjski punkt widzenia.

Wszystkie trzy kategorie kont udostępniały niemal wyłącznie informacje publikowane przez telewizję i portal RT (dawnej Russia Today) i portal Sputniknews. A te z kolei wysyłały swych dziennikarzy w pełnym rynsztunku bojowym do relacjonowania francuskich zadym i podkręcały każdy, najmniejszy nawet akt przemocy.

### Gracze spoza Francji

Co ciekawe, jak wspomniano, większość kont, które nagle zainteresowały się Francją, wcześniej pisało niemal wyłącznie o USA. „Te konta zwykle podkreślają pewne tematy w sposób dyskredytujący Zachód i ukazujący liberalne demokracje w negatywnym świetle" – mówił w „Deutsche Welle" Bret Schafer, ekspert German Marshall Fund.

Jego zdaniem „francuskie protesty znajdowały się na szczycie priorytetów aktywności tych kont przez niemal tydzień, a to jest jasny wyznacznik tego, że istnieje zainteresowanie wzmocnieniem wydźwięku konfliktu dla publiczności poza Francją".

Istotne jest też i to, że wiele takich kont publikuje nie po francusku, lecz po angielsku. To oznacza, że ich wpływ na mobilizację protestujących był niewielki, ale miały inną funkcję w machinie propagandowej: ich zadaniem jest tworzenie na świecie wrażenia, iż konflikt we Francji jest głębszy, a kraj ogarnięty o wiele większym chaosem niż w rzeczywistości.

Przykład? U szczytu protestów, 8 grudnia, wśród powiązanych z Rosją kont w mediach społecznościowych monitorowanych przez stronę wspomnianego projektu securingdemocracy.org furorę robiły hasła „żółte kamizelki", „Paryż" czy „Macron".

Tymczasem na francuskojęzycznym Twitterze tego samego dnia w czołówce był tylko jeden hasztag powiązany z protestami („#8December"). Inne popularne tematy dotyczyły futbolu i marszu na rzecz klimatu. Odbył się on także 8 grudnia i przyciągnął więcej ludzi niż protest „kamizelek". Francja żyła protestami w stopniu mniejszym niż internet poza jej granicami. To sukces propagandzistów.

Francuski minister spraw zagranicznych Jean-Yves Le Drian przyznał w wywiadzie dla radia RTL, że trwa śledztwo w sprawie rosyjskiego wpływu na protesty, ale odmówił komentarza i jakichkolwiek szczegółów, „dopóki śledczy nie przedstawią wniosków". ↦

↦ Czy ukraiński kontrwywiad ma więc rację, że to przygrywka do rozpętania przez Rosję „fali gniewu" w innych krajach? Z pewnością Kijów nie jest neutralnym obserwatorem konfliktu Unia–Rosja. Ale jeśli Kreml postanowił podgrzać atmosferę we Francji, stanowi to wyniesienie na nowy poziom światowej cyberwojny informacyjnej: po raz pierwszy na aż taką skalę ze sfery idei, wyborów i opinii przechodzimy w strefę radykalizacji i przemocy fizycznej.

### Nowy poziom konfliktu

Jeśli natomiast Ukraińcy się mylą i chodzi tylko o Francję, to i tak mamy do czynienia z eskalacją. A świadczy o niej zaangażowanie państwowej propagandy – której narzędziami są rosyjska Agencja Badań Internetu (pod taką nazwą działa tzw. fabryka trolli), RT i Sputnik – w zamieszki w innym kraju.

Hiszpański think tank Real Instituto Elcano już w listopadzie 2017 r. opublikował raport, który sugeruje, że rosyjska kampania dezinformacyjna mogła zaważyć na losach katalońskiego referendum niepodległościowego 1 października 2017 r. Z badań prof. Javiera Lesaci z Uniwersytetu George'a Washingtona wynika, że między 29 września a 5 października 2017 r. w mediach społecznościowych aż 5 mln razy powielono relacje dotyczące sytuacji w Katalonii, przygotowane przez RT i Sputnik. 55 proc. z tych postów pochodziło z anonimowych lub fejkowych kont. Wcześniej ponad jedna trzecia z nich zajmowała się... Wenezuelą.

Real Instituto Elcano twierdzi, że działania dezinformacyjne miały być częścią „kombinacji" – złożonej wywiadowczej operacji, utrzymanej w tradycjach KGB – gdzie przeplatają się propaganda, dezinformacja i współpraca z graczami wrogimi Zachodowi (tu w raporcie pada nazwisko Juliana Assange'a, lidera WikiLeaks; tweetował on o swoim poparciu dla niepodległości Katalonii). Już we wrześniu 2017 r., w okresie poprzedzającym najgorętsze spory o referendum i przyszłość regionu, poziom zainteresowania kontrolowanych z Rosji kont w mediach społecznościowych sprawami hiszpańskimi podskoczył o 2 tys. procent!

Nie tylko Europa jest polem tej wojny. W październiku 2018 r., podczas dorocznego spotkania Stowarzyszenia US Army brytyjski gen. Felix Gedney (ustępujący dowódca koalicyjnej operacji w Iraku) przyznał, że reżimy rosyjski i syryjski prowadzą w regionie Bliskiego Wschodu „ekstremalnie agresywne" operacje, rozprzestrzeniając dezinformację i kształtując krajobraz strategiczny po wojnie przeciw tzw. Państwu Islamskiemu.

„Całe operacje wojskowe są prowadzone tylko po to, by wyprodukować zdjęcia, których potrzebują ci ludzie" – mówił generał. Zdjęcia, które potem są dystrybuowane w sieci o wiele efektywniej niż w przypadku przekazów zachodnich. „Rosjanie są w tym bardzo dobrzy. Lepsi niż my" – przyznał gen. Gedney.

### Wyścig cyberzbrojeń

Zachód próbuje organizować obronę i kontratak. W brytyjskim Berkshire, w nudnych koszarach, gdzie podłoga wyłożona jest burym linoleum, działa 77. Brygada brytyjskiej armii. Nudny nie jest natomiast napis w atrium bazy, który głosi: „Jeśli wszyscy myślą tak samo, to ktoś nie myśli". I zdecydowanie nudni nie są żołnierze służący w tej jednostce: to specjaliści od marketingu, badań rynkowych czy zarządzania mediami społecznościowymi. Są zapleczem wszystkich NATO-wskich misji. Jeśli gdzieś żołnierz Sojuszu naraża życie, oni mają się upewnić, że jego poświęceniu towarzyszy odpowiednia oprawa informacyjna.

To jedna z wielu tego typu jednostek. Najsłynniejszą jest brytyjska służba nasłuchu elektronicznego GCHQ, która od dawna zajmuje się też wojną propagandową. Jej „wspólna grupa badań zagrożeń" (JTRIG) ma kontrolować – wedle dokumentów ujawnionych przez Edwarda Snowdena – wycieki poufnych informacji, manipulować mediami społecznościowymi czy podrzucać dane. Ma w arsenale liczne narzędzia „info-broni", od tych do rozsiewania spamu aż po skrypty do manipulowania sondażami.

W ten sposób zbroi się nie tylko Zachód. Z danych zebranych przez Uniwersytet Harvarda wynika, że Chiny do manipulowania mediami społecznościowymi zatrudniają 2 mln osób, które rocznie produkują 448 mln postów. Głównie po to, by przykryć tematy niewygodne dla władz. Ci chińscy cybercenzorzy są jednymi z najlepiej wykształconych specjalistów od najnowszej historii ChRL – muszą znać prawdę, by skutecznie ją ukrywać.

Podobnie, choć na mniejszą skalę, działają inne kraje. Marc Owen Jones z Instytutu Badań Arabskich Uniwersytetu Exeter ujawnił tysiące fałszywych kont wychwalających Arabię Saudyjską. Bahrajn spamuje dysydentów, by uniemożliwić im kontakty między sobą, a w Meksyku 75 tys. botów agitowało na rzecz byłego prezydenta Enrique Penii Nieto.

### Zachód nie nadąża

„Trwa wojna" – nie ma wątpliwości Renée DiResta, wykładowczyni Harvarda i szefowa ds. polityki w organizacji Data for Democracy. Jej zdaniem już „jesteśmy zanurzeni w ewoluującym konflikcie; informacyjnej wojnie światowej, w której państwa, terroryści i ideologiczni ekstremiści wykorzystują społeczną strukturę stanowiącą podstawę codziennego życia do siania niezgody i erozji naszego wspólnego postrzegania rzeczywistości". DiResta uważa, że „nie jest to aktywny konflikt wojny gorącej, ale jednak coś daleko wykraczające poza walkę cieni zimnej wojny".

Zasady tej wojny szybko się zmieniają. Problem w tym, że Zachód, który usiłuje bronić swoich wartości, za tym nie nadąża. „Godne pochwały poświęcenie na rzecz zasad wolności słowa w czasach pokoju, podczas wojny zmienia się we frajerstwo w obliczu wrogich operacji psychologicznych" – pisze DiResta. I postuluje: „Musimy wypracować takie rozumienie zasady wolności słowa, które jest uodpornione na środowisko trwającej dziś wojny w zniszczonym ekosystemie informacyjnym. Musimy bronić tej fundamentalnej wartości przed wykorzystaniem jej samej, jako rekwizytu we wrogiej nam narracji".

Dziś gracze cyberwojny skupiają się na infiltracji, a nie automatyzacji. Wykorzystują prawdziwych zideologizowanych użytkowników do rozsiewania przekazów. Tak jak we Francji.

Tymczasem państwa wciąż skupiają się na budowaniu systemów obrony przed poprzednią cyfrową kampanią: systemami automatycznych kont, które pomogły manipulować wyborami USA w 2016 r. i przed brexitowym referendum. Ustawodawcy starają się więc wiązać ręce twórcom botów. Ale to myślenie sprzed dwóch lat, z poprzedniej epoki internetowej.

DiResta porównuje to do budowy cyfrowej linii Maginota: wspaniałej, ale zupełnie bezużytecznej w tym nowym konflikcie.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

*Autorzy są dziennikarzami Polsat News i współpracownikami „TP", niedawno wydali książkę „Strefy cyberwojny".*

SCHNEYDER MENDOZA / AFP / EAST NEWS

*Portrety emigrantów i uchodźców z Wenezueli na moście im. Simóna Bolívara w Cúcuta (Kolumbia), granicznym mieście pomiędzy tymi dwoma państwami. 17 grudnia 2018 r.*

# Emigracja last minute

DOMINIKA MATEJKO Z BOGOTY (KOLUMBIA)

**W ostatnich latach upadłą socjalistyczną Wenezuelę opuścił co ósmy jej mieszkaniec. Większość kieruje się najpierw do Kolumbii, bo tak najprościej. Oto opowieść o nich.**

Tłum ludzi. Kiedy podjeżdża autobus, każdy walczy o to, aby do niego wsiąść. Wszyscy mocno ściskają plecaki, żeby ich ktoś nie ukradł.

W Bogocie podejście, że „cel podróży nie jest najważniejszy, liczy się sama droga", nie istnieje. Poruszanie się transportem publicznym po kolumbijskiej stolicy jest prawdziwym wyzwaniem. Wymaga ogromu cierpliwości i nieustannej czujności. Na każdym przystanku wsiada więcej osób, niż pojazd jest w stanie pomieścić.

Dosiadają się też sprzedawcy, którzy oferują wszystko, co tylko da się sprzedać za tysiąc peso [równowartość ok. 1,30 zł – red.]. Niektórzy dodatkowo prezentują swój talent muzyczny. Z marnym efektem. Nikt nie chce ich słuchać. Czasem ktoś da im kilka groszy, dla świętego spokoju.

Wystarczy jedno słowo, aby zorientować się, który z tych obwoźnych sprzedawców jest Wenezuelczykiem – emigrantem, przybyszem zza północno-wschodniej granicy. Mają charakterystyczny akcent i są nieporównanie mniej hałaśliwi niż ich kolumbijska konkurencja.

### Mój syn nic nie jadł

Są też jakby dyskretni. A może nieśmiali, zawstydzeni? Bezszelestnie przemykają się między pasażerami, niby przez przypadek trącając każdego torebką z cukierkami na sprzedaż.

Skulona siedzę obok matki z płaczącym dzieckiem i udaję, że mnie nie ma. Kiedy przychodzą kolejni sprzedawcy, wciskam się w siedzenie jeszcze bardziej. Zamykam oczy. Najważniejsze to jakoś wytrzymać. Jakoś dojechać.

– Dość! Do diabła! Słuchaj, jak do ciebie mówię! – dochodzi skądś donośny krzyk.

Wszyscy milkną. Podnoszę głowę. Na wprost mnie stoi młoda kobieta. Wysoka, szczupła, o delikatnych rysach twarzy, dużych jasnych oczach i śniadej karnacji. Takich kobiet nie ma w Kolumbii.

Na ręce trzyma małe dziecko. Zbyt małe, żeby ocenić, chłopiec to czy dziewczynka. Do prawej nogi wtula jej się drugie dziecko – dużo starsze, chłopczyk.

– Myślisz, że ja to lubię?! – kobieta kontynuuje, a jej wzrok wbity jest gdzieś ponad głowy nas wszystkich. – Nienawidzę tu stać przed wami i błagać o pieniądze. Mój syn nic dzisiaj nie jadł. Albo dajesz pieniądze, albo nie!

W autobusie poruszenie. Każdy sięga do kieszeni, portfela lub torebki. Kobieta nie ma jak zebrać pieniędzy, dzieci skutecznie uniemożliwiają jej ruch.

– Daj mi go tutaj – mówię. Chwytam jej synka za rękę i sadzam u siebie na kolanach.

Ta nagła decyzja u mnie samej wywołuje coś na kształt zawstydzenia.

Kobieta mówi, że jest z Wenezueli. Że przyszła do Bogoty na piechotę z dziećmi. Jest w Kolumbii od dwóch tygodni. Mimo że ledwo stać ją na mały pokój w najbardziej podłej dzielnicy miasta, nie żałuje decyzji. Musiała uciekać. Tam, skąd przychodzi, ludzie umierają. Często powoli, ↦

↦ ale konsekwentnie. Mimo woli i na próżno.

### Ziemia niechciana, ziemia obiecana

Takich jak ona może być już nawet 4 miliony – tylu jej obywateli miało opuścić Wenezuelę w ostatnich latach. To co ósmy mieszkaniec kraju, który w 2017 r. miał liczyć 32 mln obywateli.

Ten wielki *exodus* to nic dziwnego. Reżim socjalistyczny rządzi w Wenezueli od 1999 r. Zdecydowanie za długo. Sytuacja ekonomiczna jest dramatyczna. Przemysł wenezuelski, oparty w 95 proc. na wydobyciu ropy, już dawno przestał przynosić jakiekolwiek zyski. Kraj jest zadłużony, a braki żywności i leków są odczuwalne przez wszystkich.

Każdy radzi więc sobie, jak umie. Czarny rynek rośnie wprost proporcjonalnie do spadku poparcia dla prezydenta Nicolása Maduro, który funkcję tę sprawuje już prawie sześć lat, od wiosny 2013 r.

Jak to zazwyczaj bywa – także w socjalizmie – najbardziej cierpią najubożsi. Szacuje się, że państwowa służba zdrowia zapewnia tylko jedną szóstą społecznych potrzeb. Pensja minimalna zaś starcza na kilogram kurczaka.

Proletariat wyprzedaje więc kolejno: telewizory, telefony, miksery. Wszystko po to, żeby przeżyć kolejne wzrosty inflacji. Kiedy wątły rynek zbytu nasyci się produktami AGD, proletariusze biorą nogi za pas i emigrują. Najprościej piechotą do Kolumbii, z którą Wenezuela ma najdłuższą granicę.

### Marsz po nadzieję

Gdy patrzy się na ekran telewizora, ludzie stojący na granicy wenezuelsko-kolumbijskiej przypominają wielką plamę z ruchomymi elementami.

Droga do współczesnego *eldorado* zajmuje im często dwa tygodnie. 14 dni w słońcu, w deszczu, często bez dostatecznego dostępu do jedzenia i wody. Ojczyzna pozbywa się swoich obywateli z ulgą. Dopiero na granicy z Kolumbią mogą liczyć na podstawową pomoc humanitarną.

Od początku 2018 r. w miejscowościach przygranicznych przybyło punktów pomocy, gdzie wędrowcy mogą liczyć na coś do jedzenia, na opatrunek i słowo pocieszenia. Z pomocą spieszą też sami Wenezuelczycy. Z inicjatywy znanego prezentera telewizyjnego Nelsona Bustamante, 8 grudnia 2018 r. w Stanach Zjednoczonych zorganizowano zbiórkę odzieży, lekarstw i pieniędzy dla tzw. *caminantes de la esperanza*, wędrowców nadziei. W akcji wzięli udział głównie Wenezuelczycy mieszkający na Florydzie. Do paczek z rzeczami wkładali małe karteczki ze słowami: „Bądź silny", „Odwagi".

ARCHIWUM PRYWATNE IBRAHIMA

*Ibrahim działa w opozycji i nie opuści kraju.*

Kryzys dotyka każdego, ale nie każdego po równo. Bywa, że wypycha z kraju od razu i na zawsze. Innym razem powoli i na czas bliżej nieokreślony.

### Profesor na warcie

Johana Mujicę poznałam w stolicy Wenezueli. Wtedy był jeszcze profesorem na jednej z najbardziej prestiżowych uczelni w Caracas i w kraju. Johan ma ponad dwa metry wzrostu, a jego potężna postura budzi respekt. Idąc z nim po ulicach Caracas – drugiego na liście najbardziej niebezpiecznych miast świata – czułam się pewniej niż w wojskowych pojazdach.

Rozmawialiśmy dużo o Gramscim i Marksie. Johan, jak sam mówi, jest socjalistą, ale w socjalizm *à la* Maduro nie wierzy. Choć na początku rządów Hugo Cháveza – poprzednika Maduro, nieżyjącego już twórcy „wenezuelskiej drogi do socjalizmu" – popierał politykę rządu, to nie wpadł w populistyczną pułapkę.

– Nigdy w historii mojego kraju nie było tak źle, a jest coraz gorzej. Moja pensja nie starcza na nic. Nie mam za co nakarmić rodziny. Od trzech lat nie kupiłem sobie nowych butów. Chodzę w dziurawych. Zresztą jak wielu profesorów – mówił wtedy Johan.

Kiedy pytałam go, jak to jest wyjeżdżać i zostawić rodzinę, łzy spływały mu po policzku. Ściągał czapkę, ocierał oczy. Przepraszał, wstawał i szedł. Ledwo mogłam za nim nadążyć. Już wtedy – na dwa tygodnie przed opuszczeniem Wenezueli – chodził tak, jakby uciekał.

Rozmawiamy ponownie po kilku miesiącach. Jest już w Argentynie. Tłumaczy, że pieniądze na drogę uzyskał ze sprzedaży złotych łańcuszków. Ponadto jego brat dostał stypendium w argentyńskiej Córdobie, na studia doktoranckie. Nawet jakby coś poszło nie tak, mogliby żyć ze stypendium.

Opowiada: – Wyjechaliśmy z bratem z Wenezueli 10 maja, na miejscu byliśmy 17 maja. Najpierw drogą lądową jechaliśmy z Caracas do Boa Vista. Z Boa Vista do Manaus. Z Manaus do Porto Alegre lecieliśmy samolotem. Z Porto Alegre przyjechaliśmy do Buenos Aires.

To był dopiero początek ich podróży. W stolicy Argentyny byli osiem dni. Następnie pojechali do Mendozy, by tam poczekać na wizę. Nie mieli pieniędzy, więc zatrudnili się do malowania starego hostelu w zamian za nocleg.

– To było traumatyczne. My jesteśmy z Karaibów, a tam musieliśmy malować przez sześć godzin dziennie na czterostopniowym mrozie. Nie byliśmy na to przygotowani, nie mieliśmy ciepłych ubrań. Nocami płakaliśmy. Tak spędziłem moje urodziny. Najgorsze urodziny mojego życia – wspomina. Gdy dojechali w końcu do Córdoby, mieli ze sobą 100 pesos argentyńskich (ok. 10 zł).

Od kilku miesięcy Johan pracuje jako ochroniarz w prywatnej klinice zdrowia. Wierzy, że niedługo znajdzie pracę jako nauczyciel. Wtedy sprowadzi do Argentyny córkę i żonę.

### Wilczy bilet

Z Emmanuelem przyjaźnię się od lat. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego niechętnie mówi o Wenezueli. Kiedy planuję kolejną wizytę w Ameryce Łacińskiej, Emmanuel dzwoni i radzi, żebym nie jechała. On by nie jechał. Jego decyzja o emigracji była podszyta strachem – o zdrowie i życie. Nie mógł znieść wszechobecnej przemocy.

Emmanuel: – Kiedy leciałem do Hiszpanii, miałem pozytywne nastawienie. Co będzie, to będzie, tak myślałem. Jeżeli tu mi nie wyjdzie, to poszukam innego miejsca. Ale tam nigdy nie wrócę.

Ma trójkę rodzeństwa. Jego siostra wyemigrowała do Miami, kiedy jej mąż dostał tam ofertę stypendialną. Starszy brat

czekał na dobrą ofertę pracy za granicą, bo podkreślał: „Podłóg szorować nie będę". Drugi brat chciał prosić o azyl polityczny.

Natomiast Emmanuel miał traumę. Jego dom napadła grupa uzbrojonych mężczyzn. Rodzeństwa akurat nie było. On i kolega uczyli się do egzaminów. Bandyci zamknęli ich w pokoju i obrabowali mieszkanie.

– Pamiętam, że najbardziej bałem się, że zabiorą mi plecak. I zabrali. Miałem w nim moją pracę magisterską z ostatnimi poprawkami od promotora – Emmanuel śmieje się dziś, gdy to opowiada. Ale to jedna z tych historii, które nie pozwoliły mu zostać w kraju.

Z kolei jego ojca napadli, jak jechał poza miasto. Napastnicy zatrzymali go na środku drogi i po prostu zabrali auto. Szedł kilkanaście kilometrów aż do domu swojego brata. Stamtąd poinformował rodzinę.

Emmanuel: – Najgorsze jest to, że się do tego przyzwyczajasz. Ludzie pytają, czy ktoś cię nie okradł, zupełnie tak, jakby pytali się o pogodę. Ja nie chciałem do tego przywyknąć.

Dzisiaj, po trzech latach pracy w barze szybkiej obsługi, Emmanuel w końcu dostał pracę w zawodzie. Jest dentystą na Majorce. Nigdy nie odwiedził Wenezueli.

### Na chwilę przed

– Czasami budzę się i wolałabym nie wyjeżdżać – mówi 25-letnia Daniela, która od kilku miesięcy przygotowuje się do emigracji.

Znany komik wenezuelski opowiadał ostatnio, że odkąd mieszka w Miami, zawsze mu czegoś brak. Najpierw myśli, że chodzi o *ponche crema* [popularny napój alkoholowy w Wenezueli – red.]. Potem czuje, że to nie to, więc idzie odwiedzić Fulanita [popularne imię używane w dowcipach]. Dopiero później zdaje sobie sprawę, że ani nie chodziło mu o *ponche crema*, ani o Fulanita. Tęskni za krajem i nic mu nie jest w stanie wypełnić tej pustki.

Daniela czuje, że w jej przypadku będzie tak samo. Nigdzie poza Wenezuelą nie czuje się jak w domu. Jednak dzisiejsza Wenezuela nie jest tą, którą pamięta z czasów dzieciństwa.

Wspomina, że kiedyś w okresie bożonarodzeniowym wszyscy jedli *hallacas* – to masa kukurydziana z mięsem, zawinięta w liść bananowca. Dziś nawet jeżeli ktoś może sobie pozwolić na *hallacas*, to ich nie kupuje. Święta od dawna są już tylko datą

ARCHIWUM PRYWATNE DANIELI

*Daniela starannie przygotowuje się do wyjazdu.*

w kalendarzu, a nie autentycznym przeżyciem.

– Bardzo dużo ludzi ma depresję. Sprzedawcy są chamscy. Jeżeli ich wypłata sięga zera, jeżeli są niedożywieni, to trudno wymagać, by nagle kochali bliźniego – mówi Daniela.

W październiku 2018 r., na zaproszenie przyjaciela, dziewczyna poleciała do Hiszpanii. Wielu Wenezuelczyków wykorzystuje takie okazje, żeby prosić o azyl polityczny. Ale nie ona. Co prawda jest już prawie gotowa do emigracji. Już wie, co zapakuje do walizki. Ma uzbieraną kwotę w dolarach, która pozwoli jej przetrwać pierwszy miesiąc w Chile.

Jednak zanim wsiądzie do samolotu w kierunku Santiago de Chile, chce się upewnić, że wszystko ma pod kontrolą. Zdalnie szuka już tam pracy, w zawodzie. Nie jest łatwo, bo projektantów wnętrz jest w Chile sporo.

Daniela jest świadoma, że i tak ma szczęście: – Codziennie dziękuję Bogu, bo wiem, że inni mają trudniej. Dużo trudniej. Ja mogę poczekać na lepszą okazję. Inni nie mają chwili do stracenia.

### Punkt zero

Ibrahim od lat związany jest z opozycyjną partią Vente Venezuela. Jej przewodniczącą jest María Corina Machado. Ibrahim – jak wielu Wenezuelczyków – jest pewien, że jeśli kiedyś zmienią się rządy, to właśnie Machado zostanie prezydentem.

Z Ibrahimem rozmawiam przez Skype'a. Jest błyskotliwy i sprawia wrażenie, że ma przygotowaną odpowiedź na każde pytanie. Prezentuje swoje argumenty z szybkością karabinu maszynowego. Gdyby nie został politykiem, z pewnością pracowałby w reklamie.

– Dlaczego nie wyjechałeś? – pytam.

– Bo to zaraz się skończy – odpowiada bez namysłu.

– Jesteśmy blisko rozwiązania obecnego kryzysu na drodze politycznej i ci to udowodnię – dodaje cicho, jakby wyjawiał sekret. – Maduro nie stać na finansowanie całego jego systemu opartego na klientelizmie. Produkcja ropy spadła dramatycznie. Braki w dostawie prądu są coraz częstsze. Wydajność transportu publicznego zmalała o 85 proc., a w 2019 r. będzie jeszcze gorzej. Dojdzie do buntu w społeczeństwie i wtedy przejmiemy władzę.

Owszem, taki bunt jest możliwy. Ocenia się, że w Wenezueli codziennie organizowanych jest ok. 30 protestów. O ile jeszcze trzy lata temu w demonstracjach brali udział głównie zwolennicy opozycji, obecnie do manifestacji przyłączają się robotnicy i ludzie pracujący na państwowych stanowiskach. Ale za każdym razem wojsko skutecznie gasi bunt obywatelski.

– Gdy kryzys się pogłębi, Maduro odejdzie. A zapewniam, że będzie gorzej – kontynuuje Ibrahim z przekonaniem.

– Słyszę to bez przerwy od paru lat! – odpowiadam sceptycznie. – W czym będzie gorszy kryzys w tym roku od tego z roku 2018? I jak mają się skończyć pieniądze, jeżeli wiadomo, że w Wenezueli kwitną grupy terrorystyczne, które przez handel narkotykami dokarmiają rząd?

– Kryzys zawsze ma swój punkt zero – pada szybka odpowiedź. – Ponadto Stany Zjednoczone umieściły Wenezuelę na liście państw, które stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa międzynarodowego.

W grudniu 2018 r. María Corina Machado wystosowała list do prezydentów Argentyny i Izraela, w którym informuje, że wenezuelski reżim utrzymuje kontakty m.in. z Iranem i grupami ekstremistów.

Opozycja liczy na zewnętrzną interwencję i totalny kryzys. Ale ilu ludzi musi jeszcze wyemigrować, w procesie osiągania kryzysu ostatecznego?

Na razie, w minionym tygodniu, prezydent Maduro został zaprzysiężony na swoją drugą sześcioletnią kadencję.

Wenezuelski parlament, w którym od wyborów w 2015 r. opozycja ma większość (co jednak nie przekłada się na realną władzę: Maduro odebrał parlamentowi jego uprawnienia), usiłował do tego nie dopuścić. Bezskutecznie.

© DOMINIKA MATEJKO

HISTORIA

# TAJNA MISJA W RYDZE

Na rokowania, które miały zakończyć wojnę polsko-bolszewicką, jesienią 1920 r. do stolicy Łotwy zjechali dyplomaci, dziennikarze i szpiedzy. Wśród nich pewien jeszcze mało znany 27-latek.

JAN PISKUREWICZ

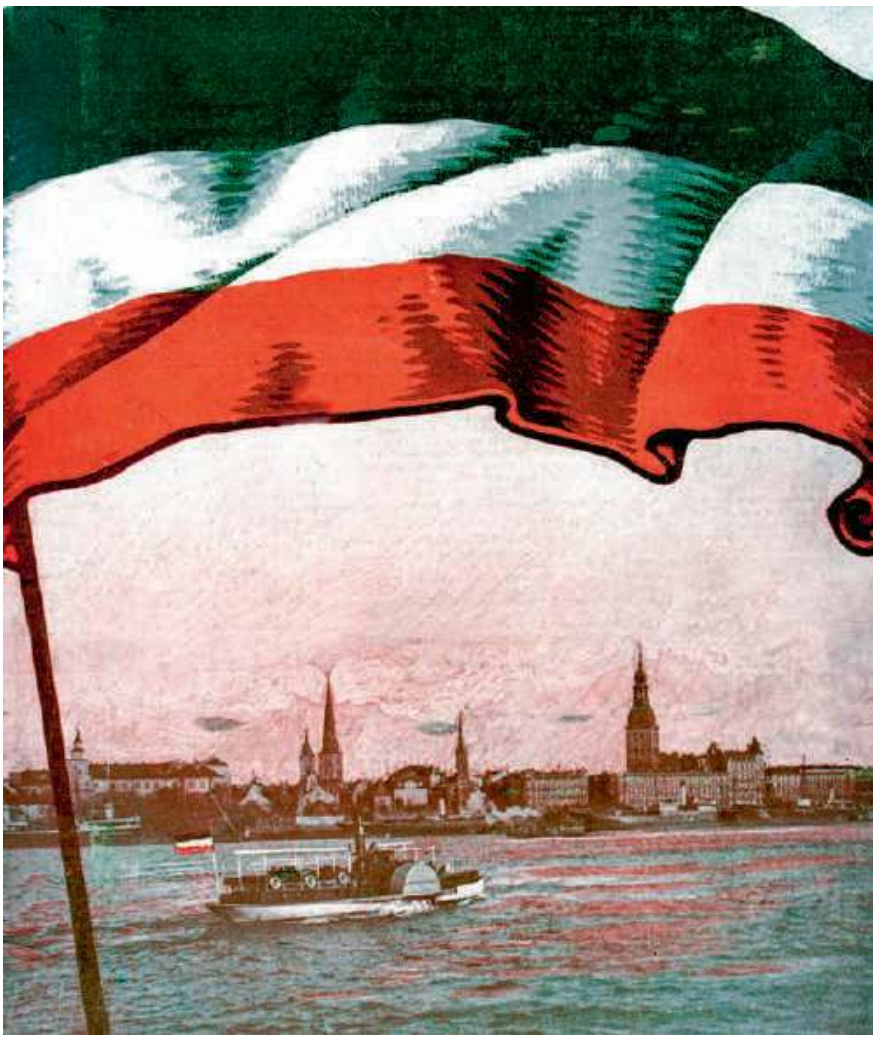

JAIME ABECASIS / BEW

*Niemiecka flaga na tle Rygi zajętej przez armię pruską w czasie I wojny światowej. Ilustracja z 1920 r.*

Później miał stać się jedną ze znaczących postaci polskiej historii XX stulecia. Uczestnik życia politycznego II Rzeczypospolitej – jako szef gabinetu premiera w okresie rządów Józefa Piłsudskiego i Kazimierza Bartla. A także – jako uczestnik jej życia literackiego. Jerzy Giedroyc pisał o nim, że był „piłsudczykiem w wydaniu bartlowskim (...) zwolennikiem Piłsudskiego demokratycznego". We wrześniu 1939 r. opuścił Polskę, by już nie wrócić. Zamieszkał w Szwajcarii, skąd współpracował z paryską „Kulturą" jako autor felietonów i esejów. Dziś jest uznawany za jednego z twórców współczesnego polskiego eseju literackiego.

Mało kto wie, że w pewnym okresie był też człowiekiem wywiadu wojskowego. Dla ludzi jego formacji taka służba młodemu państwu była czymś oczywistym – wpisywała się w wysiłek zachowania świeżo odzyskanej niepodległości.

## Zakonspirowany jako dziennikarz

Gdy sto lat temu w Europie Środkowej rodziły się i walczyły ze sobą nowe państwa, na myśl polityczną młodego (rocznik 1893) Jerzego Stempowskiego – bo o nim mowa – silny wpływ wywarło niewątpliwie miejsce, gdzie od XVIII w. osiadła jego ziemiańska rodzina: majątek Szebutyńce nad Dniestrem, w tej części Podola, która do I wojny światowej była w zaborze rosyjskim. Jeszcze większy wpływ na jego rozwój miał ojciec – Stanisław, działacz polityczny, w carskiej Rosji skazany za działalność socjalistyczną.

W czasie I wojny światowej Jerzy studiował w Szwajcarii, a w 1919 r. został zatrudniony w Poselstwie Polskim w Bernie, skąd przyjechał do Warszawy jako kurier dyplomatyczny. Podczas wojny z bolszewikami zgłosił się do wojska, ale w działaniach wojennych nie brał udziału. W październiku 1920 r. zatrudniony został w Departamencie Informacji MSZ.

W jego biogramie zamieszczonym w Polskim Słowniku Biograficznym czytamy, że pod koniec 1920 r. Jerzy Stempowski, „zakonspirowany jako zagraniczny dziennikarz Rajmund Niholm, został wysłany do Rygi w związku z rokowaniami pokojowymi z Rosją Sowiecką". W obszernym biogramie informacja ta zajmuje niewiele miejsca – można by są-

dzić, że wyjazd do Rygi był tylko drobnym epizodem w jego długim i wypełnionym wieloma zajęciami życiu.

Co może zmienić takie wrażenie, to pozostawiony przez Stempowskiego tajny raport o jego misji w Rydze (jego rękopis znajduje się dziś w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego).

### Cel: wywiad polityczny

Skorygujmy dane z biogramu. Misja Stempowskiego nie zaczęła się pod koniec 1920 r. – zgodnie z jego raportem, wyjechał z Warszawy do Rygi 17 września i przybył tam 21 września, w dniu rozpoczęcia konferencji. Jeśli przyjmiemy za biogramem w PSB, że został zatrudniony w ministerstwie w październiku, to można przyjąć, że nie został skierowany do Rygi przez MSZ.

Wszystko wskazuje na to, że instytucją wysyłającą było Biuro Propagandy Zagranicznej przy Prezydium Rady Ministrów. Wraz z raportem zachowało się pismo Biura do *attaché* prasowego polskiego poselstwa w Rydze Jana Cynarskiego-Krzesławskiego z 17 września 1920 r., polecające Rajmunda Nihölma, z prośbą o udzielenie mu pomocy przy zbieraniu informacji.

Wszystko też wskazuje, że Stempowski działał w Rydze jako współpracownik wywiadu wojskowego (tj. II Oddziału Sztabu Generalnego). Mówi nam o tym m.in. treść raportu, który skierowany jest do Komendy Naczelnej Polskiej Organizacji Wojskowej – stanowiącej w tamtym czasie ważny instrument wywiadowczy w rękach Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego. Przy tym Stempowski kontaktuje się w Rydze głównie z agentami polskiego wywiadu wojskowego i generałem Mieczysławem Kulińskim (nieoficjalnym wysłannikiem Piłsudskiego na rokowania), a następnie z pułkownikiem Ignacym Matuszewskim, który zastąpił Kulińskiego. Niektóre swoje informacje wysyła bezpośrednio do II Oddziału.

Sam Stempowski określa swoją aktywność w Rydze jako „wywiad polityczny". Jego raport obejmuje okres od 21 września do 9 listopada 1920 r. W tym czasie delegacja polska, pod przewodnictwem wiceministra spraw zagranicznych Jana Dąbskiego, prowadziła żmudne pertraktacje z delegacją bolszewicką. Na jej czele stał doświadczony dyplomata Adolf Abramowicz Joffe, uważający się (nie bez racji) za najwybitniejszego dyplomatę sowieckiego.

ARCHIWUM CEZAREGO GAWRYSIA / FOTONOVA

*Jerzy Stempowski, Paryż 1921 r.*

Rezultatem tych przewlekłych debat, na które wpływ miały bieżące wydarzenia wojenne i polityczne, było podpisanie 12 października preliminariów pokojowych. Zawarto w nich wstępne warunki układu pokojowego, podpisanego następnie 18 marca następnego roku.

### Negocjacje i ich kulisy

Rokowania w Rydze budziły duże zainteresowanie prasy, głównie brytyjskiej i amerykańskiej. Akredytowano ok. 80 korespondentów, spośród których wielu występowało w podwójnej roli. Mieli swobodę poruszania się po mieście i okolicy, podobnie zresztą jak członkowie obu delegacji.

„Korespondenci zagraniczni – pisał Stempowski w swoim raporcie – spełniali w wielu wypadkach rolę wywiadowców. Informacja prasy przez delegację polską działała tak opieszale, że dziennikarze polscy za zgodą Dąbskiego zwracali się też do Hotelu Pietrogradzkiego [Petersburskiego], gdzie mieszkała delegacja sowiecka. W tej ostatniej powstały obawy, aby informacje sekretne nie wydostały się tą drogą na zewnątrz. Dla zapobieżenia temu Joffe zorganizował informację korespondentów jak następuje: każdy z korespondentów był informowanym przez jednego z członków delegacji i miał poleconym nie zwracać się do innych. W ten sposób każdy z informatorów miał kompletny obraz wiadomości udzielonych swemu korespondentowi. Niektórzy dziennikarze, pracujący specjalnie z bolszewikami lub będący na służbie sowieckiej (...) rozmawiali swobodnie ze wszystkimi".

Stempowski przekazywał zebrane informacje w dwa miejsca: „wszystkie wiadomości, jakie zebrał w ciągu dnia" polskiemu oficerowi wywiadu oraz „główne wiadomości natury politycznej" – przez pośrednika – przewodniczącemu delegacji polskiej Dąbskiemu.

Nie miał najlepszego zdania o delegacji polskiej. W pierwszej fazie konferencji składała się ona z przedstawicieli głównych partii w Sejmie, bardzo skonfliktowanych, którzy siłą rzeczy z trudem uzgadniali wspólne stanowisko w omawianych sprawach. „W łonie delegacji polskiej – pisał Stempowski – decyzje zapadały po długich dyskusjach, teksty deklaracji polskich były ustalane po uprzednich głosowaniach i z tego powodu nie mogły być więcej modyfikowanymi w zależności od informacji i wypadków ostatniej chwili".

Powoływał się przy tym na własne informacje z siedziby delegacji sowieckiej z początku października, kiedy to „dezorientacja i rozbieżność zdań w Hotelu Pietrogradzkim była tak wielka, że pomyślny przebieg pertraktacji został zapewniony tylko przez inicjatywę osobistą Joffego, który w chwili krytycznej wziął na siebie odpowiedzialność za całokształt negocjacji i w rozmowach osobistych z Dąbskim powziął samodzielne decyzje we wszystkich głównych kwestiach spornych". Stempowski uważał, że delegacja polska mogła wykorzystać tę sytuację, „gdyby ostatnia posiadała bardziej giętką organizację wewnętrzną".

Z czasem ciężar negocjacji został przeniesiony na obu przewodniczących, którzy następnie informowali pozostałych delegatów o przyjętych ustaleniach. Przyspieszyło to pertraktacje.

### Rozmowy nie zawsze trzeźwe

Stempowskiemu udało się, za pośrednictwem poznanego dziennikarza z USA, ↦

↦ zbliżyć do delegacji sowieckiej. Dziennikarz był przedstawicielem jednego z ważnych pism Partii Republikańskiej, znał trochę rosyjski i w 1919 r. odbył podróż po Rosji na koszt bolszewików. Znał wielu spośród ich polityków i często rozmawiał z Joffem oraz innymi członkami delegacji bolszewickiej. Zdaniem Stempowskiego, dziennikarz ten prowadził „pewien wywiad wśród bolszewików" na rzecz Republikanów, a może na rzecz rządu federalnego USA. Dzięki niemu miał codzienne informacje o nastrojach w delegacji bolszewickiej i za jego pośrednictwem zamierzał nawiązać bliższy kontakt z delegacją.

Okazją do tego miała być niedzielna wycieczka za miasto delegacji bolszewickiej, na którą zaproszono Amerykanina i za jego pośrednictwem Stempowskiego. Niestety, zaproszenie cofnięto na skutek dekonspirującego donosu, jaki otrzymał wywiad bolszewicki. Amerykanin poinformował Stempowskiego, że donos napisano po polsku na maszynie. Stempowski uważał, że mógł on zostać napisany tylko na „jednej z maszyn polskich, znajdujących się w Rydze". Odtąd stracił możliwość bezpośredniego kontaktu z delegacją bolszewicką.

Delegacja polska rezydowała w Hotelu Rzymskim, który też był w kręgu zainteresowań Stempowskiego. Korzystając ze swych kontaktów *stricte* wywiadowczych dowiedział się, że jeden z kelnerów jest na usługach bolszewików. Poinformował o tym polską delegację. „Wywiad przez służbę hotelową – pisał w raporcie – który w normalnych warunkach nie byłby niebezpiecznym, mógł dać bolszewikom ważne informacje ze względu na nieostrożność delegatów polskich, którzy w restauracji i na korytarzach, często w stanie nietrzeźwym, rozmawiali o kwestiach mogących żywo zainteresować wywiadowców łotewskich lub bolszewickich".

### Koniec idei Piłsudskiego

Delegacja sowiecka w Rydze dążyła do uznania jej przez stronę polską za reprezentantkę nie tylko bolszewickiej Rosji, ale też bolszewickiej Ukrainy i Białorusi. Była to próba – udana, jak się okazało – storpedowania federalistycznych planów Piłsudskiego.

Przedstawicielem Ukrainy i zastępcą Joffego w delegacji bolszewickiej był Dmytro Manuilski – ludowy komisarz rolnictwa bolszewickiej Ukrainy. Stempowski postanowił nawiązać z nim kontakt za pośrednictwem mężczyzny, który był znajomym Manuilskiego. „Nalegając na wspólność interesów politycznych polsko-ukraińskich – pisał Stempowski – prosiłem (...) o odnowienie znajomości z Manuilskim i wybadanie go na temat najbliższych zamiarów delegacji sowieckiej".

Stempowski sceptycznie oceniał perspektywy pokoju między Rosją bolszewicką i krajami ościennymi. Uważał, że bolszewikom najbardziej będzie odpowiadał stan pośredni: **ani pokój, ani wojna. Dziś nazywamy to „wojną hybrydową".**

Informacje pozyskane od Manuilskiego za pośrednictwem jego znajomego Stempowski przekazywał bezpośrednio II Oddziałowi oraz ministrowi spraw zagranicznych w rządzie Ukraińskiej Republiki Ludowej – od wiosny 1920 r. związanej z Polską sojuszem i działającej pod przywództwem Symona Petlury (ministrem rolnictwa w tym rządzie był jego ojciec, wspomniany już, Stanisław, gorący zwolennik zbliżenia Polaków i Ukraińców).

Manuilski okazał się dla Stempowskiego cennym źródłem zwłaszcza w okresie, gdy rokowania weszły w fazę przełomową, zakończoną porozumieniem z 5 października. Sowiecki ludowy komisarz (tj. minister) spraw zagranicznych Gieorgij Cziczerin uważał to porozumienie za „faktyczne podpisanie pokoju". Bolszewicy zgodzili się w nim na polską propozycję przebiegu granicy, a delegacja polska na podpisanie preliminariów i rozejmu do 8 października. Było to dla bolszewików ważne, gdyż umożliwiało przerzucenie wojsk z frontu polskiego na front południowy, gdzie trwała walka z siłami „białego" generała Wrangla. Polacy zgodzili się ponadto na parę innych ustępstw.

Tak o znaczeniu tego porozumienia pisał historyk Jerzy Borzęcki: „Wspólne oświadczenie położyło ostatecznie kres koncepcji federalistycznej, którą wpływowa mniejszość w Polsce oraz większość w wyższych kręgach wojskowych wciąż jeszcze miała nadzieję zrealizować, choćby tylko częściowo. Eksperci wojskowi przy polskiej delegacji – podniesieni na duchu ostatnimi polskimi sukcesami na froncie – byli szczególnie zaskoczeni i zawiedzeni. (...) Nawet lojalny wobec delegacji generał Kuliński był najwidoczniej zaszokowany oświadczeniem z 5 października, gdyż następnego dnia złożył Dąbskiemu *votum separatum*".

### Próba dezinformacji

Borzęcki pisał dalej: „Zgodnie z informacją otrzymaną przez Sowietów od Polaków, Sapieha [szef polskiego MSZ] – który ostatnio zbliżył się do Piłsudskiego – chciał odłożyć podpisanie rozejmu o co najmniej 10 dni. Planowana przez niego podróż do Rygi została w ostatniej chwili udaremniona przez premiera Witosa oraz wicepremiera Ignacego Daszyńskiego. Ci dwaj politycy, wraz z Dąbskim, byli rzeczywistymi przywódcami partii pokojowej".

Stempowski był bardzo krytyczny wobec przyjętego porozumienia. Uważał, że jest ono trudne do pogodzenia z faktem ciężkiej sytuacji wojskowej i politycznej bolszewików oraz że jest też formą rozejmu, skierowaną bezpośrednio przeciw Wranglowi, którego właśnie uznała Francja. Pisał, że według niektórych członków polskiej delegacji protokół z 5 października podpisany został przez Dąbskiego na jego własną odpowiedzialność.

W tej sytuacji – zakładając, że rządowi i delegacji polskiej może „ewentualnie" zależeć na przesunięciu daty podpisania rozejmu poza 8 października – Stempowski postanowił podjąć własne działania. Wspomnianego już swojego informatora, który utrzymywał kontakty z Manuilskim i innymi członkami delegacji bolszewickiej, wysłał do Hotelu Petersburskiego, by zakomunikował, że Polakom nie zależy na natychmiastowym upadku bolszewików, że gotowi są zrobić pewne kroki dla ocalenia ich od natychmiastowej katastrofy, i że właśnie dlatego Dąbski podpisał protokół z 5 października. Sugerował, aby bolszewicy w swoim interesie nie nalegali na przyspieszenie terminu podpisania preliminariów i rozejmu, za-

nim ta nowa orientacja polityki polskiej ostatecznie się nie ujawni.

Jak się jednak okazało, bolszewicy zdawali sobie sprawę z tej intencji strony polskiej. Ostatecznie termin podpisania preliminariów i rozejmu ustalono na 12 października.

### Gra wokół Białorusi

Gdy to już nastąpiło, Stempowski zbliżył się do przebywających w Rydze polityków białoruskich. Reprezentowali oni dwie opcje polityczne. Delegatami rządu Białoruskiej Republiki Ludowej, starającego się o utworzenie niezależnej Białorusi, byli jego premier Wacław Łastowski oraz Alaksandr Ćwikiewicz i Antoni Owsianik. Z kolei czerwoną Białoruś reprezentował przewodniczący Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego Aleksander Czerwiakow.

Delegacja BRL przyjechała do Rygi, by wziąć udział w negocjacjach, ale nie została dopuszczona do nich, za wspólną zgodą delegacji polskiej i bolszewickiej. Podobnie było z Czerwiakowem, który nie uzyskał oficjalnego statusu. Natomiast Komitet Wojskowo-Rewolucyjny (tzw. Rewkom), którego był przewodniczącym, we wrześniu postanowił udzielić Rosji bolszewickiej „najszerszego mandatu do prowadzenia pokojowych negocjacji z Polską w kwestiach przede wszystkim granic Białorusi".

O politykach BRL Stempowski pisał, że „wszyscy robią wrażenie ludzi uczciwych, nieprzejednanych, mocno wierzących w swoją sprawę", ale jednocześnie „są to ludzie uparci w swoich doktrynach, niesforni w pracy i pozbawieni pozytywności". W tym czasie, tracąc grunt pod nogami, byli skłonni do ustępstw na rzecz Polski. W czasie pertraktacji ryskich kontakt z tymi Białorusinami utrzymywali polscy delegaci Leon Wasilewski (bliski Piłsudskiemu) i Witold Kamieniecki. Stempowski przekazywał im treść swoich rozmów z Białorusinami i swoje konkluzje. Z kontaktów z oboma posłami odniósł jednak wrażenie, że nie mają oni instrukcji ani pełnomocnictw, a dyskusje w delegacji polskiej w kwestii białoruskiej dały rezultat negatywny, głównie za sprawą endeka Stanisława Grabskiego, który potrafił przekonać innych.

O Czerwiakowie pisał Stempowski, że zrobił na nim wrażenie człowieka „bardziej zrównoważonego, spokojnego i rozsądnego" od osób z grupy Łastowskiego. „Jest dla mnie oczywistym – pisał Stempowski – że Czerwiakow nie jest wcale komunistą, ani nawet socjalistą, ale dobrym nacjonalistą białoruskim, który dla względów oportunizmu pracował z bolszewikami". Z wielogodzinnych rozmów z Czerwiakowem odniósł wrażenie, że jest on źle widziany zarówno przez delegację polską, jak i przez rząd bolszewicki.

Pewne potwierdzenie ocen Stempowskiego stanowi analiza II Oddziału z 1928 r., zatytułowana „Krótki przegląd kwestii białoruskiej". Pada tu teza, że w przypadku pomyślnego zakończenia negocjacji delegacji BRL z delegacją polską w Rydze Czerwiakow miał przejść do antybolszewickiego obozu (aresztowany podczas Wielkiego Terroru, w 1937 r. popełnił samobójstwo w więzieniu).

O szczególnej relacji Stempowskiego z Białorusinami może świadczyć też fakt, że w jego papierach w BUW znajdują się kopie dwóch memoriałów w języku francuskim, dotyczących stanowiska dwóch ośrodków białoruskich wobec traktatu polsko-bolszewickiego. Prawdopodobnie zostały przekazane Stempowskiemu – pierwszy przez przedstawicieli BRL, a drugi przez Czerwiakowa.

### Ni paix ni guerre

W swoim raporcie Stempowski odnosił się też do pewnych mniej istotnych (na pozór) szczegółów, z których można było jednak wyciągać szersze wnioski. Np. zwracał uwagę na znaczenie kontrabandy, jaka płynęła z Rosji na Łotwę i dalej do Europy Zachodniej. Obejmowała carskie ruble, za które bolszewicy kupowali złoto i waluty. Większość kontrabandy przewożono w walizach dyplomatycznych, niepodlegających kontroli. „Kupowanie złotych przedmiotów i *des objects d'art* dla zrobienia z nich sztabek złotych jest operacją przynoszącą wielkie straty. Jeżeli bolszewicy dokonują takich operacji na większą skalę, jest to niewątpliwym dowodem, że przygotowują się oni nie do handlu, ale do rewolucji wszechświatowej i z tego powodu liczą bardziej na złoto niż na waluty zagraniczne" – oceniał.

W konkluzjach swojego raportu Stempowski sceptycznie ocenił perspektywy trwałego pokoju między Rosją bolszewicką i krajami ościennymi, w tym Polską. Uważał, że bolszewikom najbardziej będzie odpowiadał stan pośredni – *ni paix ni guerre* (ani pokój, ani wojna). Strategię tę stosowali zresztą już od momentu objęcia władzy w Rosji. Jak pokazały kolejne lata i dekady, był to wniosek wyjątkowo proroczy.

Dziś taką strategię nazywamy „wojną hybrydową". © JAN PISKUREWICZ

*Autor jest historykiem, profesorem nauk humanistycznych. Pracuje na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego i w Polskiej Akademii Nauk.*

**Przed Sądem Rejonowym w Zakopanem,** pod sygn. akt I Ns 451/18, z wniosku Banku Handlowego S.A. w Warszawie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Macieju Czerskim, s. Mikołaja i Kazimiery, którego zwłoki znaleziono 16 października 2011 r. w Zakopanem, ostatnio stale zamieszkałym w Zakopanem.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Macieja Czerskiego, aby w ciągu 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Zakopanem i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie,** Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 226/18 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Roszkowie, o pow. 0,90,00 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 375, arkusz mapy 3, dla której nie była prowadzona księga wieczysta ani zbiór dokumentów.

Sąd wzywa zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

OGŁOSZENIA

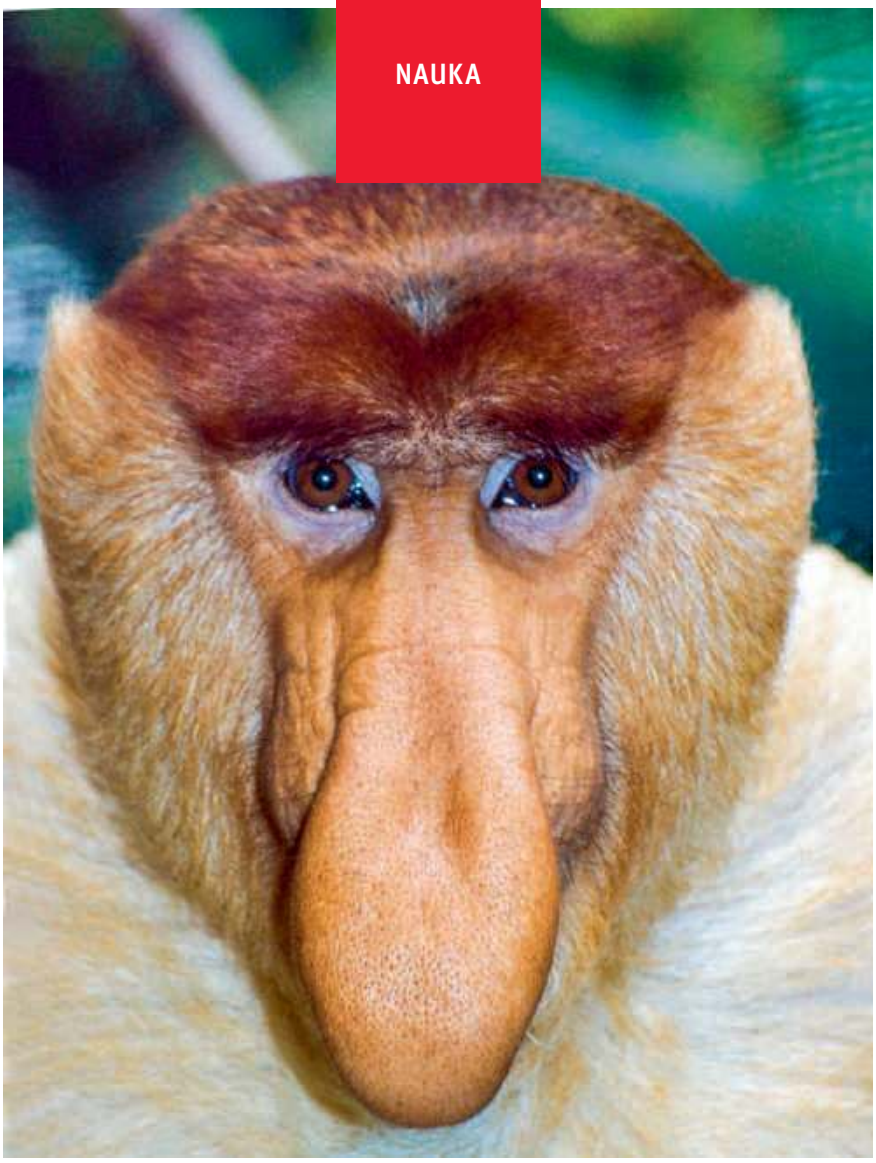

EAST NEWS

*Samiec nosacza sundajskiego (Nasalis larvatus)*

# NOSACZE A SPRAWA POLSKA

Groteskowy wygląd uczynił z tych małp najpopularniejszych bohaterów memów o nas samych. A co wiemy o ich pozawirtualnym życiu?

ŁUKASZ KWIATEK

Nie udało mi się w naukowych źródłach potwierdzić powszechnego w Polsce przekonania, że samce nosaczy noszą imię Janusz, a ich małżonki – Grażyna lub Halina. Żaden eksperyment nie zasugerował, że te małpy odczuwają *schadenfreude*, gdy coś przykrego spotka ich sąsiada. Pogłoski o ich genetycznych skłonnościach do nieudolnego oszczędzania też wydają się przesadzone.

Ale może to kwestia braku odpowiednich badań. W czasopismach naukowych nosacze goszczą nieporównywalnie rzadziej niż na stronach z memami. Nikt nie testował sprawności ich umysłów przed lustrem ani w laboratorium, nawet nie próbował rozszyfrować znaczeń ich wokalizacji w eksperymentach nagraniowych. Większość wiedzy, którą posiadamy o nosaczach, dotyczy ich zwyczajów, czyhających na nie zagrożeń i organizacji życia społecznego. Ta wiedza składa się na dość ponury obraz nosaczowej codzienności.

### Skazane na wymarcie

Nosacze to gatunek endemiczny, na wolności żyją wyłącznie na Borneo. Najchętniej zajmują podmokłe tereny – namorzyny, bagienne lasy torfowe i lasy łęgowe. W takich warunkach trudno je obserwować – często wymaga to wykorzystania łodzi. Preferują nizinne tereny niedaleko wybrzeża, z rzadka można je spotkać w głębi lądu, w pobliżu rzek. Ze względu na dramatyczny spadek powierzchni ich siedlisk (o kilka procent rocznie), pojawiają się także w sąsiedztwie ludzkich osad i plantacji palm czy kauczuku.

W Czerwonej Księdze Gatunków Zagrożonych, publikowanej przez Międzynarodową Unię Ochrony Przyrody (IUCN), nosacze posiadają status „zagrożonych wyginięciem". Autorzy wpisu do księgi opierają się jednak na mocno przestarzałych danych – z 2008 r. Według nich w ciągu czterech pokoleń (ok. 40 lat) populacja nosaczy zmalała o ponad połowę. Obecna sytuacja tych małp może być bardziej dramatyczna. W 1997 r. liczebność nosaczy oszacowano na 114 tys. osobników. W 2004 r. było to już zaledwie 15 tys. osobników. Mimo podjętych wysiłków na rzecz ich ratowania obecnie na wolności mogło zostać przy życiu poniżej 10 tys. nosaczy – być może zaledwie kilka tysięcy.

Największym zagrożeniem jest dla nich deforestacja – wywołana pożarami lub działalnością człowieka. Nosacze są raczej wybrednymi małpami i niełatwo ada-

ptują się do nowego środowiska. Z tego powodu hodowanie ich w ogrodach zoologicznych to karkołomne przedsięwzięcie. Osobnym i narastającym w wyniku utraty siedlisk wyzwaniem jest drapieżnictwo (mniejszy areał oznacza większą trudność w ukryciu się przed niebezpieczeństwem). Nosacze padają łupem krokodyli, waranów leśnych (kilkumetrowych jaszczurek), drapieżnych ssaków (pantery sundajskiej) albo węży. Populacje, które żyją w pobliżu ludzkich osad i plantacji, mimo gwarantujących im ochronę przepisów bywają traktowane jako szkodniki i tępione.

Dawniej na nie polowano: dla mięsa, dla zdobycia przynęty w polowaniach na warany (i ich cenną skórę), a nawet dla pozyskania gromadzących się w ich jelitach skamieniałych resztek pokarmu – tzw. bezoaru, wykorzystywanego w tradycyjnej medycynie chińskiej.

W niewoli dożywają 25 lat. Nie wiemy, ile przeciętnie przeżywają w warunkach naturalnych.

### Harem albo wojsko

Stada nosaczy, liczące od kilku do ponad dwudziestu osobników, mogą przybierać dwojaką strukturę społeczną. Podstawowa nosacza rodzina składa się z jednego samca i większego bądź mniejszego haremu samic (zwykle około pięciu, ale czasami nawet ośmiu czy dziewięciu) – oraz gromadki młodych. Kilka takich haremów może łączyć się w większe stada. Choć niektórzy badacze przyjmują, że u nosaczy rodzi się nieco więcej samic niż samców (co miałoby sens z ewolucyjnego punktu widzenia – „inwestycja" w córkę z większym prawdopodobieństwem „zwróci się" w postaci wnuków), ich organizacja życia społecznego sprawia, że wiele samców nie może założyć własnego haremu. Te (przynajmniej chwilowo) reprodukcyjnie wykluczone samce łączą się w niezbyt trwałe, zhierarchizowane, jednopłciowe grupy – ciągle zasilane przez podrostków, opuszczających rodzinne stada.

Również dojrzewające płciowo (w wieku około 5 lat) samice porzucają rodzinny harem, co pozwala uniknąć chowu wsobnego. Zaobserwowano także międzyharemowe transfery dorosłych samic, choć samce starają się pilnować swoich żon. Nie każda niezadowolona z partnera samica skłonna jest narażać się na jego gniew ze względu na panujący w tym gatunku dymorfizm płciowy. Samce osiągają wagę nawet 20-25 kilogramów; samice są dwukrotnie lżejsze.

Nie jest jasne, czy należące do jednego haremu samice tworzą jakąś hierarchię – w literaturze pojawiają się na ten temat sprzeczne doniesienia. Samce alfa – przywódcy haremów – pełnią rolę mediatorów i policjantów. Gdy dochodzi do napięć pomiędzy dorosłymi samicami albo samicami i młodzieżą, samce starają się przywrócić porządek. Albo robią to dobrze, albo nie mają zbyt wiele pracy, ponieważ agresja wewnątrzgrupowa u nosaczy wydaje się utrzymywać na niskim poziomie. Ostrzejsza może być rywalizacja między samcami. W jednej publikacji znaleźć można opis przejęcia haremu przez intruza, okupiony śmiercią byłego samca alfa, czemu towarzyszyło dzieciobójstwo. Triumfator po kilku dniach od pozbycia się rywala zaatakował jedną z jego byłych partnerek i jej niemowlę. Matka i inne samice z tej samej grupy próbowały powstrzymać napastnika, ale zareagowały za późno – wystarczyły dwa ugryzienia w szyję i twarz; cały dramat rozegrał się w ciągu kilku sekund. Kilka dni później samice z przejętego haremu, w tym matka zabitego dziecka, podporządkowały się nowemu liderowi i zaczęły z nim kopulować.

Nosacze nie są terytorialnymi małpami – zdarza się, że dwie różne grupy zajmują dokładnie ten sam areał. Większość dnia oraz noce spędzają na drzewach. W ciągu doby podróżują w poszukiwaniu pokarmu od 500 do 2000 metrów (w zależności od zasobności środowiska). Zjadają bogate w minerały rośliny wodne oraz liście, rzadziej owoce, nasiona i kwiaty, a szczyt ich ucztowania przypada między godziną 15 i 17. Krótko potem wskakują na drzewo, najlepiej wysokie, o rozłożystych gałęziach i rosnące blisko wody, i zasypiają, by we śnie strawić spożyte rośliny, które muszą ulec fermentacji w ich przewodzie pokarmowym. Bliskość wody pomaga w ochronie przed wspinającymi się na drzewa drapieżnikami. Nosacze dobrze pływają, potrafią nawet nurkować i wstrzymywać oddech przez kilkanaście minut – więc w kryzysowej sytuacji mogą ratować się ucieczką na drugi brzeg rzeki.

### Nosy nie kłamią

Nosacze należą do podrodziny gerez, której inni przedstawiciele występują w różnych regionach Azji i Afryki. Linie ewolucyjne prowadzące do gerez oraz ludzi rozdzieliły się jakieś 25 mln lat temu. Niewiele wiemy o dalszych ewolucyjnych losach nosaczy i ich najmłodszych przodkach. Niektórzy badacze uznawali nosacze za prymitywne małpy, ze względu na wiele cech fizycznych oraz niespotykaną u innych rodzajów gerez liczbę chromosomów (24 pary), ale w ostatnim czasie takie interpretacje zostały zakwestionowane.

Swoją cechę rozpoznawczą – olbrzymie nosy – samce nosaczów zawdzięczają presji doboru płciowego lub wewnątrzpłciowej rywalizacji. Hiroki Koda i współpracownicy w analizie opublikowanej w ubiegłym roku na łamach „Science Adavances" wykazali szereg ciekawych korelacji: pomiędzy długością nosów, rozmiarami ciała, wielkością jąder i liczebnością partnerek. Ponadto zauważyli, że większe nosy wpływają na brzmienie wokalizacji – a więc nosacze potencjalnie mogą ocenić długość nosa innych osobników na podstawie nie tylko wzroku, ale i słuchu, co zapewne przydaje się w leśnym środowisku.

Istnienie wspomnianych korelacji oznacza, że długie nosy są, jak mawiają ewolucjoniści, uczciwymi sygnałami jakości genetycznej ich posiadacza. Samice mogą lgnąć do samców o dłuższych nosach, ponieważ gwarantują lepsze geny (co oznacza potencjalnie większy pożytek z partnera, a także bardziej atrakcyjnych synów – o dłuższych nosach, preferowanych przez inne samice). Z drugiej strony, wielkie nosy mogą sygnalizować innym samcom, że oto trafili na niebezpiecznego rywala – takiego, któremu lepiej zejść z drogi, zamiast ryzykować, że spuści im lanie.

Zatem to, co dla samców nosaczy powinno być powodem do dumy, dla internautów stało się największym czynnikiem memotwórczym. Ale dobrze, że mamy przynajmniej te memy. To wkrótce może być jedyne, co nam po nosaczach pozostanie. ©℗

**ŁUKASZ KWIATEK porozmawia z Grzegorzem Chlastą w środę 16 stycznia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

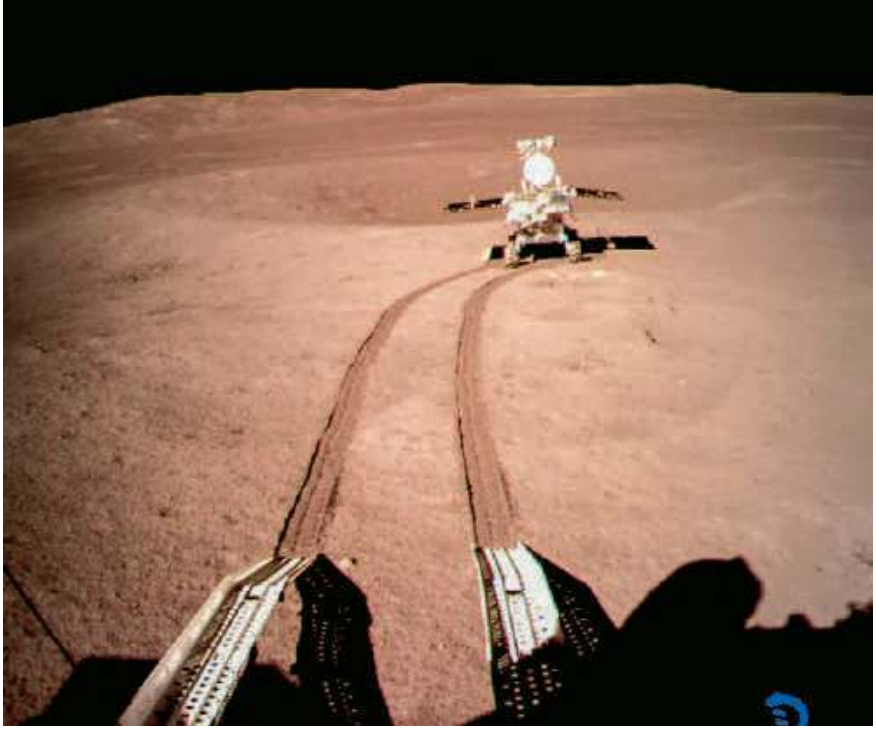

ICHPL IMAGINECHINA / EAST NEWS

*Księżycowy łazik chińskiej sondy Chang'e 4.*

# Walka na niebie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

**Międzynarodowa rywalizacja o podbój Układu Słonecznego wkracza w nową fazę. Na prowadzenie w tym wyścigu wysunęli się Chińczycy.**

Na Księżycu właśnie kiełkuje kartofel. Ziemniak ważny, nawet historyczny. Istotny ze względów daleko wykraczających poza losy jednej bulwy czy nawet poza kwestie nauki, techniki i badania kosmosu. To kartofel geopolityczny. Choć w tym kontekście można się pokusić o określenie „lunapolityczny".

Nasiona ziemniaka znajdują się wewnątrz niewielkiego, metalowego cylindra na pokładzie chińskiego lądownika Chang'e 4. W pojemniku są też jaja jedwabników. Kiedy rośliny wykiełkują, a owady się wyklują, mają stworzyć zamknięty ekosystem, w którym rośliny dostarczają tlenu i pożywienia, a owady – dwutlenku węgla. To pierwszy eksperyment z księżycowym rolnictwem. Ważny, jeśli astronauci mają kiedykolwiek zamieszkać na Księżycu na stałe.

Największym eksperymentem było jednak samo lądowanie sondy. Chang'e 4 jako pierwszy w historii pojazd wylądował po stronie Księżyca odwróconej od Ziemi. Dotąd nikt tego nie zrobił, bo Księżyc działa jak tarcza odcinająca sygnały radiowe i – co za tym idzie – łączność.

Żeby obejść problem, Chińczycy najpierw wystrzelili satelitę Queqiao – przekaźnik, który „widzi" i Ziemię, i miejsce lądowania sondy. Znajduje się on w tzw. Punkcie L2: miejscu na orbicie, w którym grawitacje Ziemi i Księżyca oddziałują tak, że satelitę można „zaparkować".

Poza biologicznymi, chiński lądownik ma prowadzić badania geologiczne: wylądował w głębokim na 12 km kraterze Aitken. Sonda ma też posłuchać kosmosu: ten sam efekt, który odcina łączność z Ziemią, sprawia, że to może najlepsze w Układzie Słonecznym miejsce dla radioastronomii – bo jedyne, do którego docierają tylko ciche echa radiowego jazgotu ludzkości.

Ale nawet jeśli lądownik, co mało prawdopodobne, nic nie odkryje, jego przylot jest wydarzeniem historycznym. W chwili, w której Chang'e 4 dotknął Księżyca, Chiny z kosmicznego naśladowcy zmieniły się w lidera. Po raz pierwszy chiński program kosmiczny zrobił coś jako pierwszy.

Początkowo chiński kosmos przegrywał z tamtejszą polityką. Pierwszy satelita, którego start planowano na rok 1959, ostatecznie wystartował dopiero w 1970, bo jego konstruktorzy padli ofiarą rewolucji kulturalnej. Ale w XXI w. kosmos stał się dla tej samej polityki cennym narzędziem. W 2003 r. Chiny wystrzeliły w kosmos człowieka. W 2011 r. – pierwszą stację kosmiczną. Drugą – w 2016. W 2018 r. Chiny wystrzeliły na orbitę aż 39 rakiet. O 8 więcej niż USA, o 19 więcej niż Rosja. Przyszłość zapowiada się jeszcze ambitniej: za dwa lata chiński łazik ma wylądować na Marsie. W latach 30. XXI w. chińscy astronauci mają dołączyć do Chang'e na powierzchni Księżyca.

„Chiny są na drodze do stania się silnym kosmicznym narodem" – mówił w wywiadzie dla państwowej CCTV konstruktor Chang'e 4, Wu Weiren. Wyczyny takie jak ostatnie lądowanie są przez chińskie władze doceniane, wzmacniają mocarstwowy wizerunek. Ale nie tylko o wizerunek chodzi.

„Chiny mają bardzo klarowne poglądy na te sprawy. Porównują Księżyc do Morza Południowochińskiego i Tajwanu, a asteroidy do Morza Wschodniochińskiego – mówi „Guardianowi" Malcolm Davis, analityk z Australian Strategic Policy Institute. – W jasny sposób przenoszą geopolitykę na to, co dzieje się w kosmosie, a my powinniśmy na to zwracać uwagę".

Co ważne, chiński program kosmiczny nie jest, w przeciwieństwie do programów USA, Europy, Indii czy nawet Rosji, programem z gruntu cywilnym. Obawy przed militaryzacją są tym, co sprawia, że Chińczycy są w kosmosie osamotnieni: nie biorą istotnego udziału w międzynarodowych misjach, nie są udziałowcem Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, a europejskie czy amerykańskie podmioty też jedynie symbolicznie angażują się w misje realizowane przez Pekin.

Militaryzacja budzi obawy analityków nawet w kontekście lądowania Chang'e. Nie chodzi o lądownik, towarzyszący mu łazik ani tym bardziej o ziemniaki. Chodzi o wspomnianego satelitę komunikacyjnego. Jeff Gossel, najwyższy rangą analityk wywiadowczy Grupy Analizy Kosmicznej i Rakietowej amerykańskich sił powietrznych, przestrzega, że Queqiao może być elementem kontrolnym systemu broni ukrytej przed obserwatorami za tarczą Księżyca.

„Za Księżycem można schować broń, która w każdej chwili może wystrzelić w stronę Ziemi i uderzyć w nasze satelity wczesnego ostrzegania. Nie mielibyśmy pojęcia, co się stało, bo nikt nie patrzy w tamtą stronę" – przestrzegał.

Fantastyka? Kosmiczne kartofle też miały nią być. ©

ANDRZEJ

# Stasiuk:
## *Krótkie dni*

Ciemno się robi. Nadeszły te dni, gdy światła jak na lekarstwo. Zanim rozjaśni się na dobre, zaczyna się ściemniać. Tak jakby cała akcja przenosiła się do wnętrz. Do sześcianów wypełnionych elektrycznym blaskiem. Człowiek się ścieśnia. Jak mysz pod miotłą siedzi wobec potęgi ciemności. Nawet miasta nie pomagają. Wymyślone po to, by chronić nas przed naporem kosmosu, wyglądają jak ponure więzienia. Te wszystkie trupie twarze, te wnętrza jak martwe akwaria, ci wszyscy ludzie, którzy przypominają wrogów albo zbiegów, ten kamień lśniący od czarnej wilgoci, kałuże jak lustra zimnej smoły. Chłodne piekło jednym słowem.

No więc pomyślałem, że sobie powspominam. Tak, żeby diabelskiemu mrokowi się wymknąć. Powspominam na przykład te dni, gdy zmrok nadchodził wraz z sennością. Po całym dniu jazdy przez bezludne okolice, gdy słońca było aż nadto. Wstawało nad horyzontem i czarne cienie skał i wzgórz kładły się na ziemi o piątej nad ranem. Trzeba się było odwracać na bok, by pierwsze promienie nie świeciły w twarz. Albo przeczołgać się razem z karimatą i śpiworem w miejsce, gdzie blask dotrze dopiero za jakiś czas. Blask wszechogarniający, nieugaszony, sięgający ponad nieboskłon, blask jak kosmiczne bóstwo. Blask błogosławiony i odbierający rozum, gdy wstawał dzień po dniu. Blask bez cienia na niekończącej się bezdrzewnej wyżynie. Przez tydzień albo dwa. Piach nasiąknięty blaskiem. Blask odbity od szklistozielonych wzgórz. Blask, który wypił wodę i zostały tylko kamienie i biały osad soli. Suchy blask, od którego pod koniec dnia się ślepnie. Blask, przed którym nie ma schronienia. Blask, który oczyścił powietrze i widać na dziesiątki kilometrów góry, jeziora, doliny. Skaliste grzebienie na grzbietach wzgórz wydają się bliskie, ale gdy zmierzamy w ich kierunku, wcale się nie przybliżają. Blask, który nas oddala od rzeczy. Więzi nas w swoim wnętrzu i zatapia. Trzeba rozłożyć przeciwsłoneczny dach zamontowany na aucie, żeby zrobić kawę i ją wypić, a ona w ogóle nie stygnie. W osadach psy leżą pod murami i w miarę, jak cień się skraca, podkurczają łapy. Gdy stajesz przy mulistej studni, nie wiadomo skąd zjawiają się zwierzęta. Nadciągają zza wzgórz, z głębi suchego stepu i czekają u betonowego koryta, aż ktoś je napoi. Pod niebieskim niebem, po którym wiatr goni czasem chmury, ale z chmur prószy jedynie niewidzialny, gorący pył.

Dobrze jest myśleć o tym wszystkim w ciemne i krótkie dni. Za oknem jest mrok i mróz, i słychać, jak huczy wiatr. O siódmej wstanie szary świt, który nie zamieni się w dzień, tylko będzie trwał aż do tak samo szarego zmierzchu. I trzeba będzie kopać przejście wśród zasp zaraz po wyjściu z domu. Światła jest tyle, że śnieg ledwo niebieszczeje. Na szczęście jest drobny, lekki i sypki, więc to kopanie idzie bez specjalnego wysiłku. Trochę tak, jakby się szuflowało trochę gęściejsze powietrze. Jakby się przebijało wskroś półmroku. Jakby się drążyło tunel przez ciemne dni, gdzieś na drugą stronę. Tak sobie to wyobrażałem. Że w kierunku światła ryję niczym zimowy kret, niczym spragniony blasku nornik, jak wąż, który pragnie wydostać się z zimnych podziemi i pełznie mrocznymi korytarzami w stronę krain, gdzie słońce wybiela kamienie i szkielety.

Sprawdzam pogodę w tamtych stronach. Jest minus 38, ale świeci słońce. Domyślam się, że śniegu tam jak na lekarstwo, albo i w ogóle. Skutą ziemię porasta stara trawa i zwierzęta próbują przetrwać przeżuwając bure badyle i zlizując szron. Nocą od północnego wiatru chronią wydmy i niski, kamienny mur. Gdzieś u brzegów Altan Els. Pasterze w butach z filcu poruszają się bezgłośnie jak duchy. Gdy nie wieje, aż po horyzont zalega cisza. I na to wszystko, na bezdźwięczny bezkres, spada z góry bezlitosny blask. Jak złoty lód. I myślę, że w takie ciemne dni jak ten bardzo chciałbym tam być. ©

# Prośba o pomoc

Drodzy Czytelnicy, serdecznie prosimy o wsparcie dla ukochanego bratanka naszej przyjaciółki.

Krystian ma 9 lat. W lipcu wykryto u niego bardzo rzadki u dzieci złośliwy nowotwór wątroby z przerzutami do płuc. W domu czeka na Krystiana młodsza siostra, Nikola. Nowotwór jest bardzo zaawansowany, a przerzuty do płuc wykluczają chirurgiczne leczenie oraz przeszczep. Jedyną nadzieją jest immunoonkologia, ale leczenie to jest bardzo kosztowne.

Krystianowi można pomóc, dokonując wpłaty na konto:

**Fundacja Pomocy Dzieciom i Osobom Chorym „Kawałek Nieba"**
**Bank Santander 31 1090 2835 0000 0001 2173 1374;**
**tytuł: „1692 pomoc dla Krystiana Krupy".**

Można też przekazać 1% podatku dla Krystiana, w formularzu PIT wpisując KRS 0000382243, a w rubryce „Informacje uzupełniające – cel szczegółowy 1%" – „1692 pomoc dla Krystiana Krupy".

Więcej informacji na **powszech.net/krystian**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# OJOJOJ!

**JOANNA KULIG, AKTORKA:**

W szkole teatralnej wchodziłam w emocje rozbuchane. Jak płacz, to na full, jak radość, to też na full, a jak smutek, to dół totalny. Te amplitudy mnie wykańczały. Aktorstwo potrzebuje granic.

Na sesji nagraniowej w Studiu im. Agnieszki Osieckiej w Warszawie – charytatywny projekt na rzecz Centrum Psychoonkologii UNICORN w Krakowie.

BEATA MAJKA / ZENTRALA.PL

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

*Krzysztof Globisz, Anna Dymna i Joanna Kulig na kopcu Kościuszki w Krakowie podczas akcji „Każdy ma swoje K2", wrzesień 2018 r.*

**KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jakie to emocje być pierwszą osobą w historii polskiej kinematografii, która odbiera nagrodę dla najlepszej aktorki europejskiej?**

**JOANNA KULIG:** Prawdę powiedziawszy, aż się wystraszyłam odzewem ludzi w Polsce. EFA to w końcu europejskie Oscary, a „Zimna wojna" dostała ich aż pięć. Więc w pewnym sensie cieszę się, że jestem teraz w Ameryce, z dala od centrum szumu medialnego, bo chyba nie dałabym rady podołać wszystkim oczekiwaniom. Ale jednak radość jest ogromna, co widać na filmiku, który wrzuciłam na Instagram, zaraz po ogłoszeniu werdyktu. Darłam się ze szczęścia jak szalona, aż w pewnym momencie przestraszyłam się, że może dojść do wcześniejszego porodu.

**Ameryka jest ziemią obiecaną dla aktora?**

Amerykę miałam już okazję z grubsza poznać, bywając tu w ciągu ostatnich lat. Ale faktycznie „taką" Amerykę widzę po raz pierwszy. Sukces „Zimnej wojny" wrzucił mnie na głęboką wodę. Nie zdawałam sobie sprawy, jak potężne stoją przede mną wyzwania. A chciałam się tu wyciszyć. W ogóle to do Ameryki przyleciałam wkurzona.

**Bo?**

Bo „Kler". Zanim wszedł na ekrany, dystrybutor wypuścił trailer, w którym, pomimo ustaleń, pojawiła się scena miłosna między moją bohaterką a Trybusem, granym przez Roberta Więckiewicza. No i zaczęła się nagonka w stylu: „Kulig i seks z księdzem". Jedna wielka obrzydliwość, która odcisnęła się piętnem na moim życiu prywatnym.

**„Kler" odniósł ogromny sukces frekwencyjny.**

Żeby wszystko było jasne – bardzo doceniam ten film, i bardzo się cieszę, że w nim zagrałam. Generalnie efekt, który wywołał, przerósł najśmielsze oczekiwania. Film sam w sobie może się podobać lub może oburzać, ale dzięki niemu w końcu pojawiła się publiczna dyskusja na temat współczesnego Kościoła w Polsce, jego bolączek, tematów tabu, tego, że w wielu miejscach ksiądz często jest traktowany z automatu jak święty. Często zapominamy, że na początku każdy jest po prostu człowiekiem. I jako człowiek ma prawo do chwil słabości. Ale są też rzeczy, do których żaden człowiek nie ma prawa.

**Nie wahała się Pani, czy przyjąć rolę po lekturze scenariusza „Kleru"?**

Dla mnie jako osoby wierzącej, która od Kościoła w swoim życiu dostała dużo, wzięcie udziału w tym filmie było bardzo trudną decyzją. Ale postanowiłam to zrobić, bo widzę w tym większy sens. Jako członek wspólnoty nie chcę, aby sytuacje, jakie widzimy w filmie, były zamiatane pod dywan. Aby dawały pożywkę przeciwnikom Kościoła. Jeśli któryś z członków Kościoła dopuszcza się nadużyć, to jak każdy z nas powinien ponosić za to cywilne konsekwencje. Dlatego uważam, że dopóki mury kościelne będą ochroną dla tych, którzy przekraczają granice, to będzie narastać oderwanie Kościoła od wiernych. Niestety, we Francji kościoły pustoszeją, a w Holandii przerabiane są na restauracje.

**W „Klerze" bardzo ludzki jest ten duet, który tworzy Pani jako Hania z Robertem Więckiewiczem w roli księdza Tadeusza.**

Ich wątek to *love story*. Tadeusz pogubił się i zaczyna rozumieć, że źle wybrał, że kapłaństwo to nie jego powołanie. Podoba mi się, że *summa summarum* w tej relacji zwycięża miłość.

**Dodam: miłość do kobiety.**

Tak, bo to ona jest tu prawdziwa. Ale nie wyklucza przecież miłości do Boga.

**JOANNA KULIG** (ur. 1982 w Muszynce) jest aktorką. Po nieudanych egzaminach do Instytutu Jazzu w Katowicach dostała się za drugim razem na Wydział Wokalno-Aktorski w krakowskiej PWST. W teatrze debiutowała w „Śnie nocy letniej" w reżyserii Mai Kleczewskiej. W filmie zagrała m.in. w „Sponsoringu" Małgorzaty Szumowskiej, „Klerze" Wojciecha Smarzowskiego, „Siedmiu uczuciach" Marka Koterskiego. Za rolę w „Zimnej wojnie" w reżyserii Pawła Pawlikowskiego otrzymała Europejską Nagrodę Filmową dla najlepszej aktorki. „Zimna wojna" obecnie uczestniczy w wyścigu do nominacji do Oscara dla filmu nieanglojęzycznego.

**Jak katolicka część Pani rodziny zareagowała na ten wątek?**

Różnie. Głównie ze względu na *trailer* i żenujące nagłówki w brukowcach. Nie da się ukryć, że był to ciężki moment w moim życiu, gdzie spłycone zostało to, co nigdy spłycone być nie powinno. A ja sama zostałam uprzedmiotowiona. Na szczęście spotkała mnie też masa dobrych opinii, od tych, którzy postanowili film zobaczyć. Dla wielu, tak jak i dla mnie, był to film ważny społecznie. I gdy np. okazało się, że kino w Krynicy nie będzie „Kleru" wyświetlać, ludzie na seanse jeździli do Nowego Sącza. Wytworzył się efekt „zakazanego owocu".

**W Stanach udało się Pani wyciszyć po tych wszystkich trudach?**

Zdecydowanie wyhamowałam w okresie świątecznym. Zresztą postanowiliśmy z mężem, że to będzie nasz święty czas odpoczynku, że spędzimy wigilię tylko we dwójkę. Ale nagle okazało się, że w tym czasie do Los Angeles przylatuje z Warszawy 12-osobowy Jazz Band Młynarski-Masecki. Więc oczywiście wszyscy wpadli do nas na kolację. Zebrały się u nas bodaj 24 osoby. Ja z Rafałem Zawieruchą przeczytaliśmy na głosy fragment Pisma Świętego, był opłatek, no i 12 potraw. A później wszyscy śpiewaliśmy kolędy! Sąsiedzi musieli być w szoku.

O północy poszliśmy na pasterkę. Może to ta Kalifornia, może to słońce, ale nastawienie księży jest tu niesamowite. Ich otwartość, radość z posługi jest zaraźliwa. Np. w pierwszych ławkach zauważyliśmy grupę mężczyzn, którzy wyglądali, jakby co dopiero wyszli z klubu nocnego. Swoim strojem i wyglądem zdecydowanie nie pasowali do kościoła. A ksiądz ogłosił, że z powodu Bożego Narodzenia postanowił przejść się plażą i zaprosić na mszę wszystkich napotkanych bezdomnych. Efekt był taki, że przyszło ponad dziesięć osób. I dla nikogo nie miał znaczenia ich wygląd czy orientacja seksualna. Od całego kościoła dostali gromkie brawa. Taka to była piękna afirmacja miłości do bliźniego. Podczas komunii wszystkie osoby, które z różnych względów nie mogą do niej przystąpić, były zapraszane, aby zamiast niej otrzymać błogosławieństwo. A pod koniec mszy ksiądz zachęcał wiernych: „Gdyby coś wam się nie podobało w naszej wspólnocie, piszcie do nas maile. To dla nas bardzo ważne, gdyż potrzebujemy dowodów, czy dobrze działamy".

**Do którego księdza napisałaby Pani maila?**

Do tych wszystkich, którzy zapomnieli, że tyle od nich zależy. Że swoją postawą, częstymi ocenami wiernych, tak naprawdę mogą ich zniechęcić do Kościoła i do samego Boga. Ale wysłałabym też sporo maili pełnych wdzięczności. W Krakowie byłam związana z kościołem dominikanów, którzy mają olbrzymią wiedzę i świadomość psychologiczną. A to właśnie wiedza może skierować wiernego na drogę odpowiedniej pomocy, której zwyczajnie potrzebuje. Sama byłam świadkiem takich sytuacji. Zwłaszcza brakuje tego na wsiach, gdzie sporo jest wiernych z problemami. I oni, poza kontaktem z księdzem w trakcie spowiedzi, nie mają komu o nich powiedzieć. Gdyby wtedy mogli dostać wskazówkę, co zrobić np. w przypadku alkoholizmu czy przemocy obecnej w domu, ich życie mogłoby ulec poprawie. I dlatego ważne jest, aby do kościoła trafiali ludzie z prawdziwym powołaniem, a nie ludzie z problemami, czego przykładem jest Trybus z „Kleru".

**To problem kluczowy.**

Gdy byłam dzieckiem, Kościół stanowił dla mnie centrum wszechświata: życie kręciło się wokół parafii. Należałam do Dziewczęcej Służby Maryjnej. Zbierałyśmy datki na misje i ubrania dla ubogich. Czytałyśmy prasę katolicką, na mszę przygotowywałyśmy śpiewy, w Boże Ciało, specjalnie ubrane, szłyśmy w procesji. Dlatego bardzo dobrze wspominam swoją parafię, to ona tworzyła pewnego rodzaju rytualność, dawała silne poczucie przynależności. Myślę, że to dzięki temu potrafiłam w dorosłym życiu oprzeć się na wartościach chrześcijańskich i przejść dojrzałą transformację wiary.

A, i za czasów Dziewczęcej Służby Maryjnej poznałam mnóstwo religijnych pieśni.

**Ma Pani ulubione?**

Wielkopostne, bo są smutne i przeszywające. Lubię też pieśni pogrzebowe, dają inny wymiar. Lubię chorał gregoriański, w ogóle lubię sakralną muzykę. We Francji bywałam w kościele, gdzie grał kwartet smyczkowy. Kiedy oprawa muzyczna jest świetnie przygotowana, to wywołuje silne uczuciowe doznania. Bo za tymi gitarowo-oazowymi śpiewami to nie przepadam. W ogóle, gdy grają byle jak i fałszują, to aż się nie chce modlić. W kościołach brakuje mi dobrej muzyki.

**Jeszcze się nie dowiedziałam, czy w tej Ameryce udało się Pani wyciszyć.**

Tak. I nie reaguję na brednie, które wypisują polskie brukowce, między innymi ile to ja tu dziennie zarabiam. Tworzą iluzję mojego luksusowego życia i prowokują ludzi do zazdrości. Przecież przyjechałam tu w ciąży, nigdzie nie gram, jestem tu tylko po to, by wziąć udział w kampanii oscarowej „Zimnej wojny".

**„Zimna wojna" jest już na short liście do Oscara i walczy tylko z ośmioma filmami, w tym z „Romą", za którą Alfonso Cuarón w 2018 r. w Wenecji odebrał Złote Lwy.**

Trzymam kciuki, by „Zimna wojna" otrzymała nominacje za najlepszy film nieanglojęzyczny. Oczywiście wszyscy rozpisują się o moich szansach na nominację w kategorii aktorskiej, ale powiedzmy sobie szczerze – to raczej się nie zdarzy. Boję się tylko rozczarowania tych wszystkich, którzy w wyobraźni już mi tego Oscara przyznali.

**Jak wygląda promowanie „Zimnej wojny"?**

Wszystko zaczęło się od New York Film Festival, jednego z najważniejszych festiwali po Wenecji, Cannes, Toronto. Odbywały się na nim liczne pokazy w wyselekcjonowanych kinach, a potem spotkania z członkami Akademii. Zapoznaje się z nimi, podaje się im rękę, bo jak się poda ↦

↦ rękę, to jest większa szansa, że cię zapamiętają. Je się lunche z członkami Akademii, rozmawia, czasem są to spotkania na stojąco, czasem na siedząco.

W kampanii chodzi o to, by jak największa liczba członków Akademii zobaczyła „Zimną wojnę". Mówię do męża, że czuję się jak panna młoda na wiecznym weselu, która chodzi między stołami, przy jednym się zatrzyma i trochę pogada, potem podejdzie do drugiego i do trzeciego – próbuje zapoznać wszystkich ważnych gości. Ale taki system ma też swoje uzasadnienie: w kluczowym momencie, czyli podczas głosowania, członkowie zapisują tytuły i nazwiska na czystej kartce. Muszą więc w odpowiednim momencie pamiętać, kto wywarł na nich największe wrażenie. A przecież filmów walczących o uznanie są setki.

**I to Pani wytrzymuje...**

Faktycznie całość przypomina wielki wyścig. No, a po drodze trzeba minąć całą masę wywiadów czy konferencji. Generalnie jest to niezwykłe doświadczenie, przy okazji bardzo wyczerpujące, bo obowiązki promocyjne mam niemal każdego dnia. Amerykanie mówią na to *awards season* i zalecają, by po Oscarach zrobić sobie miesiąc wakacji.

Ale są tu też chwile zupełnie magiczne. Na przykład prywatny pokaz filmu „Quincy" zorganizowany dla zaledwie 20 osób, na którym miałam przyjemność się znaleźć. No i był też sam Quincy Jones. Powiedziałam mu, jak bardzo jestem wzruszona tą sytuacją; że pochodzę z polskich gór, gdzie kupowałam kasety z Michaelem Jacksonem czy Steviem Wonderem, których był producentem i aranżerem, a teraz siedzimy sobie ramię w ramię i swobodnie rozmawiamy. Quincy za to opowiadał mi o spotkaniu z Janem Pawłem II i Lechem Wałęsą. I nagle dotarło do mnie, że siedzę obok żywej legendy, człowieka, który stworzył podwaliny pod współczesną muzykę! Na pokazie była jeszcze 14-letnia dziewczynka. Quincy pytał ją, co sądzi o tym filmie. To jest 85-letni pan, ale wciąż niesamowicie ciekawy świata; chce być na bieżąco i iść z duchem czasu.

Takie małe pokazy dają szansę, by spokojnie porozmawiać. Bo na dużych festiwalach, jak Cannes, to są wyłącznie pokazy, czerwony dywan, flesze, a potem każdy rozjeżdża się w swoją stronę.

A! I jeszcze taki element promocji dla członków Akademii w Los Angeles: ogromne filmowe plakaty zachęcające, by głosować na najlepsze zdjęcia lub najlepszego aktora.

> Najważniejsze dla mnie aktorki to te komediowe, pamiętane z dzieciństwa: Irena Kwiatkowska i Hanka Bielicka **– osobowości same w sobie, energetyczne i autentyczne.**

**Ja bym głosowała na ścieżkę dźwiękową, która w szczególny sposób buduje nastrój „Zimnej wojny".**

Już po pokazach na festiwalu w Cannes dziennikarze oszaleli na jej punkcie. Wszyscy dopytywali, co to za piosenka to „Ojojoj". Dlatego tak bardzo się cieszę, że w końcu ukazał się soundtrack z „Zimnej wojny", o który w swoim felietonie upominał się nawet Elvis Costello. To niezwykłe, że nasza muzyka ludowa wydobywa z widzów takie emocje. W charakteryzatorni przed Q&A na Festiwalu AIF malowała mnie makijażystka z Anglii, a czesał fryzjer ze Stanów. I kiedy ta dwójka słyszała dochodzące z sali kinowej pieśni Mazowsza, miała łzy w oczach. „Zimną wojnę" wtedy po raz pierwszy wyłącznie wysłuchałam i w pełni doceniłam, jakim majstersztykiem jest ścieżka dźwiękowa – dobrze dobrane i zinterpretowane utwory tworzące dramaturgiczną całość.

**Dla mnie majstersztykiem jest scena, kiedy Zula po francusku śpiewa „Dwa serduszka" i uświadamia sobie, że na obczyźnie musi zawierać wyłącznie artystyczne kompromisy.**

I może dlatego nie wytrzymała, i pomimo wszystkich konsekwencji postanowiła zostawić Wiktora i wrócić do Polski? A może wróciła dlatego, że nie zniosła emigracji, faktu, że z bycia gwiazdą w Polsce musiała stać się nieznaną wokalistką w nowym otoczeniu, bez przyjaciół, języka i tego, co znała? Myślę, że właśnie dlatego Zula tak bardzo się wszystkim podoba, to prawdziwa *femme fatale*, kobieta, z którą nigdy nie osiągnie się spokoju. Ale będąc w Stanach już kilka miesięcy, zdarzało mi się myśleć o Zuli i może trochę bardziej ją zrozumieć? Na zewnątrz może wyglądać, że świetnie mi tu idzie, ale w środku czasem bardzo się denerwuję, chcąc wszystkiemu sprostać najlepiej, jak potrafię. Mam w sobie dużo radości, ale też tyle samo strachów i kryzysów.

W życiu artystycznym jest sporo nieprzewidywalności – angażujemy się w coś, myślimy, że będzie świetnie, a później okazuje się, że to wcale świetne nie jest. Im dłużej jestem aktorką, tym wyraźniej widzę, że dobrze jest się skupiać na prostych rzeczach. Sukces ma swoją cenę... Po pobycie w Cannes długo nie mogłam dojść do siebie. Zadzwoniła do mnie Agatka Kulesza, a ja się popłakałam. Ona mówi: „Asia, to jest normalne, sukces jest fajny, ale jednocześnie potwornie stresuje. Popłacz sobie, wiem, co przeżywasz. Wyłącz telefon, wypierz firanki i umyj okna. To zawsze pomaga".

**Posłuchała Pani?**

Posłuchałam. Ale przeszło mi dopiero, gdy zaczęłam oglądać w telewizji programy o delfinach. Nie umiałam się sama przed sobą przyznać, że cieszę się, ale że jednocześnie mam ogromny psychiczny stres. Prawa sobie nie dawałam, by puścił – bo jakbym mogła to zrobić, skoro wszyscy wkoło nim żyją.

**Emocje dla aktora mogą być szkodliwe?**

Bardzo. Na pewnym etapie swojego życia byłam emocjonalnie rozchwiana, podobnie jak Zula. W szkole teatralnej cały czas wchodziłam w emocje rozbuchane. Jak płacz, to na full, jak radość, to też na full, a jak smutek, to dół totalny – te amplitudy mnie wykańczały. Aktorstwo potrzebuje granic.

Dobrodziejstwem jest to, że ułożyło mi się życie prywatne. Mój mąż jest zrównoważonym człowiekiem. Śmiejemy się: on mówi, że całe życie myśli o przyszłości, a ja myślę o przeszłości.

**Kto Panią nauczył stawiania tych aktorskich granic?**

Krzysiek Globisz był moim mentorem. Gdy grałam w swoim pierwszym filmie, pisałam do niego esemesy, gdy z czymś nie mogłam sobie poradzić. A on mi dawał takie wskazówki. W szkole teatralnej miałam zajęcia z Anną Polony. To twarda i jednocześnie elektryzująca osobowość, przepełniona pięknem i zamiłowaniem do poezji. Na zajęciach z Polony patrzyłam

na nią z zachwytem i myślałam: „Boże, ta kobieta to jest fenomen". Pamiętam, że zawsze na zajęciach dobierała mi specyficzne role: ponieważ jestem energiczna, kazała mi grać np. flegmatyczkę. Gdy wykonałam szybszy krok, natychmiast mnie karciła. Ale najwięcej nauczyłam się od aktorów w Starym Teatrze. Do dziś mam kontakt z Anią Dymną, Dorotą Segdą, Małgorzatą Hajewską-Krzysztofik. Bardzo ważny jest dla mnie kontakt z kobietami dojrzałymi i doświadczonymi.

**Jeszcze jakieś ważne kobiety?**

Mama. Gotowała dla dzieci w przedszkolu. Chciała być pielęgniarką, ale nie udało się – ma kłopoty ze wzrokiem. Ale zawsze chętnie i z oddaniem opiekowała się starszymi osobami, swoimi rodzicami czy dziadkami. Mama jest ciepła i ma dużo serca. Była wychowana w ogromnej otwartości na świat. I chociaż jest osobą religijną, nigdy w swojej wierze nie była radykalna. A z tym przecież różnie bywa, szczególnie w górach... Myślę, że po mamie odziedziczyłam empatię, optymizm, ale też pracowitość plus pozytywne nastawienie do człowieka.

**A ważne aktorki?**

Komediowe, te z dzieciństwa: Irena Kwiatkowska i Hanka Bielicka – osobowości same w sobie, energetyczne i autentyczne. I jeszcze Lauren Bacall – ona była moją inspiracją w budowaniu postaci Zuli w „Zimnej wojnie". Paweł Pawlikowski prosił, bym oglądała dużo filmów z Bacall. Gdy byłam zbyt ekspresyjna, to przywoływał mnie do porządku: „Aśka! Lauren Bacall!". Od razu zmieniał mi się rodzaj energii do gry, przez to postać zyskała ciekawszy odcień.

**A gdy Pani myśli o 2019 roku, to co pierwsze przychodzi Pani do głowy?**

Że stanę się matką, jak wszystko dobrze pójdzie. Zaczyna się nowy rozdział mojego życia, przepełnia mnie radością. Chciałabym w 2019 r. pobyć w Krakowie. W tym mieście spędziłam 11 lat, tu skończyłam średnią szkołę muzyczną i szkołę teatralną, tu grałam w Starym Teatrze. W Warszawie jestem od siedmiu lat, ale głównie skupiam się na pracy. Duchowo i artystycznie związana jestem z Krakowem, w ogóle z Małopolską. Tam są moje korzenie, tam się wszystko zaczęło.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

*Jerzy Radziwiłłowicz w „Burzy Williama Szekspira" w reżyserii Pawła Miśkiewicza, Teatr Narodowy w Warszawie, 28 listopada 2018 r.*

# Co wie Prospero

DARIUSZ KOSIŃSKI

**Kiedy myślę o tym najważniejszym teatrze – miejscu poznania teatru jako sposobu życia – to pierwsza twarz, która staje mi przed oczyma, należy do Jerzego Radziwiłowicza.**

Gdy znajomi pytali, na co idę do warszawskiego Teatru Narodowego, odpowiadałem – na „Burzę". Błąd tyleż zasadniczy, co powszechny wśród widzów. Przedstawienie Pawła Miśkiewicza nosi bowiem tytuł „Burza Williama Szekspira" – tyleż zagadkowy, co przewrotny. W nieuważnych umacnia on bowiem fałszywe oczekiwania na inscenizację kanonicznej sztuki napisanej przez Williama Szekspira. Przedstawienie, owszem, ma z nią wiele wspólnego, ale jej scenicznym wykonaniem zdecydowanie nie jest. Nie jest też jej adaptacją, przepisaniem, remiksem czy czym tam jeszcze. ↦

### Szekspirze – duchu!

↦ Nie jest obojętne, że „Burza Williama Szekspira" przechodzi tu przez scenę teatru, w którym Jerzy Grzegorzewski wystawiał w 2002 r. „Morze i zwierciadło" Wystana Hugh Audena z Jerzym Radziwiłowiczem grającym rolę Kalibana. Nie jest też obojętne, że przestrzeń przedstawienia powtarza układ zastosowany przez Piotra Cieplaka w „Milczeniu o Hiobie" (2013) z miejscami dla widzów ustawionymi w głębi sceny i aktorami grającymi w jej przedniej części, a mającymi za plecami ogromną jamę widowni Sali Bogusławskiego. Oba te spektakle nawiedzają przedstawienie Miśkiewicza, choć pewnie silniej obecny w nim jest duch coraz bardziej legendarnego Grzegorzewskiego, który na tej scenie wyreżyserował też znakomite przedstawienia Szekspirowskie.

Więc ta „Burza Williama Szekspira" jest przede wszystkim teatrem. Wypowiedziany głośno sąd taki natychmiast staje się płaski, bo nasze przyzwyczajenie łatwo sprowadza teatr do udawania, masek, gier i komedii. Tymczasem teatr, którego wciąż najważniejszym twórcą i prawodawcą jest William Szekspir, to nie tylko iluzyjne intrygi i udawane emocje, a nawet nie – teatr świata i komedia przez świat grana. To sposób, w jaki żyjemy i w jaki to życie sobie samym przedstawiamy, usiłując je zrozumieć. Chodzi o teatr dotykający prawdy, przed którą się odruchowo wzdrygamy – że nie mamy innego sposobu przeżywania siebie niż teatr, granie ról, które w równym stopniu są nasze, co cudze – już kiedyś jakoś zagrane.

Burza, którą wywołał William Szekspir, zasadza się na stałym odkrywaniu wspaniałości i grozy tego arcyludzkiego dramatu, próbach wyzwolenia się z niego, próbach odnalezienia jakiegoś „sobą", którym przecież tak bardzo pragniemy być, i nieustannym odkrywaniu, że „sobą" też jest rolą (co wcale nie znaczy, że nie istnieje). Burza wywołana przez Szekspira to nawiedzający nas w szczególnym miejscu i czasie proces wątpienia o sobie, popatrywania w bezimienną przepaść, by w ostatecznym rozrachunku pogodzić się z nią, albo akceptując reguły gry, albo stając się takim, jakim każdy jest stworzony – śmiertelnym i bezbronnym.

### Histrionem agit

Mówię to wszystko biedząc się z doborem i układem słów, i czując, że każde z nich mnie zdradza. Bo wiedza o teatrze-Burzy nie jest do wypowiedzenia. Jest jedynie do przeżycia i przemyślenia przez teatralne doświadczenie. Właśnie po to konieczny jest teatr – byśmy się nie zagubili w spektaklu, ale przez podwojenie zobaczyli, jak bardzo ludzko jesteśmy na scenie.

**Jest aktorem naszej tożsamości zbiorowej.** Tak się złożyło, że ucieleśniał społeczne wyobrażenia, stając się niemal upostaciowieniem tego, co nasza zbiorowość przeżywała.

Zasadą kompozycyjną „Burzy Williama Szekspira" jest właśnie umieszczenie w teatralnej ramie tworzonej przez Prospera (Jerzy Radziwiłowicz) i Ariela/Kalibana (Mariusz Benoit) przedstawienia „komedii ludzkiej" brawurowo rozgrywanej przez chór marynarzy. W ich muzyczno-akrobatyczne popisy inscenizujące metaforyczne punkty kulminacyjne ludzkiego spektaklu (choreografia Dominiki Knapik) wpisane są typowe wątki Szekspirowskiej „Burzy": błazna i zbrodniarza. Oba zaczerpnięte z i zaczepione o dramat „Burzy", ale oba poszerzone i podniesione na poziom syntetycznie rozumianych postaci wiodących. Głównym zbrodniarzem jest oczywiście Antonio (Jan Frycz), który – w przeciwieństwie do pierwowzoru Szekspirowskiego – własną zbrodnię unieważnia, całkiem logicznie i politycznie ją wyjaśniając. Głównym błaznem zaś jest Trinkulo (Mariusz Bonaszewski), prowadzący wątek wzięty z tekstu „Burzy" (parodystycznie nieudana próba zamachu na Prospera) jako jeden z wielu podobnych, przesuwających podstawowe pytania w stronę unieważniającej serio filozoficznej farsy. Obaj znakomici aktorzy pojawiają się po obu stronach podwojonej teatralnej ramy, wkraczając do akcji jeszcze przed rozpoczęciem zbiorowego spektaklu marynarzy. I choć biorą w nim udział i grają w nim ważne role, to zdają się przynależeć też do świata Prospera, który widowisko męskich ciał i głosów ogląda z boku, sam będąc jego inicjatorem.

To właśnie w tym momencie w grę wchodzą osoby i biografie czterech wybitnych aktorów Teatru Narodowego, których doświadczenie i aktorska wiedza stawiają nie tyle ponad, ile poza spektaklem męskiego chóru. Doświadczenie i dorobek niemal natychmiast i same przez się wypychają ich z tej komedii ludzkiej. Nawet jeśli się w nią włączają, to nie mogą się w niej do końca zatracić tak, jak partnerujący każdemu z nich rodzaj *alter ego*: zbrodniczy Sebastian (Kamil Mrożek) i błazeński Stefano (Arkadiusz Janiczek). To oni podejmują działania, podczas gdy Antonio i Trinkulo pozostają w ambiwalentnej pozycji widzów-aktorów – popychających do czynu, ale głównie po to, by czyn ten sami mogli zobaczyć. Wewnątrz świata marynarskiego teatru są badawczymi i myślącymi widzami na takiej samej zasadzie, jak Prospero zdaje się nim być wobec całego przedstawienia.

Ta podwójność aktora i widza wprost wpisana jest w rolę Mariusza Benoit, która opisana jest jako Ariel/Kaliban. Jednak precyzyjniej byłoby powiedzieć, że postacią podstawową jest tu Ariel – aktor, grający na rozkaz Prospera Kalibana, ale też przyjmujący inne role. O ile Prospero zdaje się pozostawać poza światem spek-

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

*„Burza Williama Szekspira”, Teatr Narodowy w Warszawie*

taklu, zajmując pozycję jego twórcy, który każe innym działać i w tym sensie może być uznany za figurę reżysera, o tyle Ariel zdaje się uosabiać wiedzę aktora. Patrząc na Mariusza Benoit trudno mieć wątpliwości, że jest to wiedza równie głęboka i wszechstronna, co gorzka. Markując zaledwie stany i emocje odgrywanych postaci, aktor pokazuje, z jaką łatwością można je uwiarygodnić. Nie czyni tego jednak, sprawiając wrażenie arcymistrza zniechęconego do sztuki, którą opanował. Gdy wychodząc do oklasków, trzyma się z boku i ledwo pochyla głowę z wyraźną niechęcią do tej superteatralnej i superżałosnej (zwłaszcza w kontekście tego przedstawienia) sytuacji – jego postać sceniczna zdaje się zlewać z aktorską.

Wszystkie elementy teatru-Burzy pozostają we władzy i wykonaniu mężczyzn. Spektakl marynarzy to popis męskich ciał, męskiej sprawności i męskich ról. Wiek męski, wiek klęski ucieleśniać się zdają Prospero i Ariel. W tym świecie mężczyzn w kryzysie (obecnym lub przeszłym) całkowicie odmiennym głosem i ciałem jest Miranda, grana przez Maję Kleszcz, znakomitą wokalistkę i kompozytorkę, niegdyś współtwórczynię Kapeli ze Wsi Warszawa. Ta postać też jest podwójna, ale na innej zasadzie niż te męskie. Miranda wydaje się unikać roli, wymykać fabule, którą prowadzić musi za nią Ariel przejmujący chwilami jej kwestie. Przechodzi przez dramat Prospera, ale w zasadzie nie bierze w nim udziału. Swoją obecnością i głosem pozbawia go uroszczeń uniwersalności, w imię których za obowiązujący, ludzki uznaje się męski punkt widzenia. Miranda sprawia, że nie da się powiedzieć, iż cały świat gra komedię. Ona gra coś zupełnie innego.

Być może dlatego Mirandy nie zobaczymy w finale – także podwojonym. Najpierw scena oczekiwana: Prospero mówi do widzów słynny Szekspirowski epilog, błagając o przebaczenie i uwolnienie przy pomocy oklasków. I oklaski się rozlegają. Ale to nie koniec – na scenę wychodzi wtedy pełen energii młodziutki Ferdynand (Daniel Namiotko) dźwigający ciężkie kłody, by służyć Mirandzie. Na jego miłosne oświadczenia nie ma kto odpowiedzieć, więc na sugestię Prospera czyni to (zgrywając się lekko) Ariel. Komedia trwa dalej. Nie ma uwolnienia, jest tylko kończący całość przedstawienia opis powolnego starzenia się ciała, wrastania w grób.

### Prospero 2019

W tym pomnożonym i rozwarstwionym teatrze burzowym najważniejszy jest Prospero. Gra go Jerzy Radziwiłowicz, może jedyny aktor, o którym mogę powiedzieć, że to aktorski mistrz teatralny mojego pokolenia, czy też – ostrożniej – środowiska, które mnie teatralnie ukształtowało. Między Raskolnikowem w „Zbrodni i karze” Andrzeja Wajdy (1985) a Henrykiem w „Ślubie” Jerzego Jarockiego (1991) rozciąga się najdosłowniej moja krakowska edukacja teatralna, której istotną część stanowiły lekcje aktorstwa scenicznego Jerzego Radziwiłowicza. Jeśli był wtedy, w epoce przed Krystianem Lupą, w Krakowie jakiś aktor „kultowy”, to był nim właśnie on. Ten kult nie miał w sobie przy tym nic z jakiegoś uwielbienia dla „gwiazdy” czy zakochania w uwodzącej osobowości (to dotyczyło wówczas raczej Krzysztofa Globisza). To był kult dosłowny – związany z poczuciem obecności jakiejś mocy i tajemnicy.

Nie ulegało wątpliwości, że Radziwiłowicz jest mistrzem rzemiosła, że ma niezwykłą inteligencję i mądrość, która pozwalała mu na przykład na dramatyczne rozegranie Papkina z „Zemsty” w reżyserii Wajdy (1986).

Ale to nie było wszystko. Dla niektórych profanów aktorstwo Radziwiłowicza posługującego się wówczas w bardzo szczególny sposób swoim niezwykłym głosem, stosującego charakterystycznie zrytmizowaną i intonacyjnie niezwykle napiętą dykcję, było sztuczne i manieryczne. Myśmy w tej „sztuczności” widzieli sedno jego oryginalności i artyzmu – sztuki aktora, który nie przestając ani na chwilę grać na najwyższym poziomie, jednocześnie i w tym samym momencie sam się sobie przygląda. I nas do tego przyglądania się nie jemu – ale sobie – zmusza. Tak było w Raskolnikowie i Henryku, kiedy wydawało się, że każdy monolog mówiony jest nie do widzów, ale pojedynczo do każdej i każdego z nas (pamiętam jak dziś ten dreszcz: Henryk mówi do mnie!). Jeśli więc mówię o teatrze – miejscu poznania teatru jako sposobu życia – to wciąż pierwsza ↦

↦ twarz, która staje mi przed oczyma, to twarz Jerzego Radziwiłowicza.

A przecież również jest to aktor naszej tożsamości zbiorowej. Tak się złożyło, że co najmniej kilka razy ucieleśniał społeczne wyobrażenia, stając się niemal upostaciowieniem tego, co zbiorowość przeżywała lub – wyobrażała sobie, że przeżywa. Oczywistą postacią tego typu jest Mateusz Birkut najpierw z „Człowieka z marmuru", a potem z „Człowieka z żelaza". Mniej oczywistą, a dla mnie osobiście o wiele ważniejszą był i jest Antoni Żyro z „Bez końca" Krzysztofa Kieślowskiego, wspaniałego filmu, w którym sfotografowała się umykająca wszelkim politykom historycznym prawda czasu, jaki mnie ukształtował. W jego ostatniej scenie grany przez Radziwiłowicza Gustaw stanu wojennego mówi do swojej Maryli jedno słowo: „Hej". Słowo na granicy, za którą jest już tylko cisza.

Proszę się więc nie dziwić, że gdy protagonista mojego teatru gra Prospera, to nie jest to dla mnie tylko wspaniała rola. Nie miałem wątpliwości, że taka będzie i że jednocześnie aktor nie zrobi niczego, co mogłoby uchodzić za efektowne i popisowe. Podobnie jak Mariusz Benoit, Radziwiłowicz gra niezwykle oszczędnie, ledwo sygnalizując, co mógłby zagrać na strunach oczekiwań widowni i jej wyobrażeń o wielkim aktorstwie.

Jego Prospero wydaje się zmęczony i smutny, jakby ta wiedza, którą zdobył, nie przynosiła mu żadnej pociechy ani nadziei. Ale nie wyrzeka się jej. Wprawdzie nie zostanie uwolniony przez swoich widzów, ale też nie przestanie reżyserować swojego aktora i nie da upragnionej wolności. Wie, że uwolnienie od teatru jest niemożliwe, a tę wiedzę zdaje się akceptować ze spokojem, choć bez radości. Jest mistrzem tej gry, ale tego mistrzostwa nie potrzebuje i chyba nie chce już pokazywać. Popisują się przed nim i przed nami młodzi i bardzo młodzi kandydaci na następców. On już nie. Raczej patrzy niemal bez emocji, nawet bez ciekawości. Na nas i na siebie też.

Nam, zagrywającym się na śmierć w naszych codziennych dramatach, może właśnie najbardziej brakuje dziś tego spojrzenia. © DARIUSZ KOSIŃSKI

**BURZA WILLIAMA SZEKSPIRA** – *reż. Paweł Miśkiewicz, scen. Barbara Hanicka, muz. Maja Kleszcz, Wojciech Krzak, choreogr. Dominika Knapik, Teatr Narodowy w Warszawie, premiera 1 grudnia 2018 r.*

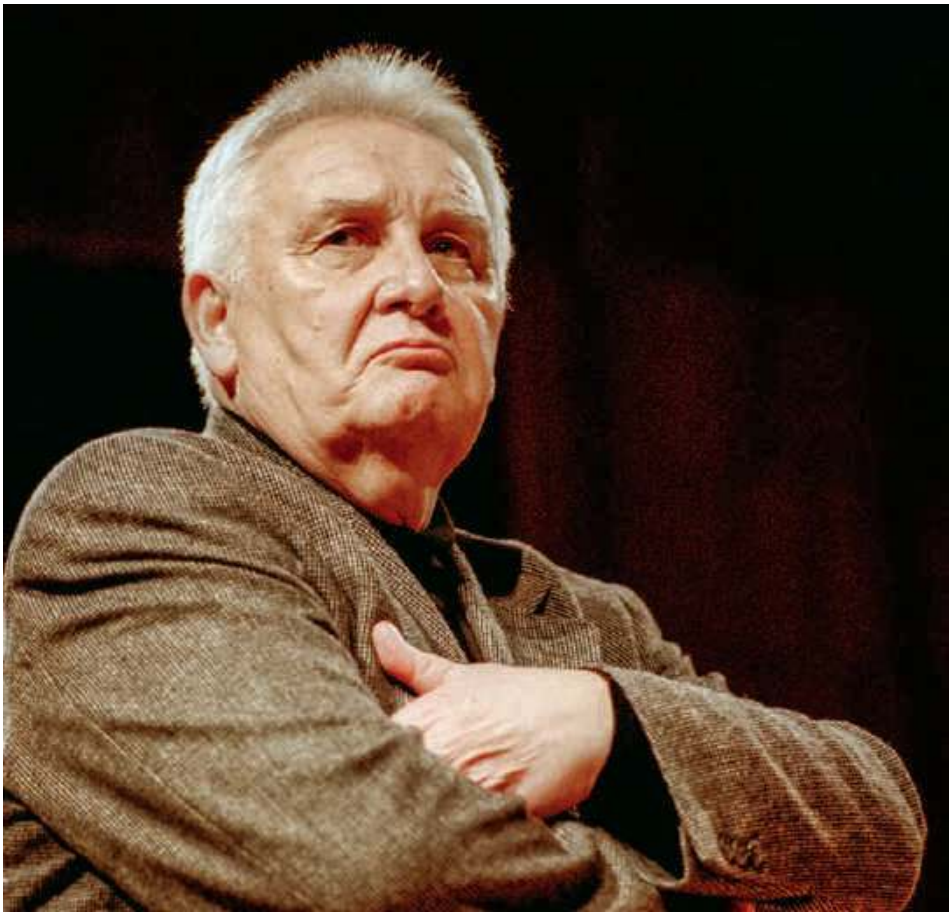

JAN ROLKE / FORUM

*Henryk Mikołaj Górecki, Warszawa, 30 marca 2003 r.*

# Geniusz patrzy spode łba

DOROTA KOZIŃSKA

**Kiedy Górecki wyprzedzał na listach przebojów Stinga i Kurta Cobaina, zarzucano mu prymitywizm i działanie na przekór „najgłębszym tradycjom" sztuki europejskiej. Tymczasem on zawsze robił swoje, po swojemu i dla siebie.**

Kiedy umarł w 2010 r., we wszystkich mediach zaroiło się od nekrologów, wspomnień i krótkich szkiców biograficznych.

Dziennikarze sypali jak z rękawa anegdotami i ciekawostkami. Pisali, że Henryk Mikołaj Górecki nie udzielał wywiadów. Że w Katowicach mieszkał w tym samym bloku, co Edward Gierek. Że do czasu niespodziewanego sukcesu III Symfonii często klepał biedę. Że po tym sukcesie trafił na sprokurowaną przez „Telegraph" listę geniuszy twórczości i zajął na niej 32. miejsce, *ex aequo* z Prince'em, wyprzedzając m.in. Meryl Streep i Davida Bowiego.

### Wybitny idzie na zatracenie

Kiedy umarł, składaliśmy właśnie ostatni listopadowy numer „Ruchu Muzycznego". Znalazły się w nim obszerne relacje z XVI Konkursu Chopinowskiego, ostatnie komentarze do zakończonego przeszło miesiąc wcześniej Festiwalu Warszawska Jesień, recenzja z polskiej premiery „Pasażerki" Wajnberga. O zmarłym kompozytorze tylko dwie wzmianki: króciutki tekst „In me-

moriam" pióra Beaty Bolesławskiej-Lewandowskiej, która wkrótce potem zabrała się do pracy nad znakomitą książką „Górecki. Portret w pamięci", oraz znacznie mniej oczywista notka od redakcji, w której nie padło nawet jego nazwisko: „W dziewiętnastym wieku sławny twórca umierał we własnym domu, otoczony bliskimi i przyjaciółmi. W jego odchodzeniu dostrzegano patos. Taki obraz ostatnich chwil życia Chopina uwiecznili malarze Kwiatkowski i Barrias. Maskę pośmiertną zdjął rzeźbiarz Clésinger. W naszych czasach wiele się zmieniło. Ostatnie chwile życia twórcy wydają się pozbawione patosu. Umiera w szpitalu, w otoczeniu aparatury medycznej, często w samotności – odwiedziny chorych są ograniczone w czasie. Po zgonie nikt go nie fotografuje. Nie lubimy patrzeć śmierci w oczy. Dawniej ciała zmarłych wystawiano na widok publiczny, dziś ogląda się najwyżej ich opakowania – trumny. A przecież śmierć – niezależnie od tego, jak się ją traktuje – zawsze jest taka sama. I zawsze zostaje żal po wybitnym twórcy, który odszedł".

Z redakcyjnego wstępniaka – jakkolwiek był wstrząsający – wiało jednak chłodem. Moi mistrzowie i starsi koledzy po fachu mieli do Góreckiego stosunek co najmniej niejednoznaczny.

Po polskiej premierze (1977) odkrytej po latach zupełnie gdzie indziej III Symfonii nie szczędzili mu ciętych uwag. Ludwik Erhardt zwierzał się z irytacji, „gdy w miejsce przeżycia i wzruszenia wdarła się – nuda". Sarkał, że „wyrafinowana prostota okazała się prymitywizmem". Tadeusz A. Zieliński poszedł jeszcze dalej. Zarzucił Góreckiemu, że jego „wybitny" talent „zatraca się niestety coraz bardziej", że kompozytor działa „na przekór najgłębszym tradycjom europejskiej (i chyba nie tylko!) sztuki i kultury, w której treść i forma, wzruszenie i kunszt artystycznej wypowiedzi, szczerość i wytrawny gust nie były nigdy (na szczęście) wartościami alternatywnymi".

### Motyw śląski

Dziennikarze odrabiający żmudną pańszczyznę po śmierci Góreckiego nie zagłębiali się raczej w archiwa Warszawskiej Jesieni. Dla nich Górecki był fenomenem: twórcą kojarzonym z dętą powagą sal filharmonicznych, który dzięki III Symfonii niespodziewanie wyprzedził (1992) na światowych listach przebojów Stinga i Kurta Cobaina. Zaczęli grzebać w jego życiorysie i kreować go na nierozumianego już w dzieciństwie Heńka Muzykanta, przedwcześnie osieroconego przez matkę, która grywała na fortepianie, i odpędzanego od klawiatury przez ojca-kolejarza, który sam przecież także lubił sobie pomuzykować. Nieśmiałego i schorowanego chłopca, który talent odziedziczył po rodzicach i przez to był niejako na muzykę skazany.

Tylko że Górecki urodził się i wychował na Śląsku, gdzie amatorskie koncertowanie „było taką tradycją, mąż się uczył na pianinie, moja szwagierka się uczyła na pianinie, teraz mój synek też się uczył, ale zbagatelizował sobie, moja córka się uczy i umie grać, nie wyobrażamy sobie innego życia, zawsze tam, gdzie śpiewają, tam jest pokój i radość" – jak wyznał jeden z rozmówców językoznawczyni Jolanty Tambor, współautorki cenionej monografii gwary śląskiej. W tej wspólnocie – gdzie podziały językowe, narodowościowe i religijne szły często w poprzek rodzin – najłatwiej było dogadać się przez muzykę.

Po wojnie do wielokulturowego obrazu regionu dołożyły się władze PRL, wysiedlając z Górnego Śląska kilkaset tysięcy rodowitych Ślązaków. Żeby przeciwdziałać rzekomej „germanizacji" regionu, zakazywano posługiwania się gwarą w szkołach i urzędach. „Hitlerowscy synowie" musieli zmagać się z naporem napływowych „goroli", czyli ludności nieśląskiej, z którą siłą rzeczy zaczęli się jakoś układać i z wolna wchodzić także w osobiste i zawodowe relacje. Do skomplikowanej górnośląskiej układanki przybyła nowa kategoria „krojcoków" – mieszańców, którzy rozpoczęli trudny proces asymilacji w zamkniętej społeczności Ślązaków.

I znów z pomocą przyszła muzyka. Razem z falą ludności napływowej, która przyjechała na Śląsk za chlebem, do stolicy województwa ściągnęli wybitni artyści, którzy odtąd mieli tworzyć wizerunek Katowic jako jednego z prężniejszych ośrodków „rdzennie polskiej" kultury. Tuż po wojnie wznowiło działalność Śląskie Konserwatorium Muzyczne, jeszcze w 1945 r. przemianowane na Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną. Dotychczasowe grono profesorów Konserwatorium uzupełnili prominentni „gorole". Mniej więcej połowa ojców założycieli „polskiej szkoły kompozytorskiej" to absolwenci katowickiej PWSM.

Henryk Mikołaj Górecki studiował kompozycję u Bolesława Szabelskiego – „gorola", który uczył kontrapunktu w Śląskim Konserwatorium jeszcze przed wojną. Twórca III Symfonii wychował rzeszę młodszych kompozytorów, m.in. kojarzonych z tzw. pokoleniem stalowowolskim Eugeniusza Knapika, Andrzeja Krzanowskiego i Rafała Augustyna. Tradycja rdzennych mieszkańców – z którymi Górecki identyfikował się jako „Ślązak z dziada pradziada" – zaczęła się jednak rozmywać. Żeby Śląsk przetrwał, trzeba było zamknąć się w sobie, patrzyć spode łba na wszystko, co obce, niebezpieczne i złe.

### Koniec i kropka

Bez tego kontekstu nie sposób pojąć ani dzieciństwa Góreckiego, ani ewolucji jego muzyki, ani nawet tego, że w ucieczce przed sławą, która spadła na niego jak grom z jasnego nieba, zaszył się w równie zamkniętej podhalańskiej społeczności wsi Ząb nieopodal Poronina. Nie da się zrozumieć jego duchowości, nie da się rozgryźć specyficznego sposobu bycia. Górecki był w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu człowiekiem prostodusznym. To nieprawda, że nie udzielał wywiadów. Udzielał, ale posługiwał się w nich mową tak dosadną, że czasem nie dało się ich publikować (przykładem słynny wywiad rzeka, czyli plon długich rozmów z Grzegorzem Michalskim).

Pod wieloma względami był wyjątkowo dobrze oczytanym i osłuchanym samoukiem, który nie potrafił uporządkować nabytej wiedzy. Dlatego się złościł, kiedy mądrale próbowali powiązać jego utwory z jakimś erudycyjnym źródłem inspiracji. Protestował, kiedy łączono III Kwartet smyczkowy, opatrzony podtytułem „...pieśni śpiewają...", ze słynnym wierszem Wielimira Chlebnikowa o słońcach, które umierają gasnąc, trawie, która umiera schnąc, koniach, które umierają wydając po cichu ostatnie tchnienie, i ludziach, którzy umierają, śpiewając pieśni. W rozmowie z Marcinem Gmysem wyjaśnił, że gdy Kwartet był już gotowy, szukał „jakiegoś tytułu. I wtedy nieoczekiwanie i trochę przypadkowo przypomniał mi się ów doskonale wcześniej znany czterowiersz".

Nieżyjący już Krzysztof Droba wspominał, że zagadnięty o ulubionych poetów, Górecki potrafił wymienić jednym tchem Peipera i Konopnicką. Na pytanie ↦

↦ muzykologa Luke'a Howarda, dlaczego zadedykował III Symfonię swojej żonie, odpalił, „a niby komu miałbym ją zadedykować?". Koniec i kropka. Czas trwania około 55 minut. Nie znosił objaśniać własnej twórczości.

Słynął z wybuchowego temperamentu i zapalczywych wypowiedzi, które często okazywały się rozpaczliwą próbą obrony przez atak. Obraził się kiedyś śmiertelnie na Dorotę Szwarcman, która napisała, że wiele osób uważa go za minimalistę. Wiele jego zachowań i odzywek interpretowano jako impertynencję, choćby krępujący obyczaj zwracania się do ludzi po nazwisku, który Górecki uważał za tyleż dowcipny, co pieszczotliwy dowód poufałości, umiejscowiony w tym samym rejestrze języka, co słynne „Chłopie kochany!", za którym po jego śmierci tak tęsknił Marek Moś.

Kiedy „zdradził" awangardę, polska krytyka zarzucała mu prymitywizm i działanie na przekór „najgłębszym tradycjom" sztuki europejskiej. Tymczasem on zawsze robił swoje, po swojemu i dla siebie, na co pierwszy zwrócił uwagę brytyjski muzykolog Adrian Thomas, wybitny znawca współczesnej muzyki polskiej, autor książki „Górecki", wydanej przez Oxford University Press w 1997 r. i zaledwie rok później opublikowanej przez PWM w przekładzie Ewy Gabryś. Thomas dogłębnie analizuje wczesną twórczość Góreckiego, na czele z „nieujarzmionymi" Scontri, przełomowy Refren z 1965 r., w którym kompozytor po raz pierwszy „zatrzymał czas" w swojej muzyce, jego więzi z tradycją, widoczne nie tylko w III Symfonii, ale też w zaćmionej przez nią Drugiej oraz słynnym Koncercie klawesynowym. Podejmuje pierwszą, ostrożną i bardzo dyskretną próbę powiązania dorobku Góreckiego z elementami jego biografii.

> Górecki miał krępujący wielu obyczaj zwracania się do ludzi po nazwisku, który uważał za tyleż dowcipny, co **pieszczotliwy dowód poufałości.**

Kolejną, bardzo udaną, przeprowadzi doktorantka Thomasa, wspomniana już Beata Bolesławska-Lewandowska, w swoim „Portrecie w pamięci" (2013), zestawionym z przeszło 40 rozmów z rodziną, uczniami, przyjaciółmi, analitykami, wykonawcami i promotorami twórczości Góreckiego. Z jej książki wyłoni się wielowarstwowy, pełen zaskakujących sprzeczności wizerunek kompozytora – przejmujący dowód, jak trudno zrozumieć twórcę wybitnego i często w tej wybitności samego jak palec.

### Po łebkach

Piszemy o tym, ponieważ ukazała się książka „Górecki. Geniusz i upór", autorstwa Marii Wilczek-Krupy, anonsowana jako „pierwsza pełna biografia jednego z największych kompozytorów epoki", napisana żywym, bardzo współczesnym językiem, obfitująca w sugestywne opisy epizodów z życia Góreckiego. Przy wnikliwej lekturze okazuje się jednak w większej mierze kompilacją cytatów z wcześniejszych publikacji oraz wypowiedzi zawartych w pełnometrażowym filmie dokumentalnym Violetty Rotter-Kozery „Please Find – Henryk Mikołaj Górecki" niż plonem własnych poszukiwań autorki.

Co gorsza, cytatów i wypowiedzi czasem przeinaczonych, efektownie „podkręconych" i błędnie zinterpretowanych. To nie „legenda mówi", że Kazimierz Serocki prosił Stefanię Woytowicz „na klęczkach", by jednak wystąpiła na polskiej premierze III Symfonii. Tę anegdotę opowiedział Bolesławskiej-Lewandowskiej kompozytor Włodzimierz Kotoński, używając popularnego w swoim pokoleniu tropu retorycznego, który po prostu oznacza, że Serocki bardzo prosił śpiewaczkę o zmianę decyzji. Los Heleny Błażusiakówny, autorki słów wyrytych w zakopiańskiej katowni na ścianie celi nr 3, bynajmniej nie „pozostał nieznany". Pięć lat po wojnie Helena wyszła za mąż za Romana Pawlika z Wadowic i zmarła w 1999 r. Wiersz Chlebnikowa nie jest mottem III Kwartetu – poza tym autorka cytuje go bez podania nazwiska tłumacza, którym jest Adam Pomorski (nie zwracając przy okazji uwagi, że brzmienie ostatniej linijki nie pokrywa się z brzmieniem podtytułu kompozycji Góreckiego). Przykłady podobnych zaniechań, błędów i nadinterpretacji można by mnożyć.

Wygląda na to, że po fali zainteresowania reportażem literackim polscy wydawcy wylansowali modę na biografie twórców. Niestety, na „pierwszą pełną biografię" Góreckiego przyjdzie nam jeszcze poczekać. Książki Adriana Thomasa i Beaty Bolesławskiej-Lewandowskiej są pod wieloma względami pełniejszym, a z pewnością bardziej rzetelnym źródłem wiedzy o kompozytorze. Praca biografisty wymaga żmudnych poszukiwań, konfrontacji materiałów i znajomości kontekstu historycznego. Może warto, by na skomplikowane losy Henryka Mikołaja spojrzał ktoś z dystansu. I poświęcił Góreckiemu tyle czasu i zapału – popartego rozległą wiedzą – ile Chopinowi poświęcił Alan Walker, autor rewelacyjnej, wydanej w ubiegłym roku biografii „Fryderyk Chopin. A Life and Times". Czyli ponad dziesięć lat. © DOROTA KOZIŃSKA

*Tytuł pochodzi od redakcji.*

TP

*Kluby „TP" zapraszają*

**KRAKÓW**
▪ **czwartek, 17 stycznia, godz. 18.00**
Spotkanie z okazji 95. urodzin Stefana Wilkanowicza „O życiu i działalności". Gośćmi będą prof. Andrzej Zoll, Tomasz Ponikło i Henryk Woźniakowski. Miejsce: sala KIK (ul. Sienna 5, parter).

**POZNAŃ**
▪ **czwartek, 17 stycznia, godz. 19.00**
Spotkanie „Mary Beard: Kobiety i władza". Gośćmi będą prof. Krystyna Bartol, prof. Dorota Piontek. Miejsce: Restauracja pod Niebieniem (Stary Rynek 64/65).

**WARSZAWA**
▪ **sobota, 19 stycznia, godz. 17.00**
Kawiarenka „Epoka człowieka? Jak patrzymy na przyrodę". Gościem będzie Adam Robiński. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# weź, wspieraj!

Kupując prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”, **bezpośrednio wspierasz** suwerenność naszego pisma, warunek rzetelnego i niezależnego dziennikarstwa. Wpłacając darowiznę na rzecz Fundacji Tygodnika Powszechnego, masz swój wkład w ważne projekty **reporterskie i wydawnicze**. Robiąc zakupy w internecie, możesz wspierać nasze działania nawet **bez wydawania pieniędzy**.

TYGODNIK POWSZECHNY

Wejdź na powszech.net/prenumeruj i wybierz najlepszą dla siebie opcję prenumeraty – roczną, kwartalną, z wydaniami specjalnymi, w opcji ekonomicznej lub priorytetowej.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

fanipay

fanimani.pl

**Pod artykułami na www.TygodnikPowszechny.pl znajduje się przycisk, dzięki któremu możesz szybko i w prosty sposób przekazać nawet symboliczną kwotę na rzecz naszej Fundacji, która przeznaczy ją w całości na projekty wydawnicze, np. magazyn „Książki w Tygodniku”. Liczy się każda wpłata!**

**To nic nie kosztuje! Twoja darowizna zostanie przekazana podczas zakupów w internecie, jeśli tylko zainstalujesz w przeglądarce wtyczkę Fani Mani i wskażesz Fundację Tygodnika Powszechnego jako tę, z którą sprzedający przez internet dzieli się zyskiem z transakcji. Sprawdź na powszech.net/wspieram**

## ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

## CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

| PRENUMERATA | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna (52 numery) | 339 zł | 369 zł |
| Półroczna (26 numerów) | 209 zł | 229 zł |
| Kwartalna (13 numerów) | 109 zł | 119 zł |
| Pokolenia | 300 zł | |

## NOWA OFERTA!

### „TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

| | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna + 4 wydania specjalne | 399 zł | 429 zł |
| Pokolenia + 4 wydania specjalne | 360 zł | |
| 4 wydania specjalne | 69 zł | |

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# Podwójny kamuflaż

ANITA PIOTROWSKA

**W najnowszym filmie Lars von Trier funduje nam bogato zdobiony traktat gnostycki. Nie tyle o moralnym upadku bohatera, co o sobie samym. O artyście skazanym na wieczne przekraczanie i wieczne niespełnienie.**

To właśnie proces niszczenia czyni z winogron dzieło sztuki" – peroruje bohater nowego dzieła Larsa von Triera. Jak przystało na film o seryjnym mordercy, nie będzie w nim mowy o wysokogatunkowym winie i tylko trochę o poczuciu winy. „Dom, który zbudował Jack" prócz chłodni, w której przechowuje się zwłoki ofiar, mieści wiele innych przepastnych pokoi, oznaczonych wielkimi nazwiskami i wielkoformatowymi hasłami. „(A)moralność sztuki" jest tym z nich, które zajmuje na równi głównego bohatera i reżysera.

Cyniczna opowieść o człowieku, który chciał być genialnym architektem, lecz staje się „artystą zbrodni", rozpisana została na rozdziały, w których wymuskany i pedantyczny Jack, grany przez Matta Dillona, opowiada o swych wyczynach dokonanych w ciągu 12 lat. Każdy kolejny jest coraz bardziej mistrzowski i coraz bardziej ryzykowny. W przeciwieństwie bowiem do mordercy doskonałego, który zaciera po sobie wszelkie ślady, morderca wyrafinowany, jakim mieni się bohater, pozostawia je wręcz na widoku – i mimo to uniknie kary. Co więcej, jako psychopata świetnie udający psychopatę, potrafi zmylić czujność przeciwnika, dzięki czemu zostanie uznany co najwyżej za nieszkodliwego oryginała. Dostrzegając w zbrodni akt swoistego piękna, traktuje ludzkie ciało niczym tworzywo, a zarazem dba o uwiecznienie tego aktu – widzimy, jak Jack starannie upozowuje i fotografuje swe ofiary.

Jest wśród nich pewna elegancka, acz nieznośnie gadatliwa kobieta (Uma Thurman), która na leśnej drodze poprosiła go o pomoc przy samochodzie. Jest samotna wdowa, biorąca Jacka za agenta ubezpieczeniowego, oraz matka z dwójką dzieci, którzy podczas polowania sami staną się celem łowcy. Bezpośredniość (i lekkość!), z jaką bohater odhacza kolejne swe trofea – co istotne, głównie kobiece, niektóre wcześniej makabrycznie okaleczone – a przy tym dosłowność, z jaką von Trier inscenizuje same zbrodnie, domagają się reżyserskiej eksplikacji. Ale nie byłby sobą, gdyby nie wygłosił jej wprost, tonem pedagogicznym i takimi mniej więcej słowy: „Oj, lubicie oglądać tak zwane chore filmy! W ten zapośredniczony, bezpieczny dla siebie sposób zaspokajacie po prostu swoje najgorsze instynkty".

Niby nic nowego pod słońcem. Podobnie nieprzyjemne rzeczy mówił już do nas z ekranu chociażby Michael Haneke. Była w tym jednak głębsza refleksja na temat deprawującej natury filmowego medium, tu zaś do pewnego momentu dominuje ton perwersyjnie figlarny, wyczuwalny również w autoironicznej grze Dillona. Jednocześnie twórca „Funny Games" nie przemawiał do nas z ambony aż tak wysokiej. Oto głównym słuchaczem opowieści Jacka okazuje się nie byle kto, bo sam Wergiliusz (w tej roli Bruno Ganz). To z nim nasz bohater udaje się w iście dantejskie destynacje, prowadząc dysputy na temat niebezpiecznych związków sztuki i zbrodni.

Najwięcej przykładów dostarczają im oczywiście nazistowskie Niemcy, ze swą monumentalną architekturą czy morderczym pięknem bombowców. Tym wycieczkom *ad Hitlerum* (którego Ganz grał kiedyś w „Upadku" i który przed kilkoma laty stał się bohaterem kompromitujących dla von Triera wypowiedzi) towarzyszy istna orgia obrazu. Zasadniczo „Dom, który zbudował Jack" sfilmowany został w stylistyce lat 70., bo głównie w tamtym czasie rozgrywa się jego akcja, ale „brudnym" zdjęciom fabularnym towarzyszy jeszcze jedna warstwa – nazwijmy ją eseistyczną – czarno-białe archiwalia, animacje, fragmenty znanych filmów i utworów literackich. Przygrywa do nich sam Glenn Gould, oczywiście nucąc pod nosem, a wtóruje mu David Bowie i jego przebój „Fame" z 1975 r. Co ciekawe, 20 lat później wyda on swój legendarny album „1. Outside", którego bohaterami będą m.in. genialni architekci XX wieku – nowi bogowie tworzący ze szkła i betonu dzieła nieludzkie. Dziwne, że von Trier zapomniał o tej płycie.

Sięgając po wypisy z ksiąg wszelakich, reżyser dobudowuje swemu domowi coraz to nowe piętra. Sugeruje, że szelmowski profil seryjnego mordercy sprzed kilku dekad to tak naprawdę pamflet na dzisiejszą Amerykę z rosnącym tam kultem broni i mizoginią, a nad tym wszystkim wznosi sążnisty moralitet o boskich ciągotach rodzaju ludzkiego. Rzekoma fascynacja czystą deprawacją okazuje się u Larsa von Triera grą o najwyższą stawkę – chodzi przecież o zbawienie duszy Jacka. Duń-

GUTEK FILM

*Matt Dillon w filmie „Dom, który zbudował Jack”*

ski reżyser prowokował tak już wielokrotnie. W „Idiotach” czy „Tańcząc w ciemnościach” również chwytał się formuły gatunkowej: łże-dokumentu czy musicalu, by zagrać na emocjach widza, a jednocześnie zbombardować go radykalnym czy pokrętnym przekazem. W najnowszym filmie funduje nam przede wszystkim bogato zdobiony, choć raczej kieszonkowy traktat gnostycki – nie tyle zresztą o moralnym upadku bohatera, co o sobie samym. O artyście skazanym na wieczne przekraczanie i wieczne niespełnienie.

Niezależnie bowiem od tego, czy zamyka nas w chłodni wraz z ciałami ofiar Jacka, czy wrzuca w swoje fantazje na temat piekła, von Trier doskonale zdaje sobie sprawę, jak wiele ma w sobie z tytułowego bohatera. A już na pewno ma jego twórczą megalomanię: pragnie być Boschem i Dantem, Goethem i Gouldem kina. I jakkolwiek z takiej postawy ostro w filmie pokpiwa, przy okazji sam wystawia sobie pomnik. Traktuje „Dom...” jako własne *opus magnum* albo testament, którym ponoć żegna się z dużym ekranem. Świetny to pretekst, by cytować obficie swe wcześniejsze filmy i pozwolić sobie na najbardziej strzeliste wywody. Mimo typowej dla von Triera skłonności do pozerstwa i strategii podwójnego kamuflażu (jest niczym Jack, który udaje, że udaje mordercę), warto jednak wybrać się z nim w tę szaloną, sadystyczną i nieco przydługą podróż. Przed nami opowieść wariata i to od nas w dużej mierze zależy, czy utrzyma do końca swój chwiejny cudzysłów. ©

**DOM, KTÓRY ZBUDOWAŁ JACK** *(The House That Jack Built) – reż. Lars von Trier. Prod. Dania/Francja/Niemcy/Szwecja 2018. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 18 stycznia.*

**WARTO ZOBACZYĆ W TV** [19 – 25 I]

## 1. Zbuntowany w zbożu

*Biograficzny, reż. Danny Strong, USA 2017, Cinemax, 20 I, 20.00, 21 I, 11.50, 22 I, 20.00, 23 I, 12.50, 25 I, 22.05*

**Życie J.D. Salingera z pewnością jest mniej znane niż jego książki. Film przypomina o wczesnych latach autora „Buszującego w zbożu”, kiedy to walczył na froncie II wojny światowej i stawiał pierwsze kroki jako pisarz. W rolę jego nauczyciela i mentora wcielił się okryty dziś niesławą Kevin Spacey.**

## 2. Berlińskie psy

*Serial, reż. Christian Alvart, Niemcy 2018, Netflix*

**Arabscy gangsterzy, sprzedajni policjanci, żądni krwi neonaziści, a do tego grający w niemieckiej drużynie narodowej tureccy i afrykańscy piłkarze – taki obraz dzisiejszego Berlina wyłania się z nowej produkcji naszych zachodnich sąsiadów. Ogląda się ją niczym pasjonujący mecz eliminacyjny, choć chwilami mocno ustawiony.**

## 3. Obietnica poranka

*Biograficzny, reż. Éric Barbier, Belgia/Francja 2017, Canal+ Film, 21 I, 20.00*

**Naprawdę nazywał się Roman Kacew, choć do historii literatury przeszedł głównie pod nazwiskiem Romain Gary. Adaptacja jego powieści, wydanej pod tym samym tytułem w 1960 r., opowiada o jego polskich korzeniach, karierze dyplomatycznej oraz o skomplikowanej relacji, jaka łączyła pisarza z matką. Gra ją rewelacyjna Charlotte Gainsbourg.**

## 4. Jeździec

*Dramat, reż. Chloé Zhao, USA 2017, HBO GO*

**Pochodząca z Chin młoda reżyserka czuje klimat westernu, lecz rewiduje tradycyjny amerykański etos. Bohaterem filmu jest chłopak z Dakoty, którego całym światem jest rodeo. Po ciężkiej kontuzji musi przyjąć wyzwania większe niż poskramianie dzikich koni oraz na nowo zdefiniować swoją rolę jako mężczyzny i kowboja.**

JAN

# Klata:
## *Zło wieje od Polski*

W Pradze całą noc straszliwie wieje. Nie mogę spać, myślami w Gdańsku, trzęsę się o życie ofiary, dygocę z bezsilności, nie wiem, jak w ogóle można spróbować zrozumieć ten zamach na Bogu ducha winnego człowieka, w trakcie światełka do nieba.

Słowa są bezradne wobec nocnego wiatru, wobec obrazów przemocy, w obliczu tragedii prezydenta Pawła Adamowicza i jego rodziny. Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy cięta w serce. Jedno jest dla mnie jasne w tym chaosie: najgorsze, co możemy zrobić, to zbagatelizować sianie nienawiści. Wtedy śmierć. A teraz obrazy, wszędzie obrazy, zarejestrowane na wieczną pamiątkę: nożownik pląsa na scenie, puszy się, triumfuje, rapuje swe zbójcze przesłanie. Kilkadziesiąt sekund. Wieczność. Jak tak można? Skąd to się bierze? Licho wie, co dalej, obyśmy nie realizowali jego scenariusza, oby nie na noże.

W Pradze potwornie wieje tej nocy. Zło wieje od Polski. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

# Lektor:
## *Miłosz mało znany*

▪ *Czesław Miłosz*, **W CIENIU TOTALITARYZMÓW. PUBLICYSTYKA ROZPROSZONA Z LAT 1945–1951 ORAZ TEKSTY Z OKRESU II WOJNY ŚWIATOWEJ** *Zebrali i opracowali pod kierunkiem Aleksandra Fiuta: Mateusz Antoniuk, Stanley Bill, Karina Jarzyńska, Ewa Kołodziejczyk, Marzena Woźniak-Łabieniec. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018, ss. 878.*

Styczeń 1945: Czesław Miłosz i Janina Cękalska wyruszają z Goszyc, gdzie jesienią '44 znaleźli schronienie u Zofii Kernowej, teściowej Jerzego Turowicza, do Krakowa. Wkrótce w nowo powstałym „Dzienniku Polskim" zaczynają się ukazywać felietony poety, później artykuły w „Odrodzeniu" i „Przekroju". Jesienią Miłosz przyjmuje posadę w służbach dyplomatycznych, w styczniu 1946 r. rozpoczyna pracę w konsulacie w Nowym Jorku, potem w ambasadzie w Waszyngtonie, nadsyłając stamtąd korespondencje m.in. do redagowanych przez Iwaszkiewicza „Nowin Literackich". Gdy w grudniu 1950 r. przyjeżdża do Warszawy, traci paszport. Dzięki protekcji Natalii Modzelewskiej, żony ministra spraw zagranicznych, 15 stycznia 1951 r. wyjeżdża jednak do Paryża. 1 lutego opuszcza ambasadę i jedzie do siedziby „Kultury" w Maisons-Laffitte. Zaczyna się emigracyjny etap jego biografii.

Teksty z kolejnego tomu „Dzieł zebranych", utopione w rocznikach czasopism, znane były dotąd biografom Miłosza i badaczom jego twórczości. Te najtrudniej dostępne – artykuły z aneksu, drukowane w 1940 r. w polsko- i litewskojęzycznych pismach wileńskich – przynoszą próbę konfrontacji z klęską i potraktowania jej jako probierza prawdy oraz lekcji na przyszłość. Z kolei krakowskie felietony z pierwszych miesięcy 1945 r. opisują świat rodzący się na powojennych gruzach, przy czym krytycyzm Miłosza wobec przedwojnia zbiega się niekiedy z hasłami propagandy, choć propagandystą autor „Ocalenia" nigdy się nie staje. Najwięcej jest korespondencji zza oceanu, relacji o tamtejszym życiu społecznym, literackim czy filmowym oraz analiz sytuacji w środowiskach polonijnych i możliwości polsko-amerykańskiej współpracy. To świadectwo niezwykłej aktywności Miłosza i jego orientacji w amerykańskiej kulturze. Kreśli panoramę jej przemian, indywidualną i krytyczną, unikając marksistowskich schematów i prymitywnych uproszczeń. Tymczasem Polska w grudniu 1945 r. bardzo się różniła od tej, do której wrócił w grudniu 1950 r.: państwa w stalinowskich kleszczach ze skrajnie zideologizowaną oficjalną kulturą. Trudno się dziwić, że wykorzystał wszelkie sposoby, by z niego uciec. ©℗

PAWEŁ

# Bravo:
## *Rzeź kurczaków*

Dwa miliardy. A może cztery. Widziałem gdzieś nawet liczbę sześć. Istotny jest rząd wielkości. W miliardy idzie liczba corocznie zabijanych piskląt kurzych płci męskiej. Dzięki pracy seksera (rzadki, świetnie opłacany zawód) już po parunastu godzinach od wyklucia ferma hodująca przyszłe nioski bądź brojlery może się pozbyć zbędnej połowy kurczęcego przychówku. Samce ani jaj nie znoszą, ani nie dość szybko przybierają na wadze, ich mięso jest zbyt łykowate. Nauczyliśmy się uzyskiwać odmiany, których „produktywność" w sensie liczby jaj lub masy ciała przebija kilkukrotnie cechy ptactwa biegającego po podwórku sto lat temu. W miarę jak podwórka i kurniki zastąpione zostały przez przemysłowe zakłady wyrobu białka zwierzęcego zwane fermami, ta rewolucja w selekcji przydatnych cech ominęła męską część populacji. Nie opłaca się na industrialną skalę nic z takimi osobnikami robić.

Utkwiliśmy, drodzy państwo, w ślepej kiszce postępów biotechnologii. Bliska obserwacja paru gatunków żyjących blisko naszych siedzib – z kotami na czele – wskazuje, że pod prawie każdym aspektem zwierzak płci żeńskiej jest ciekawszy, bardziej fascynujący, obiecujący. Czy to samo stosuje się do człowieka, tego rozstrzygać się nie podejmę. Nie brnijmy w to ideologiczne pole minowe. Mniejsza zresztą o mężczyzn: każdego dnia w fermach bezbronne puszyste kulki jadą taśmociągiem wprost pod noże maszyny (unijna dyrektywa ściśle reguluje, ile taka sieczkarnia może „zmacerować" piskląt na minutę). Albo – co w narracji branży drobiarskiej uchodzi za akt humanitarny – są wpierw gazowane, zanim trafią do dalszego przerobu np. na mączkę, karmę czy inne białkowe suplementy.

Nie, nie, drodzy państwo zjadacze jajek „zerówek" i udek kurczaków „zagrodowych", proszę nie odwracać głów. Rzeź męskich piskląt dotyczy każdego trybu produkcji, nie tylko masowych ferm porównywanych w kampaniach do obozów koncentracyjnych. Porównywanych zresztą niezgodnie z prawem. Jak pewnie już mało kto pamięta, w 2012 r. trybunał w Strasburgu podtrzymał wyrok niemieckiego sądu zakazującego billboardów zestawiających chów przemysłowy z Holokaustem. Czekam niecierpliwie na kolejną taką sprawę. Jestem ciekaw, czy te lata zmiany wrażliwości w stronę coraz głębszej empatii dla zwierząt oraz coraz mniej podskórna niechęć europejskiej lewicy do Izraela sprawią, że następny wyrok będzie już inny.

Problem, jak uniknąć zabijania pisklaczków, wystarczył za motywację do jednej z największych *success stories* w zastosowaniu biotechnologii. Pewna holenderska firma wdrożyła procedurę pozwalającą przy dość niskim koszcie (jeden cent na jajko, a będzie jeszcze mniej) prowadzić testy wykrywające w jaju już dziewięć dni od zapłodnienia markery określające płeć. Laser robi małą dziurkę w skorupce, podciśnienie wysysa odrobinę płynu owodniowego, wszystko to szybko, bez dotykania i w warunkach niezakłócających inkubacji. Cały ten prenatalny *high-tech* pozwala wyrzucić (na śmietnik? do utylizacji? nie wiem) kurze embriony płci męskiej. „O wiele wcześniej, zanim rozwija się wrażliwość na ból i zdolność do odczuwania cierpienia" – zapewnia organizacja walki o prawa zwierząt Human League. Nie dociekam, skąd oni to wiedzą (stereotyp „kurzego móżdżka", czyli tego, że ptaki przez małą masę mózgu są głupie i niewrażliwe, to wielka bzdura). Grunt, że klienci niemieckiej sieci Rewe już mogą kupować jajka wolne od wyrzutów sumienia.

Siadałem do pisania w prześmiewczym nastroju, bo czyż nie jest z lekka pomylony umysł, który takie problemy rozwiązuje? Ale spomiędzy akapitów łypie na mnie strach. W tym samym numerze Szymon Hołownia pisze – świetnie, jak zwykle, przeczytajcie – w imię czyich interesów próbujemy wyrżnąć populację dzika. Takeśmy się w nowoczesne tryby zapewniające tanią i względnie bezpieczną żywność zapędzili, że właściwie trudno już przekąsić cokolwiek, co nie jest obarczone cząstką cierpienia żywej istoty. Albo wyzysku ekonomicznego i destrukcji więzi społecznych. I szkód środowiskowych na dokładkę. Był taki okres w latach 90., kiedy Polacy jak szczury z baśni Grimmów pobiegli bezmyślnie na zew wzmacniaczy smaku. Epoka vegety i innych mieszanek z glutaminianem. Dzisiaj na każdej kuchennej półce stoi pięknie opakowana *mea culpa* w proszku. ©℗

*Nie mam pomysłu, co z tym wszystkim zrobić, bo nawet ściśle wegańska dieta ma swoje etyczne pułapki... Obiecuję pomyśleć o tym na wiosnę, kiedy umysł pobudzony dopływem żelaza z liści sałaty obudzi się ze stuporu. Tymczasem zaś jestem w fazie, kiedy mój najlepszy zimowy przyjaciel – buraki – zaczyna się powoli nudzić. Z różnych kombinacji, żeby sobie to buraczenie urozmaicić, jedną się podzielę: risotto burakowe. Pieczemy w całości 4 małe buraki, aż zmiękną. Po wystudzeniu obieramy i kroimy w malutką kosteczkę. Przystępujemy do robienia risotta tradycyjną metodą: dusimy na maśle cebulę, sypiemy ryż (320 g na 4 osoby), prażymy go, podlewamy czerwonym winem, potem gotujemy we wrzącym bulionie dolewanym w miarę, jak ryż go wchłania, aż do miękkości. Buraki dodajemy sukcesywnie w pierwszych minutach gotowania, a wraz z nimi ze dwie gałązki tymianku. Na końcu idzie łyżka masła, wyłączamy ogień i mocno mieszamy dla uzyskania kremowej konsystencji. Na wydaniu dodajemy trochę świeżo utartej skórki cytrynowej (i parmezan, ale ostrożnie). Kto uzna, że wyszło za słodkie, niech pokropi octem balsamicznym. A kto lubi wrzucać jedzenie na Instagrama, niech poprawi wizualny efekt czymś zielonym: wczoraj dodałem parę pieczonych brukselek – świetnie smakowo pasowały.*

PAWEŁ BRAVO

# MARATON BEZ METY

**BOGDAN KONOPKA, FOTOGRAF:**

Dawno temu etatowa pracownica SB powiedziała mi po pijaku: „Chyba coś zrozumiałam, Chrystus – gdyby wrócił – mógłby być fotografem...". Ciekawe spostrzeżenie, nieprawdaż?

**MARTA ELOY CICHOCKA: Trzymam w ręku Twój najnowszy album, przepięknie wydany przez oficynę Delpire. Mają już w swoim katalogu albumy Henriego Cartiera-Bressona, Martina Franka, Sarah Moon czy Josefa Koudelki. Witaj w doborowym towarzystwie!**

**BOGDAN KONOPKA:** Zapomniałaś o bardzo ważnej postaci: Robert Frank i jego książka „Amerykanie", która w owym czasie okazała się dla wydawnictwa komercyjną klapą, a dziś jest legendą. To ważne, ponieważ nowy właściciel wydawnictwa Delpire rozpoczął działalność właśnie od wznowienia tegoż albumu. Potem, idąc śladem tradycji, opublikował „Un voyage un Russie" Vincenta Pereza, a zaraz potem przyszła kolej na moje 40-letnie archiwum i tak powstał album „Un conte polonais", czyli „Baśń polska".

Oczywiście, to jest wyróżnienie, choć z wieloma autorami znamy się przecież od lat. W tym roku minie równo 30 lat od mego przyjazdu do Francji, więc tych sympatii, a czasem również i przyjaźni, trochę się nazbierało. Nie zanosi się, by wydawca przeze mnie splajtował, bo książka bardzo się podoba i całkiem dobrze sprzedaje.

**Czy doborowe towarzystwo w fotografii jest naprawdę istotne? Może jest to raczej samotny maraton?**

Istotne jest o tyle, że historię swego czasu twórcy kreują zbiorowo, choć każdy na swój osobisty sposób; to nie jest przecież monolog, tylko patchwork, złożony z wielu spojrzeń, głosów i ukochanych technologii. W jakimś sensie twórczość jest też „walką na duchy", które rozsiewamy – bywa, że nietolerujące się nawzajem. Fotografia jako narzędzie nie sprzyja zresztą działaniom grupowym, bo natychmiast zamienia się w bitwę na spojrzenia. Dlatego jesteśmy w większości samotnikami, chadzającymi po swych ścieżkach albo zaszytymi w dziuplach z daleka od intruzów, gdzie strzeżemy swych tajemnic. Moim jedynym partnerem jest Jacqueline, moja żona, choćby dlatego, że tam, gdzie lubię się włóczyć, fotografowie raczej nie bywają. Ale, z drugiej strony, lubię fotografować to, co najbliżej mnie. Bo to, co kochamy naprawdę, i tak zawsze jest gdzieś niedaleko. Tak więc prawdę powiedziałaś: to jest samotny maraton, do tego bez mety! Dlatego tak trudno przestać fotografować. Natomiast mam swoje preferencje i zachwyty: całkiem spory pakiet nazwisk!

**Na Twój album złożyło się 105 czarno-białych kadrów z 40 lat. Zdjęcia wykonane są rozmaitymi narzędziami i technikami, łącznie z otworkowymi panoramami. I tu nasuwa się seria pytań: na ile dobór narzędzia i medium jest kwestią przypadku, a na ile Twoją świadomą decyzją?**

Tę książkę stworzyło samo życie; bo i filmy bywały różne: od sowieckich po amerykańskie, nowe, przeterminowane, kiepskie i wspaniałe. Często nie miałem żadnego wyboru, więc robiłem na tym, co było dostępne; dotyczy to także aparatów. Lubię fotografię srebrową, bo tu mogą się zdarzyć wielkie niespodzianki: przecież emulsja starzeje się, podobnie chemia, to wszystko jest w pewien sposób żywe. Trzeba tylko próbować pojąć, zrozumieć, a wówczas nie ma fotografii „zepsutych". Oczywiście, wybór formatu negatywu powinien być świadomy, podobnie ogniskowa obiektywu; a reszta to kwestia wiedzy, wyczucia i praktyki: jak przeżycie przetłumaczyć na język obrazu? Bo widzialne dostępne jest każdemu, tylko, paradoksalnie, w fotografii niezupełnie o to chodzi.

**A o co? Wiesz, jeden z Twoich ulubionych muzyków prosił, by w jego imieniu zadać Ci dwa proste i arcytrudne zarazem pytania: Czym jest dla Ciebie fotografia? A co fotografią nie jest?**

Mam wielki respekt i szacunek dla tego muzyka, ponieważ ze strun jego „wielkoformatowego" instrumentu spływają te same krople nadziei i wiary w siłę sprawczą poezji, co i mnie każą wciąż jeszcze fotografować. Jestem w o tyle niezręcznej sytuacji, że każdy muzyk może dziś zrobić zdjęcie, nie zadając sobie pytania, czym jest fotografia. W drugą stronę jest już dużo trudniej, wypadałoby fotografowi mieć niezły słuch, a i znajomość nut byłaby mile widziana. A skoro wszyscy są fotografami, jak w Rosji sowieckiej wszy-

scy byli lekarzami, to zaprawdę nie wiem: czym fotografia jeszcze nie była?

**Opowiedz, jak doszło do Twojego spotkania ze szlachetnym, ale ciężkim i niezbyt poręcznym aparatem wielkoformatowym. Czym Cię urzekł? Czy nigdy nie zmęczył?**

To wszystko wina nieżyjącego już niestety Wojtka Zawadzkiego! Pożyczył mi kiedyś swój i musiałem odbijać negatyw w styku, bo nie było takiego powiększalnika. No i wtedy pojąłem, jakie to trudne i jak inne powstają odbitki niż przez powiększenie. Tak, wywróciło mi się na nice wszystko, co wcześniej nabudowałem. Wszystkie koncepty, teorie zbladły wobec ważności i siły sprawczej światła. To był przełom, zdawałoby się: techniczny, który jednak wymagał ode mnie natychmiastowej korekty także w sferze duchowej, bo inaczej zgrzytało mi coś niemiłosiernie na wielu poziomach. Długo by mówić! A zmęczył mnie, i to nie raz. Taki aparat to jest znakomite narzędzie do kontemplacji świata, do medytacji. Co ważne, jedyne, jakie nie wzbudza agresji nawet w miejscach uznawanych za gorące, ale też nie wszystko daje się nim zrobić, zwłaszcza człowieka w sytuacji dynamicznej. Mówiąc obrazowo: ferrari jest dobre na asfalcie, a jeep na bezdrożach. To też jeden z powodów różnorodności w tej książce.

**Na ile dobór narzędzia i konsekwentne używanie go jest gwarancją osiągnięcia zarówno wirtuozerii, jak i rozpoznawalności? Na ile jest to ciernista ścieżka wykluczająca inne, być może wygodniejsze, być może pozwalające dojść dalej czy wspiąć się wyżej?**

To trudne pytanie, bo konsekwencja i rozpoznawalność to też gotowa szufladka, pułapka dla twórcy. A gwarancji nie ma żadnych, kiedy fotografia to nasze życie. Fotografuję ludzi i miejsca, które ↦

↦ mnie zaciekawiają, poruszają. Starzeję się, zmieniam, a moje fotografie też wraz ze mną ewoluują. Tylko trudno to wychwycić, patrząc na nie w kategoriach formy: wielki format, kopie stykowe i dookolna czerń. Przecież zmieniają się ustroje, rządy, świadomość fotografowanych i fotografujących, no i „konsumentów" obrazów też.

Widzę coraz wyraźniej, jak z naszych zdjęć wyparowuje z biegiem lat ludzka otwartość wobec aparatu, empatia i szczerość, a cyfrowa rewolucja tylko przyspiesza zmiany. Dziś w karierze liczy się głównie PR i epatowanie, czym tylko można: od prowokacji aż po zaskakującą formę.

**W dyskretnej dedykacji dziękujesz rodzinie i przyjaciołom, „intymnym i świetlistym świadkom" powstawania tej książki, których twarze zaludniają jej karty. Bo, wbrew famie otaczającej od lat fotografię Bogdana Konopki, w Twoim najnowszym albumie wprost roi się od ludzi. Jaka jest zatem relacja fotografa z ludźmi otaczającymi jego samego i to narzędzie?**

Chciałoby się rzec za poetą: kochajmy ludzi, tak szybko odchodzą! Iluż z tych obecnych na kartach mej książki już nie ma... Każdy z nas chciałby wyglądać pięknie, a przynajmniej godnie. Tego drugiego żadne lustereczko ani *selfie* nie załatwi. I tu otwiera się przestrzeń niezwykle ciekawa dla fotografa. Do drugiego człowieka trzeba wyjść, jeśli czujesz, że jest szansa, iż zaufa twoim intencjom. Do tego nie da się przygotować, bo to nie spektakl, tylko spotkanie uczuć, odczuć, przeczuć. Zdarza się, bywa albo i nie – to już od fotografa zależy, z jakiego źródła czerpie energię, by pozwolić drugiemu jaśnieć, uwierzyć w chwilę i uczynić fotograficzne lustro wolnym od „*a priori*". Dawno temu pewna etatowa pracownica Służby Bezpieczeństwa powiedziała mi po pijaku: „Chyba coś zrozumiałam, Chrystus – gdyby wrócił – mógłby być fotografem...". Ciekawe spostrzeżenie, nieprawdaż?

**Owszem... Idąc dalej tropem pytań o istotę fotografii – i mając w pamięci świeżą dyskusję wokół symbolicznego zdjęcia pokoju hotelowego z różowawą łuną Marszu Niepodległości za oknem, które to zdjęcie, autorstwa Ady Zielińskiej, było świadomą kreacją, odegraną na zamówienie i podrasowaną potem w Photoshopie – chciałam spytać wprost o Twoje odczucia na widok kadrów kreowanych w taki sposób. Czy, Twoim zdaniem, to nadal jest fotografia?**

To bardzo ciekawy przykład. Z mojej – wiadomej już – pozycji chrystusowego „lewaka" powinienem być zachwycony. Jest tylko małe „ale". Fotomontażem historia polskiej fotografii słynie: choćby Berman, Krzywobłocki, Cieślewicz. Tu mamy do czynienia z czymś zupełnie nowym. To już nie bolesne czy też surrealistyczne skojarzenia twórcy. Tu cel uświęca środki, coś jak zaplanowane cynicznie morderstwo na fotograficznych niemożnościach, czyli na naturze fotografii. Jaka jest naprawdę różnica między tymi za oknem i kobietą za wizjerem aparatu? Płeć? Bo przecież nie przekłamania w imię wyższych celów? To jest niepokojące, bo ponoć dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane.

**Wracając do Twojego albumu: skąd jego tytuł, na ile jest przewrotny i skąd ewentualne wahania w tytule? FNAC (Francuska sieć sklepów) ma ją w ofercie w jeszcze bardziej bajkowej wersji: „Un conte, il était une fois en Pologne..." („Baśń, był sobie raz**

**w Polsce...”). O czym ta baśń, kto jest jej bohaterem?**

W przypadku fotografii dziś baśniowość wydaje mi się jedynym ratunkiem, sprzeciwem wobec przekłamań, jak to, o którym przed chwilą mówiliśmy, nawet stwarzanych w dobrej wierze. Staram się pokazywać to, co zaistniało, i tak, jak zaistniało dla fotografii, bez względu na jej niedoskonałość, ułomności technologiczne. Później i tak do głosu dojdzie interpretacja, na którą wpływu mieć nie możemy. Baśnie biorą się z nadziei i wiary, powiedzmy, w lepszy świat, gdzie dobro w końcu zawsze zwycięża. Więc może te fotografie są dowodem, że ten świat był i jest, i to na wyciągnięcie ręki? Tak, tytuł pochodzi ode mnie; a to, co przedostało się niechcący do internetu, to raczej nieudana próba jego ulepszania przez wydawcę.

**A jaka była geneza tego albumu, jakie kryteria towarzyszyły doborowi zdjęć?**

To nie jest duża ani droga książka, więc również i budżet, jakim dysponowaliśmy, ograniczał liczbę zdjęć. Z tego powodu sukcesywnie wygrywały obrazy o uniwersalnej wymowie, co w konsekwencji wyszło na dobre temu wydawnictwu. Pozostały w większości fotografie o dużym ładunku emocjonalnym, co wyraźnie jest podkreślane przez tutejszą krytykę i co powoduje także spory sukces wśród miłośników fotografii czarno-białej. Nie czarujmy się: Polska to nie jest w tej chwili najlepszy temat na album. Słowo „baśń” stało się więc z jednej strony filtrem odsiewającym specyficznie lokalne odniesienia, a z drugiej pozwoliło przemycić wiele z tego, co inaczej mogłoby wypaść zbyt dosłownie. Poza tym od początku wiadomo było, że książka ukaże się wyłącznie w wersji francuskiej. Więc, jak możesz się domyślać, siłą rzeczy niektóre zdjęcia – ważne dla mnie, ale i dla nas w Polsce – odpadły w przedbiegach. Niczego jednak nie żałuję. ↦

↦ **Mamy tu jednak baśń przewrotną i słodko-gorzki portret Polski, którą opuściłeś w 1989 r. I zarazem autoportret. Odbijasz się w każdym zdjęciu: w każdym pejzażu, który przyciągnął Twój wzrok, w każdym portrecie w każdej kompozycji kadru. Czasami jesteś tu refleksyjny i melancholijny, chwilami pogodny, niekiedy ironiczny. Jaką twarz sam widzisz, przeglądając się w tej książce?**

Widzę wyraźnie wiele własnych, zmieniających się z upływem lat wizerunków. Widzę też, że czasem, niezależnie od moich intencji, któraś fotografia mówi dziś zupełnie co innego, nawet mnie samemu. Z jednej strony bierze się to z emigracyjnego dystansu, pewne rzeczy przychodzą też do nas dopiero z wiekiem; ale nade wszystko potwierdza się stara prawda, że wartość fotografii weryfikuje upływający czas. Uprzytamnia nie tylko to, kogo już nie ma, lecz jeszcze mocniej to, czego nie ma: jakiego ducha, jakiej radości i jakich pięknych – bo autentycznych i nieskrywanych – smutków. W tym kryje się elementarność fotografii. Właśnie wtedy jest najbardziej sztuką, kiedy pozostaje w zgodzie ze swą naturą, a nie wówczas, kiedy sztukę usiłuje naśladować lub wręcz zastąpić. Amen!

**Jaką Polskę widzisz niedługo po stuleciu rocznicy odzyskania niepodległości? Czy ta Polska drugiego dziesięciolecia to nadal Twój kraj?**

Polska była zawsze jak z baśni, niby jej nie było, a przecież trwała. Gdzie indziej na ziemi tak rozkochiwano się w baśniach? Przecież nasza niepodległość też baśniowo do nas przyszła, wynurzyła się z chaosu. Zaledwie 60 lat temu w polskiej szkole we Wrocławiu, na dawnych niemieckich ziemiach, mówiliśmy wszyscy po polsku, ale jakże różnobarwne mieliśmy akcenty i jak wiele różnych słów na nazwanie zwykłego kapuśniaku z grzybami na przykład!

Miałem kolegów o niewyobrażalnie różnorodnych korzeniach i poglądach, więc o jednej homogenicznej polskości mowy być nie mogło, bo musielibyśmy toczyć nieustanne bitwy między sobą. Dlatego dziś nadziwić się nie mogę, skąd kilkadziesiąt lat później wzięła się ta ideologia jedynie słusznego wymiaru polskości i niby z jakiego źródła miałaby wytrysnąć? Po 30 latach we Francji wciąż myślę i piszę po polsku, ale z gramatyką i wyrażeniami sprzed ponad pół wieku, więc prawdopodobnie w oczach niektórych na prawdziwego Polaka się już nie nadaję. Tymczasem, kiedy wracam z obczyzny, wciąż odnajduję wszystkie moje ukochane kolory języka, myślenia i człowieczeństwa. Bo nasza ojczyzna to, na szczęście, nie są tylko marsze nienawiści. Siła polskości tkwi nie w tym, co ktoś wypisze na sztandarach, tylko w jej niedookreśloności, niewyrażalności, dlatego polskość była i będzie bardzo trudna do unicestwienia. Nacjonalizm nie jest patriotyczny. Jest niebezpieczną – ale tylko chorobą żerującą na zdrowej tkance. A tej ostatniej szczęśliwie wciąż jeszcze w Polsce nie brakuje.

**Nad czym pracujesz obecnie, w jakich kierunkach spoglądasz – i jaki będzie Twój następny album?**

W tej chwili pracuję w Szwajcarii na zlecenie Politechniki w Lozannie, gdzie wraz z dwójką tamtejszych artystów przygotowujemy książkę i wystawę na 50-lecie uczelni w przyszłym roku. To o tyle cie-

kawe, a zarazem budujące, że zleceniodawca sam mnie wybrał, z pełną świadomością, że nie dostarczę im plików w kolorze, tylko miniaturowe odbitki na czarno-białym papierze srebrowym.

Marzy mi się oczywiście moja „Baśń" w wydaniu polskim, ale wydawca jak na razie zainteresował się „Szarym Paryżem", który był wydany wprawdzie w dwóch językach, lecz z dystrybucją wyłącznie w Polsce. Nie wiem, co z tego wyniknie, bo przecież od tamtego czasu mam sporo nowych zdjęć tego miasta, więc zapewne trzeba byłoby zmienić nieco cały projekt i tytuł.

Poza tym nie wiem, czy pamiętasz, że w roku 1998 dostałem Grand Prix de la Ville de Vevey, czyli Europejską Nagrodę Fotografii za projekt „Rekonesans", podróż po satelitarnych krajach Związku Radzieckiego. Powstał z tego piękny album. I teraz Jacqueline wierci mi dziurę w brzuchu, by po 20 latach wrócić w te same miejsca. To nośny projekt i być może uda się znaleźć pieniądze na jego realizację. A mnie się marzy jeszcze jakaś „Baśń francuska", a potem to chyba wypadałoby już odpocząć...

© Rozmawiała MARTA ELOY CICHOCKA

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

**BOGDAN KONOPKA** (ur. 1953) jest fotografem, kuratorem i krytykiem. Jeden z głównych twórców nurtu „fotografii elementarnej". Od 1989 r. mieszka i pracuje we Francji, obecnie w Paryżu. Prowadził autorskie pracownie fotografii w Państwowej Wyższej Szkole Fotografii w Arles we Francji (1994-97), Warszawskiej Szkole Fotografii (2009-11) oraz w École de Photographie de Vevey w Szwajcarii (2006-16). Dwukrotnie nominowany do nagrody Nicéphore'a Niépce'a, laureat Grand Prix w Europejskim Konkursie Fotografii w Vevey (1998). W roku 2017 odznaczony brązowym medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.
Zdjęcia pochodzą z albumu „Un Conte Polonais", wydanego przez Delphire.

**MARTA ELOY CICHOCKA** *(ur. 1973) jest poetką i fotografką. Iberystka, literaturoznawczyni i tłumaczka. Autorka zdjęć na okładkach kilkunastu płyt wytwórni For Tune, od 2013 r. współpracuje z portalem Szeroki Kadr.*

Składamy serdeczne podziękowania

kardynałom, arcybiskupom, biskupom oraz ogółowi duchowieństwa,
głównym celebransom Mszy świętych pożegnalnych:
kardynałowi Stanisławowi Dziwiszowi,
arcybiskupowi Markowi Jędraszewskiemu,
biskupowi Romanowi Pindlowi;
kaznodziejom:
arcybiskupowi Grzegorzowi Rysiowi,
księdzu profesorowi Jackowi Urbanowi,
Kapitule Metropolitalnej katedry na Wawelu;
osobom konsekrowanym, władzom państwowym, władzom samorządowym,
parlamentarzystom, środowiskom prawniczym,
przedstawicielom nauki i szkół wyższych, ludziom kultury i sztuki,
stowarzyszeniom społecznym i gospodarczym polskim i zagranicznym,
pracownikom instytucji diecezjalnych, współpracownikom Księdza Biskupa,
wspólnocie parafialnej z Radziechów, ziomkom z Żywiecczyzny,
przyjaciołom z kraju i zagranicy, studentom
oraz
wszystkim uczestnikom uroczystości

za pamięć, modlitwę i udział w pożegnaniu

*Ś.† P.*

## Księdza Biskupa Tadeusza Pieronka

RODZINA

Najserdeczniejsze podziękowania za zorganizowanie uroczystości pogrzebowych

*Ś.† P.*

## Księdza Biskupa Tadeusza Pieronka

w katedrze na Wawelu i kościele pw. św. św. Piotra i Pawła
składamy Kapitule Metropolitalnej katedry na Wawelu
oraz
księdzu prałatowi Zdzisławowi Sochackiemu – proboszczowi parafii archikatedralnej,
księdzu profesorowi Janowi Machniakowi
– proboszczowi parafii Wszystkich Świętych w Krakowie,
rektorowi Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie
ks. prof. Wojciechowi Zyzakowi,
prorektorowi UPJPII ks. prof. Robertowi Tyrale,
a także wszystkim osobom i służbom

RODZINA

Dziękujemy dziennikarzom, fotografom, operatorom telewizyjnym i filmowym
za obsługę uroczystości pogrzebowych

*Ś.† P.*

## Księdza Biskupa Tadeusza Pieronka

oraz za życzliwość i wsparcie, których mu udzielali

RODZINA

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *Co za ciało!*

Zrobiliśmy sobie ostatnio fotografię bez makijażu, jest to bowiem czynność ogromnie teraz modna w świecie szeroko pojętej celebry. Uczynienie dobrowolnie takiego zdjęcia ma różnorakie cele. Po pierwsze ma być obwieszczeniem, że wciąż jest się zwykłym człowiekiem, ma też symbolizować łączność i szlachetne braterstwo z zapryszczonym i nieszczęśliwym ludem. Zaiste rzec tu trzeba, że spojrzawszy na owo zdjęcie, natychmiast pokryliśmy się warstwami wszelakich maści i pudrów, w tym pudrów inteligentnych, bowiem nic nas tak nie wzdraga jak naturalność, a zwłaszcza jej nachalna odmiana.

Ten fikuśny wstęp ma dać najszerszym Masom Czytelniczym sygnał, że jesteśmy na bieżąco, zwłaszcza jeśli idzie o serwisy informacyjne niewymagające główkowania. Wszelkie materiały owych stron internetowych są, jak wiadomo, wyposażone w znakomicie skonstruowane tytuły, będące pomieszaniem okrzyków zdumienia z zagadkami. To chyba oczywiste, że szarość dnia najbardziej koloryzuje nam okrzyk „Co za ciało!", który powoduje, że czytamy wszystkie materiały opatrzone takim tytułem, bez względu, czyśmy są zdrowi, czy chorzy, smutni, weseli, bez względu na natłok zajęć i zobowiązań służbowych. Należy tu dodać, że nigdy takoż się nie rozczarowaliśmy, bowiem nigdy żadna redakcja nas nie oszukała, maskując podobnym zawołaniem – dajmy na to – relację ze znalezienia denata w lesie bądź raport z sekcji zwłok. W tym sensie standardowe zapewnienie każdego polskiego fachowca, które brzmi: „Będzie pan zadowolony", zawsze się sprawdza.

Co dalej? Ano wypadałoby teraz opowiedzieć, jak język, maniery i zwyczaje ze świata ploty, jak dominujące świat informacji analizy cielesności i obnażeń, jak trend pokazywania się bez makijażu – jak wszystko to weszło do świata polityki, i jak się w nim wdzięcznie osadziło. Zapewne już na zawsze.

Weźmy kilka ostatnich wydarzeń, a przede wszystkim spotkanie naszych polityków z włoskim ministrem spraw wewnętrznych, niejakim Salvinim. Człowiek ten przybył do Polski w bardzo – jak na nasze warunki – delikatnym makijażu, mającym laserunkowo przykryć jego – jak byśmy rzekli – niedoskonałości, czy jak kto woli doskonałości, bowiem faszyzm i proputinizm to absolutnie czysta doskonałość z założenia. Nasi, ze swą trudną do zdefiniowania urodą, którą od lat maskują heroicznie tanimi kosmetykami, postanowili tym razem zademonstrować się bez pudrów i kremów. Zaiste, widok Gospodarza i jego podręcznych obściskujących się z owym rozanielonym Włochem można było skomentować naszym ulubionym okrzykiem „Co za ciało!", bowiem – trzymając się opisywanej tu estetyki – było to wreszcie pełne i detaliczne obnażenie, do barchanowych majtek. By dla pełnej ilustracji dodać coś jeszcze ze świata serwisów plotkarskich, można by takoż zawołać, że „wreszcie widać ciążowy brzuszek". To spotkanie i towarzyszące mu deklaracje były przejściem ze sfery domniemań i zagadek do objawienia niepozostawiającego żadnych wątpliwości co do ideowego rodzicielstwa, ale i tożsamości oczekiwanego potomka.

Naturalnie inne makijaże obecnej władzy ścierają się też same z siebie, bez prób tarcia ich czymkolwiek, i niepotrzebny jest do tego autorytet moralny z zagranicy. Flora skóry ludzi Gospodarza reaguje alergicznie na jakiekolwiek preparaty i buntuje się, gdy ją czymkolwiek smarować. Chęć solidnego zarobku jest doprawdy czymś normalnym, a chęć zarobku łatwego, nieobarczonego wysiłkiem, jest zjawiskiem zwyczajnym. Zawarte w politycznym programie założenia powszechnej skromności okazały się – co nie dziwne – kremami całkowicie zbędnymi. Co ciekawe, choć użycie ich wydawało się konieczne, elektorat wcale tego makijażu nie potrzebował. Zawołanie „należy się" nie jest w jego mniemaniach w najmniejszym stopniu gorszące czy zniechęcające. To jest po prostu ciało – „Ale ciało!" – którego się nie wstydzimy. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

# pamięć leczy rany

**Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji**

Wydanie specjalne „Polska Żydowska” już od 23 stycznia w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

**weź, czytaj!**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

REKLAMA

# Kuchnia
## dla głodnych wiedzy

Czy zastanawialiście się, **kiedy ludzie zaczęli gotować?**

Jak przyrządzali jedzenie **neandertalczycy?**

Jak mógł smakować **stek po kromaniońsku?**

**Michał Kuźmiński** poprowadzi Was przez fascynujące tajniki jedzenia i gotowania od czasów prehistorycznych po najdalszą przyszłość.

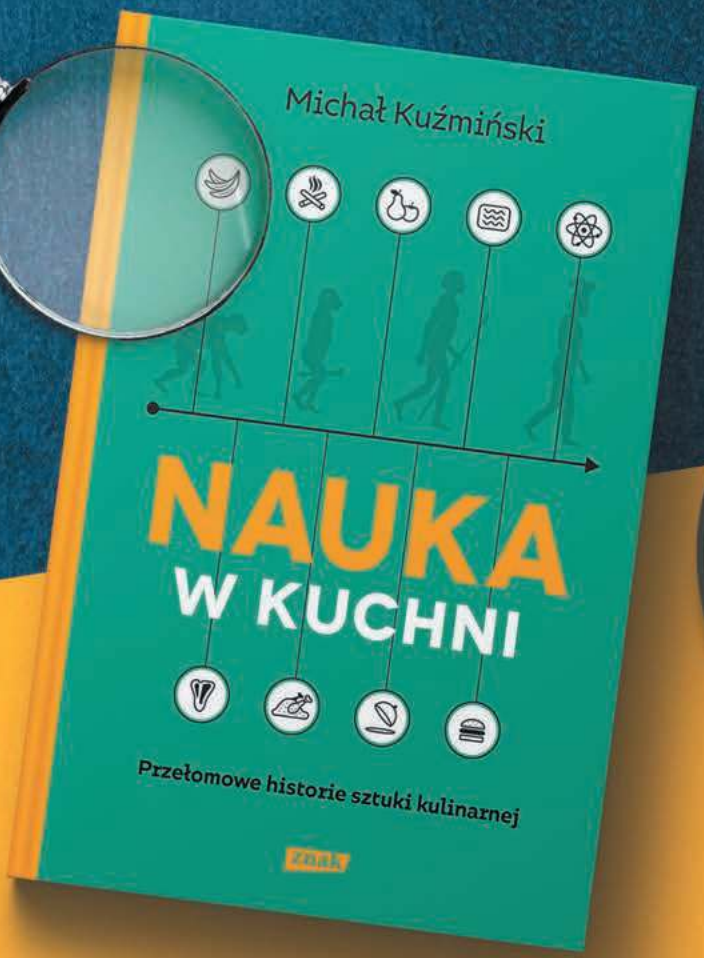


znak

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY